

Poul Anderson



Wojna skrzydlatych



SPIS TREŚCI

KARTA TYTUŁOWA

. I .

. II .

. III .

. IV .

. V .

. VI .

. VII .

. VIII .

. IX .

. X .

. XI .

. XII .

. XIII .

. XIV .

. XV .

. XVI .

. XVII .

. XVIII .

. XIX .

. XX .

. XXI .

. XXII .

POUL ANDERSON

**WOJNA
SKRZYDŁATYCH**

(War of the wing-men / The man who counts)

Przełożył: Wiktor Bukato

ALFA

1985



Wielki Admirał Syranax hyr Urnan. Dziedziczny Wód? Naczelną Floty Drakhońskiej. Rybak Mórz Zachodnich. Pierwszy Ofiarnik i Wyrocznia Gwiazdy Przewodniej rozpostarł skrzydła i zwarł je na powrót z łoskotem wyrażającym najwyższe zdumienie. Lawina papierów zmiecionych podmuchem ze stołu opadała przez chwilę na ziemię.

– Nie! – zawołał. – Niemożliwe! To jakaś pomyłka.

– Jak sobie admirał życzy – Główny Komandor Delp hyr Orikan skłonił się ironicznie. – Zwiadowcy niczego nie widzieli.

Gniew przebiegł przez twarz kapitana Theonaxa hyr Urnana, syna Wielkiego Admirała, a tym samym jego prawowitego następcy. Wyszczrzył kły, które błysnęły białą na tle ciemnej paszczy.

– Nie ma dość czasu, by go tracić na tve zuchwalstwo, komandorze Delp – powiedział zimno. – Dobrze by było, gdyby moi ojciec pozbył się żołnierza nie mającego dlań szacunku.

Wielka postać Delpa sprężyła się pod skrzyżowanym i haftowanymi pasami – oznakami jego stanowiska. Kapitan Theonax posunął się o krok ku niemu. Ogony ich rozwinęły się, a skrzydła rozpostarły w impulsie instynktownej gotowości do

walki, aż cała komnata pełna była ich ci, nienawiści. Niby przypadkiem ręka Theonaxa opadła na obsydianowy trójząb u jego boku. Żółte oczy Delpa zabłyśły, a palce – zacisnęły się na rękojeści toporka.

Admirał Syranax uderzył ogonem o ziemię, co zabrzmiało jak huk wybuchu. Obaj przeciwnicy wzdrygnęli się, przypomnieli sobie, gdzie się znajdują i powoli, układając mięsień za mięśniem do spoczynku pod lśniącą brunatną sierścią, odprężyli się.

– Dosyć! – warknął Syranax. – Delp, twój nieokiełznany język jeszcze cię zgubi. Theonax, dojadły mi już twoje animozje. Będiesz miał okazję zająć się swymi wrogami, gdy mnie już nie stanie. Tymczasem zaś oszczędź tych niewielu zdolnych oficerów, którzy mi jeszcze pozostali!

Już od dawna nikt nie słyszał od niego równie stanowczych słów. Jego syn i podwładny uświadomili sobie, że ten posiwiasty, zreumatyzowany osobnik o zmętniałych oczach to niegdysiejszy pogromca Floty Majońskiej; tysiąc obciętych skrzydeł nieprzyjacielskich wodzów zawisło wówczas na masztach Drakhonów. Był to wciąż jeszcze ich przywódca w wojnie ze Stadem Lannachów. Przyjęli więc postawę szacunku na czterech łapach i czekali, aż znowu przemówi.

– Pojąłeś mnie zbyt dosłownie. Delp – mówił admirał łagodniejszym tonem. Sięgnąwszy na półkę umieszczoną nad stołem zdjął długą fajkę i zaczął napełniać ją płatkami wysuszonego drysu, które wydobyl z kapciucha zawieszzonego u pasa. Jednocześnie ułożył wygodniej swe sztywne stare ciało w krześle z drewna i skóry. – Zdziwiłem się oczywiście, lecz zakładam, że nasi zwiadowcy potrafią jeszcze używać lunet. Opisz mi jeszcze raz dokładnie, co się wydarzyło.

– Patrol nasz wyruszył na zwykły rekonesans do miejsca

o około trzydzieści obdisai stąd na północny-północny-zachód – Delp ostrożnie dobierał słów. – Jest to w okolicy wyspy zwanej... Nie potrafię wymówić barbarzyńskiej nazwy nadanej jej przez tamtejszych mieszkańców, ale znaczy ona Łopot Sztandarów.

– Tak, tak – przytaknął Syranax – wiesz, czasem jeszcze zdarza mi się popatrzeć na mapę.

Theonax uśmiechnął się. Delp nie potrafił być pochlebcą, i to był jego kłopot. Jego dziadek był zwykłym żaglomistrzem, zaś ojciec został tylko kapitanem tratwy. Było to już oczywiście po tym, jak ich ród otrzymał szlachectwo za bohaterską służbę w bitwie o Xaryde – ale była to nadal drobna szlachta, niewiele wyższa ponad zwykłych żeglarzy, a na ich rękach znać jeszcze było ślady ciężkiej pracy.

Syranax – wcielona odpowiedź Floty na owe dni głodu i spustoszenia – wybierał oficerów na podstawie ich zdolności i niczego poza tym. W ten właśnie sposób prosty Delp hyr Orikan wystrzelił w ciągu paru lat na drugie co do ważności stanowisko wśród Drakhonów. To jednak nie zatarło szorstkości jego wychowania, ani nie nauczyło go, jak postępować z prawdziwie szlachetnie urodzonymi.

O ile Delp cieszył się popularnością wśród prostych żeglarzy, o tyle większość arystokratów nienawidziła go – parweniusza, prostaka, który śmiał poślubić córkę rodu Axollon! Niech tylko chroniące go skrzydła starego admirała zewrą się w śmiertelnym uścisku...

Theonax już teraz smakował rozkosz tego, co stanie się z Delpem hyr Orikanem. Łatwo będzie znaleźć jakiś pretekst do oskarżenia...

Komandor przełknął ślinę. – Wybacz, panie – mruknął. – Nie chciałem... w końcu jesteśmy na tym morzu od niedawna...

Zwiadowcy zobaczyli ten pływający przedmiot, nie przypominający niczego nam znanego. Dwaj z nich przylecieli, by donieść o tym i czekać na rozkazy. Poleciałem sam, aby to sprawdzić. Panie, to prawda!

– Obiekt pływający, sześć razy dłuższy od naszych największych łodzi, podobny do lodu, ale nie z lodu – admirał potrząsnął siwą długą grzywą. Powoli umieścił suchą hubkę na dnie krzesiwa. Uderzył w nie z przesadną gwałtownością, wytrząsnął tłącą się hubkę do fajki i zaciągnął się głęboko.

– Dobrze wypolerowany kryształ górski podobny jest trochę do tej substancji – stwierdził Delp. – Ale nie jest tak jasny. Nie ma takiego blasku.

– I powiadasz, że biegają po nich zwierzęta?

– Trzy, panie. Mniej więcej tego wzrostu, co my, lub trochę większe, lecz bez skrzydeł i ogonów. Ale nie są to zwierzęta... Myślę. Wydaje mi się, że noszą ubrania i – moim zdaniem to, na czym się znajdują, nie miało służyć jako łódź. Trudno się na tym utrzymać, a poza tym tonie.

– Jeśli to nie łódź, ani nie kawał drewna splukany z brzegu – rzekł Theonax – powiedz więc – skąd się wzięło? Z Dalekich Mór?

– Raczej nie, kapitanie – powiedział Delp z irytacją. – Gdyby tak było, istoty znajdujące się na tym przedmiocie byłyby rybami lub ssakami morskimi albo... w każdym razie byłyby przystosowane do życia w wodzie. A one nie są. Wyglądają na typowe nietlone lądowe formy życia, choć mają tylko cztery kończyny.

– Więc zapewne spadły z nieba – zakpił Theonax.

– Nie byłbym wcale zdziwiony – rzekł bardzo cicho Delp. – Żaden inny kierunek nie wchodzi w rachubę.

Theonax przysiadł na zadzie, rozwarłszy paszczę ze zdziwienia. Jego ojciec tylko skinął głową.

– Bardzo dobrze – mruknął. – Miło mi, że ktoś ma jeszcze trochę wyobraźni.

– Ale skąd one przyleciały? – wybuchnął Theonax.

– Być może nasi wrogowie, Lannachowie będą coś wiedzieć na ten temat – rzekł admirał. – Każdego roku oblatują większe przestrzenie, niż my oglądamy przez całe pokolenia. Napotykają na barbarzyńskie stada na obszarach tropikalnych i wymieniają wiadomości.

– Oraz samice – powiedział Theonax. W jego głosie zabrzmiała najwyższa dezaprobata zabarwiona jednak lubieżnością, co było charakterystyczne dla stosunku całej Floty do obyczajów ras przelotnych.

– Nieważne – warknął Delp.

Theonax zjeżył się. – Ty pomocię pomywacza pokładów, jak śmiesz...

– Zamilcz! – ryknął Syranax.

– Zarządę przesłuchania naszych jeńców – mówił po chwili dalej. – Tymczasem trzeba będzie posłać szybką łódź by zabrała te istoty, dopóki nie zatoni obiekt, na którym się znajdują.

– Mogą być niebezpieczne – ostrzegł Theonax.

– Właśnie – powiedział jego ojciec. – O ile tak jest, lepiej jeśli znajdą się w naszych rękach niż gdyby mieli ich uratować Lannachowie i zawrzeć z nimi przymierze. Delp weź „Nemnis” z pewną załogą i – rozwiń żagle. Zabierz ze sobą Lannacha, którego pojaliśmy: jakże on się zwie, ten, co jest biegły w językach...

– Tolk? – komandor miał kłopoty z obcą wymową.

– Właśnie. Może on potrafi z nimi mówić. Wyślij z powrotem

zwiadowców, by zdali mi sprawozdanie, ale trzymaj się z dala od głównych sił Floty, póki nie będziesz miał pewności, że te istoty nie są dla nas niebezpieczne. A także, póki nie uda mi się uciszyć zabobonnych obaw klas niższych przed diabłami morskimi. Bądź uprzejmy, jeśli to możliwe, lecz i ostry, jeśli to konieczne. Zawsze możemy później prosić o wybaczenie lub... wyrzucić ciała za burtę, teraz leć!

Delp poleciał.



Przytłaczała go pustka.

Nawet z tak małej wysokości z kołyszącego się i chybotącego kadłuba zniszczonego planetolotu Eryk Wace dostrzegał bezmiar horyzontu. Zdawało mu się, że sam ogrom tego pierścienia, na którym spotykały się mroźna bladość nieba i szarość chmur, burzy i tal posuwających się przed siebie starczy, by przerazić człowieka, jego przodkowie stawali w obliczu śmierci na Ziemi, ale ziemski horyzont nie był tak bezkresny.

Nieważne, że dzieliło go ponad sto lat świetlnych od Słońca. Owe odległości były zbyt wielkie, by można je było sobie uprzytomnić; stawały się wyłącznie liczbami i nie przerażały kogoś, kto mierzył w parsekach na tydzień szybkość statku kosmicznego z napędem drugiej klasy.

Nawet te dziesięć tysięcy kilometrów otwartego oceanu dzielące go od osady handlowej – jedynej ludzkiej kolonii na tym świecie – stanowiło zaledwie jeszcze jedną liczbę. Później, gdyby przeżył. Eryk zadręczałby się myśleniem, w jaki sposób przez tę pustkę przesłać wiadomość o sobie. Na razie jednak był zbyt zajęty utrzymaniem, się przy życiu.

Mógł wszakże ocenić wielkość planety. Poprzednio, w czasie

półtorarocznej służby, nie uderzyła go tak bardzo – lecz wówczas był izolowany, zarówno psychologicznie jak i fizycznie za pomocą, niepokonanej techniki mechanicznej. Teraz zaś był sam na tonącym wehikule – i mógł spoglądać ponad zimnymi falami ku krańcowi świata dwa razy odleglejszemu niż na Ziemi.

Planetolot zatrząsł się pod gwałtownym uderzeniem. Wace stracił równowagę i ześliznął się po zakrzywionych płytach pancernych, gorączkowo starał się pochwycić lekką linkę, którą skrzynie z żywnością przywiązano do wieżyczki nawigacyjnej. Jeśli wpadnie do wody. Buty i zmoczona odzież wciągną go jak kamień w głębinę. Jednak na czas pochwycił linkę i z wysiłkiem powstrzymał staczanie się. Rozczarowana fala smagnęła go w twarz niczym wilgotna, słona ręka.

Trzęsąc się z zimna Eryk Wace umocował na miejscu, ostatnią skrzynię i popęzł ku kłapie. Był to zaledwie nędzny luk awaryjny, lecz fale zalały już luksusowy pokład spacerowy, po którym przechadzali się pasażerowie, gdy grawitatory pojazdu niosły go po niebie. Ozdobne, spiżowe wejście na ów pokład znalazło się już całkowicie pod wodą.

Gdy wpadli do morza, woda całkowicie wypełniła zniszczony przedział silnikowy. Od tamtej pory przesączała się przez pogięte grodzie i trzaskające płyty pancernych, aż cały wehikuł gotów był już prawie do swej ostatniej podróży, na dno morza.

Wiatr przebierał mu chudymi palcami w przemoczonych włosach i starał się przeszkodzić w zamknięciu włazu. Eryk walczył z huraganem... Huraganem? Nie, do diabła! Wiatr wiał ledwie z szybkością ociężałej bryzy, ale przy ciśnieniu atmosferycznym sześciokrotnie wyższym niż na Ziemi owa bryza uderzała z siłą ziemskiego sztormu. Niech piekło pochłonie Planetolot Ligi Polecotechnicznej numer 2987165! Niech szlag

trafi samą Ligę. Nicholasa van Rijna, a w szczególności Eryka Wace, skoro był takim durniem, że zdecydował się na pracę w Spółce.

Gdy tak walczył z lukiem, spojrzął przelotnie ponad krawędzią, jakby spodziewał się nadejścia ratunku. Ujrzał tylko czerwone słońce i olbrzymie masy chmur czerniejące burzą na północy, a na ich tle kilka punkcików – zapewne mieszkańców planety.

Oby diabeł piekł ich na wolnym ogniu za to, że nie przyszli z pomocą! Lub też niech raczej oddalą się dyskretnie, gdy ludzie będą szli na dno; niech nie wiszą tu nad nami napawając się widokiem!

– Wszystko w porządku?

Wace zamknął luk, szybko go zaryglował i zszedł po drabinie. U jej stóp musiał przytrzymać się, by nie upaść po silnym wstrząsie. Słyszał jeszcze bicie fal o kadłub i wycie wichru.

– Tak, pani – odrzekł. – O ile to możliwe.

– A niewiele jest możliwe, prawda? – Księżna Sandra Tamarin oświetliła go latarką. Poza snopem światła była jeszcze jednym cieniem w ciemnościach martwego pojazdu.

– Wyglądasz jak zmokły szczur, przyjacielu. Chodź, przynajmniej jest dla ciebie suche ubranie.

Eryk skinął głową; zdjął mokrą kurtkę i kopnięciem zrzucił buty, w których chlupotała woda. Bez nich przemarzłby tam w górze, gdzie nie mogło być więcej niż pięć stopni powyżej zera, ale wydawało mu się, że zabrał w nich połowę wody z oceanu. Gdy szedł w głąb korytarza, zęby mu szczękały.

Eryk Wace był młodym człowiekiem urodzonym w Ameryce Północnej. Miał rude włosy i niebieskie oczy oraz nieco kwadratowa twarz widniejącą ponad dobrze umięśnioną

sylwetką. Pracę zaczął w wieku lat dwunastu jako praktykant w ziemskich magazynach, a teraz był przedstawicielem Solarnej Spółki Przypraw i Alkoholi na całą planetę Diomedes. Nie była to olśniewająca kariera – van Rijn był bowiem zwolennikiem awansowania według zasług, co oznaczało, że największe szansę miał lotny umysł, pewnie strzelający miotacz oraz wzrok skupiony na wykorzystaniu najlepszych okazji. Lecz kariera Eryka toczyła się spokojnie i stale naprzód, w perspektywie zaś miał placówki na planetach mniej odległych i nieprzyjemnych, a w końcu stanowisko kierownicze z powrotem na Ziemi i... po co właściwie o tym myślał, skoro obce wody miały go pochłonąć za kilka godzin?

Na końcu korytarza wystawała ponad kadłub wieżyczka nawigacyjna; dostawało się przez nią gniewne miedziane światło miejscowego słońca stojącego nisko na bladym niebie zasnutym chmurami, na południowym zachodzie, bo dzień miał się ku końcowi. Księżna Sandra wyłączyła latarkę i pokazała leżący na stole kombinezon. Obok znajdowała się watomana, wyposażona w kaptur i rękawice kurtka, która będzie mu znów potrzebna, gdy wyjdzie na zewnątrz na przedwiosenne powietrze.

– Włóż wszystko – powiedziała. – Gdy statek zacznie iść na dno, trzeba się będzie szybko stąd wynosić. – Gdzie jest van Rijn? – zapytał Wace.

– Kończy ostatnie prace przy tratwie. Van Rijn wie, jak się obchodzić z narzędziami, prawda? No, ale przecież był kiedyś prostym członkiem załogi statku kosmicznego.

Wace wzruszył ramionami i czekał, aż Sandra wyjdzie.

– Przebieraj się, mówiłam ci już – powiedziała.

– Ale...

– Ach – przez twarz jej przemknął słaby uśmiech. – Myślałam,

że na Ziemi nie wstydzą się nagości.

– No, w zasadzie nie, pani... ale w końcu jesteś księżno szlachtetnie urodzona, a ja jestem tylko kupcem...

– Największe snoby pochodzą z planet republikańskich jak Ziemia – powiedziała. – Tu jesteśmy wszyscy sobie równi. Szybko, przebieraj się. Odwróć się, jeśli chcesz.

Wace wcisnął się w kombinezon jak tylko umiał najszybciej. Jej wesołość przyniosła mu niespodziewaną pociechę. Że też ten stary, gruby, obleśny kozioł van Rijn ma zawsze takie szczęście!

To niesprawiedliwe!

Osadnicy na planecie Hermes pochodzili w większości ze szlacheckich rodów, a ich potomkowie przestrzegali czystości krwi, zaś w szczególności arystokraci po tym, jak Hermes obwołał się autonomicznym Wielkim Księstwem. Księżna Sandra Tamarin była prawie tego samego wzrostu, co Eryk, a obszerny ubiór polarny nie mógł ukryć jej zgrabnych kobiecych kształtów. Nie była piękna – twarz jej miała zbyt wyraziste rysy – szerokie czoło, szerokie usta, zadarty nos, wydatne kości policzkowe. Lecz jej wielkie zielone oczy oprawione w ciemne rzęsy i ciężkie czarne brwi były tak piękne, że piękniejszych w życiu nie widział. Miała włosy proste, długie, barwy popielatej, teraz zebrane w węzeł, lecz Eryk widział je kiedyś w świetle świecy opadające spod przepaski luźno na ramiona.

– Czy już skończyłeś, Eryku Wace?

– Och... wybacz, pani. Zamyśliłem się. Jeszcze chwilę. – Naciągnął watowany kubrak, nie zapinając go jednak. We wnętrzu kadłuba pozostały jeszcze resztki ciepła. – Już. Proszę o wybaczenie.

– To nic. – Odwróciła się, ocierając się o niego w ciasnocie. Skierowała wzrok ku górze. – Ci tubylcy... są tam jeszcze?

– Sądzę, że tak, pani. Są zbyt wysoko, aby można mieć pewność, ale potrafią przecież bez trudności wznieść się na wysokość kilku kilometrów.

– Myślałam o czymś, Eryku, ale nie było okazji do zadania pytania. Wydawało mi się, że niemożliwe jest istnienie latającego stworzenia o wielkości człowieka – a ci Diomedańczycy mają jednak nietoperzowe skrzydła o rozpiętości sześciu metrów. Dlaczego?

– Pani, zadajesz takie pytania teraz?

Uśmiechnęła się. – Teraz czekamy tylko na Nicholasa van Rijna. Cóż innego możemy robić niż rozmawiać o osobliwościach?

– Możemy... mu pomóc dokończyć tę tratwę, bo inaczej utoniemy wszyscy!

– Van Rijn powiedział mi, że jego akumulatory wystarczą tylko dla jednej spawarki, więc każda pomoc będzie mu tylko zawadą. Proszę, mów dalej. Wysoko urodzeni mieszkańcy Hermesa, mają swe obyczaje i nakazy, również co do zachowania się w obliczu śmierci. Z czego wszak składa się człowiek, jeśli nie z obyczajów i nakazów? – Mówiła swobodnym, matowym głosem uśmiechając się lekko, lecz Eryk zastanawiał się, ile z tej swobody było tylko udawaniem.

Chciał jej powiedzieć: Znajdujemy się na wodach oceanu na planecie, której życie przynosi nam śmierć. O kilkadziesiąt kilometrów stąd znajduje się wyspa, ale w którą stronę – dokładnie nie wiadomo. Może uda się nam, a może nie uda ukończyć na czas tratwę budowaną z pustych beczek po paliwie; uda się nam albo nie uda załadować na nią żywność odpowiednią dla ludzi; zaś sztorm budzący się na północy też się uspokoi, albo nie. Tubylcy przelatywali nad nami jeszcze kilka

godzin temu, ale od tego czasu nie zwracają na nas uwagi, lub ignorują nas... w każdym razie nie udzielili nam pomocy.

Ktoś nienawidzi ciebie lub van Rijna, mówiłby dalej. Nie mnie. Ja jestem zbyt małym pionkiem, by mnie nienawidzić. Ale van Rijn włada Solarną Spółką Przypraw i Alkoholi, która z kolei jest największą potęgą w zbadanej części Galaktyki. A tyś jest księżną Sandrą Tamaryn, dziedziczką tronu władającego całą planetą – oczywiście jeśli przeżyjesz obecne wydarzenia. Odrzuciłaś wiele propozycji zamążpójścia składanych przez przedstawicieli podupadającej, chorej arystokracji z twojej planety, i publicznie ogłosiłaś, że gdzie indziej poszukasz ojca twoich dzieci, że kolejny Wielki Książę Hermesa będzie mężczyzną, a nie chichoczącym manekinem; toteż wielu dworzan obawia się twego wejścia na tron.

O tak, chciał jeszcze i to powiedzieć, jest wielu takich, którzy skorzystają na tym, że Nicholas van Rijn albo Sandra Tamarin nie powrócą z tej podróży. Była to z jego strony galanteria pełna wyrachowania, że zaproponował ci podróż własnym statkiem kosmicznym z Antaresa, gdzie poznaliście się, na Ziemię, z przystankami w co ciekawszych miejscach na całej drodze. Najmniejsze, na co mógł liczyć, to przywileje handlowe na obszarze Wielkiego Księstwa. Największe – nie, nie mógł liczyć na oficjalny związek, ma na to w sobie zbyt wiele przewrotności, i nawet ty, silna, piękna i niewinna nie dopuściłabyś go do wysokiego tronu twoich przodków.

Ale zbaczam z tematu, moja droga, mówiłby dalej, a tematem jest to, że kogoś z załogi przekupiono. Spisek został zręcznie przygotowany, a ten ktoś czekał tylko okazji. Nadarzyła się ona po wylądowaniu na Diomedesie, gdy chcieliście ujrzeć, jak wygląda prawdziwa dziewicza planeta, której nawet głównych

kontynentów nie zdołano dokładnie nanieść na mapę w ciągu tych zaledwie pięciu lat, od kiedy wylądowała tu garstka ludzi. Okazja nadarzyła się, gdy kazano mi zawieźć ciebie i mojego starego piekielnego szefa ku owym stromym górcom po drugiej stronie planety, które sławiono za ich cudowny widok. Bomba w głównym generatorze... załoga zginęła, technicy i stewardzi zabici wybuchem, kopilot rozbił czaszkę, gdy rzuciło nas do wody... radio strzaskane... a planetolot zatonił dużo wcześniej niż personel bazy zaniepokoi się i uda na poszukiwania. A gdybyśmy nawet przeżyli – czy jest najmniejsza szansa, że kilka platform powietrznych krążących nad prawie całkowicie niezbadanym światem dwa razy większym od Ziemi potrafi dostrzec trzy małe ludzkie punkciki?

Dlatego, chciał jeszcze powiedzieć, że wszystkie plany i działania doprowadziły nas tylko do tego, dobrze będzie jeśli zapomnisz o tym na ten krótki czas, jaki nam pozostał i zamiast tego – pocałujesz mnie.

Ale głos uwiązł mu w gardle i nic z tego nie powiedział.

– Więc? – w jej głosie zabrzmiała nuta niecierpliwości. – Milczysz, Eryku Wace.

– Wybacz, pani – mruknął. – Boję się, że nie potrafię wieść swobodnej rozmowy... w tych warunkach.

– Żałuję, ale nie posiadam dostatecznych kwalifikacji, by dać ci religijną pociechę duchową – powiedziała z raniącym szyderstwem.

Wielki siwy grzywacz uniósł się nad pokład zewnętrzny i sięgnął wieżyczki. Poczuli, jak konstrukcja ze stali i plastyku zatrzęsła się pod uderzeniem wody. Nim woda spłynęła, stali przez chwilę w nieprzeniknionych ciemnościach.

Gdy się przejaśniło i Wace ujrzał, jak głęboko wrak się już

zanurzył, zastanowił się, czy zdołają w ogóle przejść na tratwę van Rijna przez zalany luk ładowni. Nagle daleki błysk bieli przyciągnął jego wzrok.

Zrazu nie wierzył własnym oczom, potem nie śmiał uwierzyć, lecz w końcu nie mógł zaprzeczać temu, co zobaczył.

– Księżno Sandro – powiedział niezwykle ostrożnie, bo nie mógł sobie pozwolić na okrzyki, które przystoją tylko nisko urodzonym Ziemiom.

– Tak? – nie odwróciła oczu pochłonięta jeszcze kontemplacją horyzontu na północy, wypełnionego tylko chmurami i błyskawicami.

– Tam, pani. Mniej więcej na południowy wschód... żagle idące pod wiatr.

– Co?! – z jej ust wyrwał się okrzyk. Ni stad, ni zowąd Eryk roześmiał się głośno.

– Jakaś łódź – wskazał. – Kieruje się w tę stronę.

– Nie wiedziałam, że tubylcy są żeglarzami – rzekła cicho.

– Ci w pobliżu naszej placówki nie są – odparł. – Ale to jest ogromna planeta. Powierzchnia jej lądów przewyższa mniej więcej czterokrotnie powierzchnię lądów Ziemi – a my poznaliśmy dotychczas mały skrawek jednego kontynentu.

– Więc nie wiesz, kim są ci żeglarze?

– Nie mam pojęcia, pani.



Zwabiony okrzykami Nicholas van Rijn sapiąc nadchodził korytarzem.

– Piekło i szatani! – zaryczał. – Więc powiadasz, że to łódź, *ja*? Jeśli się mylisz, lepiej dla ciebie będzie, żeby to był rekin. Do diabła! – Wgramolił się do wieżyczki i wyjrzał na zewnątrz przez iluminator pokryty zaskorupiałą solą. Robiło się coraz ciemniej, gdyż słońce już zachodziło, a zbliżające się chmury burzowe przepływały przez jego czerwoną tarczę.

– No! Gdzie jest ta parszywa łódź?

– Tam, proszę pana – powiedział Wace. – Tamten szkuner...

– Szkuner? Bałwan! Do stu tysięcy beczek prochu. Ty zakuty łbie, toż to przecież żagle jolki! Nie, zaczekaj, na grotmaszcie jest zwinięty kwadratowy żagiel i... tak, jest również przeciwwaga. *Ja*, zachowuje się tak, że ma na pewno porządny ster i... Wszyscy święci pańscy, miejcie mnie nas w swej opiece! Toż to cholerna, przekłeta dłubanka!

– Czego się pan spodziewał na planecie bez metali? – zapytał Eryk. Nerwy miał tak napięte, że zapomniał o szacunku należnemu arystokracji kupieckiej profesji.

– Hm, może składaki, może tratwy, katamarany... Szybko,

sucha odzież! Za zimno na takie zabawy!

Wace zdał sobie sprawę, że van Rijn stoi w kałuży słonej morskiej wody, która ścieka mu po nogach. Ładownia, w której pracował, była zapewne zalana od wielu godzin!

– Wiem gdzie jest, Nicholasie – Sandra pobiegła w dół korytarzem rozbryzgując wodę. Korytarz przechylał się stale, w miarę jak coraz więcej wody dostawało się przez rozbitą rutę.

Eryk pomógł swemu szefowi zdjąć ociekający kombinezon. Nagi, van Rijn przypominał... jakże się zwała ta wymarła małpa?... dwumetrowego goryla, owłosionego i brzuchatego, o ramionach jak kamienica. Van Rijn głośno wyrażał swe niezadowolenie z zimna, wilgoci i powolności ruchów pomocników. Na grubych palcach błyszczały pierścienie, na przegubach – bransolety, zaś na szyi wisiał medalik z podobizną świętego Dyzmy. Wace zawsze uważał, że krótkie włosy i dobrze wygolona twarz są praktyczniejsze; van Rijn zaś swe czarne włosy trefił i pomadował według archaicznej mody, na twarzy hodował kozią bródkę oraz przeraźliwie wywoskowane wąsy pod wielkim zakrzywionym nosem. Sapiąc szperał w szafce nawigacyjnej, aż znalazł butelkę rumu.

– Aha! Wiedziałem, że gdzieś schowałem tę przeklętą flaszkę. – Przyłożył ją do żabich ust i jednym haustem przełknął porcję równą kilku kieliszkom. – Dobrze! Pięknie! Może teraz zaczniemy na powrót żyć jak szanujący się ludzie, nie!

Gdy usłyszał, jak wraca Sandra, odwrócił się, majestatyczny i okrągły jak księżyc. Jedyne pasujące na niego ubranie, jakie znalazła, było jego własnym: pyszny strój składający się z koszuli obszytej koronką, haftowanej kamizelki, szarawarów i pończoch z błyszczącego jedwabiu, złocistych pantofli, kapelusza z piórem i miotacza w kaburze.

– Dziękuję – rzekł krótko. – Teraz Eryku, gdy będę się ubierał, zechciej zejść do hallu i przynieść mi stamtąd pudełko Perfectosów i buteleczkę calvadosu. Potem udamy się na zewnątrz by powitać gospodarzy planety.

– Święty Piotrze! – wykrzyknął Wace. – Hall jest pod wodą!

– Ach – westchnął van Rijn boleściwie – więc przynieś mi tylko calvados. Szybko! – strzelił palcami.

– Nie ma czasu, proszę pana – pośpiesznie powiedział Wace. – Muszę jeszcze zgromadzić resztę amunicji. Tubylcy mogą być wrogo usposobieni.

– To możliwe, jeśli już o nas słyszeli – zgodził się van Rijn. Zaczął wkładać jedwabną bieliznę. – Brrr! Postawię pięć tysięcy świec, jeśli nagle znajdę się z powrotem w moim biurze w Dżakarcie!

– Któremuż to świętemu składacz tak szczodłą ofiarę? – zapytała Sandra.

– Oczywiście świętemu Mikołajowi, mojemu imiennikowi, patronowi podróżnych

– Święty Mikołaj lepiej zrobi, jeśli weźmie zobowiązanie na piśmie – zaśmiała się.

Van Rijn spurpurowiał, ale nie mógł odpowiednio odgryźć się prawowitej następczyni tronu planety, która miała do zaoferowania korzystne transakcje handlowe. Ulżył sobie za to wywrzaskując obelgi za oddalającym się Erykiem.

Upłynęło trochę czasu, nim wydostali się na zewnątrz. Van Rijn utknął w luku awaryjnym i trzeba go było pchać, a przekleństwa wykrzykiwane rozgniewanym basem zagłuszyły grzmoty nadchodzącej burzy. Czas obrotu Diomedesa wokół osi wynosił zaledwie dwanaście godzin, a na tej szerokości geograficznej, trzydzieści stopni na północ, była jeszcze pora

zimowa, toteż słońce opadało ku morzu z wielką szybkością. Trzymali się lin, nie opierając się smaganiom wiatru i falom, które się przez nich przelewały. – Nic więcej nie mogli zrobić.

– To nie miejsce dla biednego starego grubasa – zajęczał van Rijn. Wicher wydarł mu słowa z ust i cisnął ich strzępy na wodę. Dłgie do ramion loki van Rijna trzepotały jak postrzępiona chorągiew. – Trzeba mi było zostać w domu na Jawie, gdzie jest ciepło, a nie tracić tu moich nędznych ostatnich lat życia!

Wace wytrzeszczał oczy w ciemnościach. Dłubanka podpływała coraz bliżej. Nawet taki szczer lądowy jak on potrafił docenić zręczność załogi, zaś van Rijn swe pochwały wyrażał na cały głos.

– Do diabła, zapiszę go do Sundajskiego Jachtklubu, a potem zgłoszę do najbliższych regat i postawię na niego!

Była to duża – łódź o długości ponad trzydziestu metrów, z wymyślną dziobnicą, lecz przy śmiałej rozpiętości żagli zdawała się nieduża. Mimo przeciwwagi, Eryk oczekiwał w każdej chwili wywrotki. Oczywiście, istotom latającym groziło w takim przypadku mniej, niż...

– Ci Dioniedańczycy – głos Sandry ledwie go doszedł na tle gwizdu wiatru i huku morza – jacy oni są? Przebywałeś wśród nich przez półtora roku, prawda? Czego możemy się po nich spodziewać?

Wace wzruszył ramionami. – A czego można się było spodziewać po dowolnym plemienu ludzi z epoki kamiennej? Mogli to być artyści lub ludożercy, bądź jedno i drugie. Znam tylko Stado Tyrlańskie, w którym są – przelotni łowcy, jeśli tak można powiedzieć. Zawsze – trzymają się litery swych praw, choć nie są zbyt drobiazgowi, jeśli chodzi o ich ducha. W sumie jednak to porządne plemię.

– Mówisz ich językiem?

– Na tyle, na ile pozwala mi na to budowa narządów głosowych i wychowanie w ziemskiej kulturze technicznej. Nie twierdę, że zrozumiałem wszystkie ich pojęcia, ale udało mi się porozumieć... – Pęknięty kadłub zachybotał się. Eryk usłyszał, jak rozpada się jakaś nadwyrężona grodzień, a do środka wlewa się kolejna porcja wody morskiej. Stopami sięgał już wody. Sandra oparła się o niego; dostrzegł, jak bryzgi wody zamarzają jej na brwiach.

– Nie znaczy to, że będę rozumiał miejscowy język – skończył poprzednią myśl. – Jesteśmy dalej od Tyrlanu niż Chiny od Europy.

Łódź była już prawie przy nich i to w samą porę: wrak mógł zatonać w każdej chwili. Żagle opadły, rzucono kotwicę, a mocne ramiona żeglarzy zanurzyły wiosła w wodę. Wkrótce jeden z Diomedańczyków wskoczył na wrak trzymając w ręku linę. Dwaj inni znajdowali się w pobliżu, niewątpliwie jako straż. Ten pierwszy zbliżył się i przyjrzał się ludziom.

Tyrlan znajdował się bardziej na północ i tamtejsi mieszkańcy nie wrócili jeszcze z tropików, toteż był to pierwszy Diomedańczyk, którego Sandra ujrzała na własne oczy. Była zbyt przemoczona, zziębnięta i zmęczona, by napawać oczy niezwykłym wdziękiem jego ruchów – ale przyjrzała mu się dobrze. Miała zapewne przebywać z przedstawicielami tej rasy przez dłuższy czas – o ile zechcą zostawić ją przy życiu.

Jeśli przyjąć ludzkie kryteria, Diomedańczyk był niskiego wzrostu, a ponadto miał gruby ogon metrowej długości, olbrzymie nietoperzowe skrzydła złożone teraz na plecach. Ramiona osadzone były poniżej skrzydeł, blisko połowy lśniącego foczego ciała; przypominał bardzo człowieka wraz

z umięśnionymi rękami o pięciu palcach. Nogi były nieco odmienne, bo zginały się do tyłu nad stopami o czterech szponach, przypominających stopy ziemskich ptaków drapieżnych. Głowa, osadzona na szczycie szyi dwukrotnie dłuższej niż u człowieka, była okrągła, o wysokim czole, żółtych oczach z mrugającymi błonami. Nad oczami znajdowały się ciężkie łuki brwiowe. Twarz, zakończona tępym pyskiem, pod czarnym nosem miała również krótkie, jakby kocie wąsiki, wielkie usta i niedźwiedzie kły zdradzające zwierzę mięsożerne niedawno przemienione we wszystkożerne. Małżowin usznych nie było, zaś mięsisty grzebień umieszczony pośrodku głowy pomagał sterować w locie. Diomedańczyk pokryty był krótkim, miękkim brązowym futrem i był to niewątpliwie ssak rodzaju męskiego.

Na ramionach krzyżowały mu się dwa pasy, w połowie tułowia obejmował go trzeci, do którego przytroczone były dwie pękate skórzane torby. Widać było wyraźnie jego uzbrojenie: nóż z obsydianu, smukły toporek z krzemiennym ostrzem oraz bolasy. W zapadających ciemnościach trudno było dojrzeć, jak uzbrojeni byli jego towarzysze krążący w górze; mieli jakąś długą i cienką broń, lecz na pewno nie były to strzelby – nie na tej planecie pozbawionej miedzi i żelaza.

Eryk Wace pochylił się i zaczął łamać język charkotliwymi zgłoskami języka tyrlańskiego. – Jesteśmy przyjaciółmi. Czy mnie rozumiesz?

Przytłoczył go grad całkowicie nieznanymi słów. Smętnie wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Diomedańczyk ruszył wzdłuż kadłuba – na dwóch nogach, pochylając się nieco w przód, aby zrównoważyć ciężar ogona i skrzydeł – i odnalazł występ, do którego Ziemianie przytroczyli swe linki

ubezpieczające. Szybko przywiązał własną linę w tym samym miejscu.

– Lina okrętowa – cicho zauważył van Rijn. – Prawie taka, jak na Ziemi...

Lina posłużyła do podholowania łodzi bliżej. Diomedańczyk obrócił się ku Erykowi i pokazał na nią. Eryk skinął głową, zdał sobie sprawę, że ten gest znaczy tu zapewne zupełnie coś innego, o ile w ogóle coś znaczy, i zrobił ostrożny krok we wskazanym kierunku. Diomedańczyk chwycił rzuconą mu następną linę. Pokazał na nią, na ludzi i zaczął gestykulować.

– Rozumiem – powiedział van Rijn. – Obawiają się bliżej podpłynąć. Mogą łatwo rozbić łódź o kadłub. Mamy się obwiązać liną, a oni nas przeciągną. Święty Krzysztofie, żeby tak traktować sparciałe kości biednego starca!

– Jeszcze nasza żywność – powiedział Wace.

Planetolot drgnął i zanurzył się głębiej. Diomedańczyk poruszył się nerwowo.

– Nie, nie! – krzyknął van Rijn. Zdawało mu się chyba, że jeśli będzie darł się dość głośno, uda mu się pokonać barierę językową. Zatrzepotał rękami. – Nie! Nigdy! Czy nie rozumiecie wy kapuściane głowy? Lepiej nam utonąć w waszym zapaskudzonym oceanie, niż próbować waszego jedzenia! Śmierć! Zaraza! Samobójstwo! – Dotknął ręką ust, poklepał się po brzuchu, a potem machnął ręką w kierunku zapasów żywności.

Wace pomyślał ponuro, że ewolucja jest zanadto elastyczna. Oto planeta, posiadająca tlen, azot, wodór, węgiel, siarkę... Biochemia, oparta na białku tworzy geny, chromosomy, komórki, tkanki... miejscowa protoplazma odpowiada wszelkim ziemskim definicjom... a każdego człowieka, który spróbuje zjeść diomedański owoc lub befsztyk, spotka pewna śmierć

spowodowana około pięćdziesięcioma reakcjami alergicznymi. Po prostu nie były to odpowiednie białka. W ogóle tylko zabiegi uodparniające chroniły ludzi przed chronicznym katarem siennym, astmą czy pokrzywką, spowodowaną powietrzem, którym oddychali, lub wodą, którą pili.

Eryk spędził tego dnia wiele godzin na przenoszeniu zapasów żywności planetolotu w celu późniejszego przetransportowania ich na tratwę. Ten luksusowy pojazd przeznaczony do podróży w zasięgu atmosfery został przywieziony w statku kosmicznym van Rijna, który kazał obficie go zaopatrzyć na damsko-męskie pikniki, gdyby miał na nie ochotę. Było tam dość żytniego chleba, masła, serów, wędzonego łososa, wędzonego indyka, kaparów, kompotów w puszkach, czekolady, placka ze śliwkami, piwa, wina i Bóg wie jeszcze czego dla trzech osób na kilka miesięcy.

Diomedańczyk rozpostarł skrzydła, manewrując nimi, by utrzymać równowagę. W świetle przyćmionym burzą zdawało się, że szpony na górnej krawędzi skrzydła, przemknęły blisko sępiej twarzy van Rijna niczym kosiarka prowadzona przez jakiegoś modernistycznego anioła śmierci. Kupiec czekał nieruchomo, co chwila wskazując palcem na stosy skrzynek. W końcu Diomedańczyk albo zrozumiał o co chodzi, albo po prostu ustąpił. Zostało już niewiele czasu. Zagwizdał w kierunku łodzi, skąd nadciągnęła chmara jego towarzyszy, którzy rozwiązali liny mocujące skrzynki i zaczęli przenosić je na łódź. Eryk pomógł Sandrze obwiązać się sznurem. – Obawiam się, że będzie to mokra podróż, pani – próbował się uśmiechnąć.

– Więc to są te bohaterskie przygody pionierów międzygwiazdnych – zakpiła. – Będę musiała zamienić parę słów z mymi poetami dworskimi, gdy wrócę... jeśli wrócę.

Gdy Sandra była już po drugiej stronie, a linę odrzucono

z powrotem, van Rijn skinął na Eryka. Sam wyklócał się o coś z wodzem Diomedańczyków. Jak mu się to udawało bez znajomości języka. Wace nie wiedział, ale obaj rozmówcy osiągnęli już stadium wykrzykiwania obelg na siebie nawzajem. W momencie, gdy Eryk zacisnął zęby i wskoczył do wody, van Rijn zbuntował się i usiadł.

Gdy młody człowiek, zmokły jak szczur, dotarł wreszcie do łodzi, kupiec najwyraźniej wygrał ten słowny pojedynek. Jeden Diomedańczyk może wzbić się w powietrze z ładunkiem około pięćdziesięciu kilogramów i przenieść go niewielką odległość. Trzej tubylcy związali z lin prymitywną uprząż, i przenieśli van Rijna nad wodą. Nim dotarli do łodzi, planetolot zatonął.



W dłubance siedziała ponad setka tubylców, wszyscy uzbrojeni, niektórzy w hełmach i napierśnikach z kilku warstw twardej skóry. Na dziobie stała katapulta, ledwo widoczna w ciemności, zaś na rufie znajdowała się kabina zbudowana z pni młodych drzew, powiązanych wodorostami. Górowała nad łodzią niczym rufa średniowiecznej karaweli. Na jej dachu dwaj sternicy mocowali się z potężnym rumplem.

– Jak widać, znaleźliśmy się na okręcie wojennym – mruknął van Rijn. – To nie za dobrze. Z kapitanem statku handlowego mogę jeszcze pogadać. Jeśli zaś chodzi o jakiegoś parszywego oficerka, któremu tylko naszywki w głowie – na takiego mogę się tylko drzeć. – Uniósł małe, blisko siebie osadzone oczka ku nocnemu niebu, po którym przemknęła błyskawica. – Jam nędzny grzesznik – krzyknął – ale na to nie zasłużyłem! Czy mnie słyszysz?

Po chwili popchnięto Ziemię między gibkimi ciałami Diomedańczyków w kierunku kabiny. Dłubanka poczęła umykać przed sztormem na żaglach częściowo zrefowanych poza kliwrem. Kołysanie i chybot, hałas fal, wiatru i grzmotów odeszły powoli na dno świadomości Eryka. Chciał tylko znaleźć jakieś

suche miejsce, zdjąć ubranie, wśliznąć się do łóżka i spać sto lat.

Kabina była mała. Gdy troje ludzi i dwaj Diomedańczycy w niej się znaleźli, ledwie mogli usiąść. Lecz było w niej ciepło, a kamienna lampa zwieszająca się z sufitu rzucała przytłumione światło wywołując groteskowo poruszające się cienie.

Jednym z dwóch Diomedańczyków w kabinie był tubylec, który pierwszy skoczył na kadłub planetolotu. W jednej ręce trzymał swój sztylet ze szkła pochodzenia wulkanicznego; nie usiadł, przysiadł tylko ostrożnie, a jego uwaga częściowo skupiła się na drugim, który był starszy i chudszy, a w jego sierści prześwitywały kępki siwych włosów. Stał przywiązany rzemieniem do słupka w kącie kabiny.

Oczy Sandry zwęziły się. Miotacz, który pożyczył jej van Rijn, niby przypadkiem znalazł się na jej kolanach, gdy usiadła. Diomedańczyk z nożem rzucił okiem na miotacz, a van Rijn zaklął. – Ty głupia smarkulo, po cholere wskazałaś mu, że to broń?

Pierwszy krajowiec powiedział coś do więźnia. Ten mu odburknął, a następnie zwrócił się do ludzi. Gdy przemówił, zabrzmiało to jak inny język.

– Aha! Tłumacz! – zawołał van Rijn. – Ty mówić ziemski, nie? Moja, twoja... – Klepnął się po biodrze.

– Nie, proszę poczekać. Warto spróbować. – Wace przeszedł na język Tyrlanian. – Czy mnie rozumiesz? Tylko w tym języku możemy próbować się porozumieć. Więzień nastroszył swój grzebień i przysiadł na czterech łapach. To, co odpowiedział, było prawie znajome. – Mów trochę wolniej, dobrze – rzekł Wace i poczuł jak senność mija.

Z trudnością rozumiał, co mówi tamten: – Używasz odmiany języka Karnojów, której nigdy nie słyszałem.

– Karnojowie... Zaraz, owszem, jeden z Tyrlanian wspominał o grupie plemion daleko na południu, którzy się tak nazywali. – Mówię w języku Tyrlanian.

– Nie znam tej rasy(?). Nie zimują na naszych terenach. Karnojowie też nie robią tego regularnie (?), ale od czasu do czasu, gdy bywamy w tropikach (?) spotykamy jednego czy dwóch, więc... – Wace przestał rozumieć.

Diomedańczyk z nożem powiedział coś niecierpliwie, a tłumacz warknął do niego w odpowiedzi. Następnie zwrócił się do Eryka.

– Jestem Tolk, mochra Lannachów...

– Co i kogo? – zapytał Wace.

Nawet dwaj ludzie mają trudności z porozumieniem się, gdy używają różnych dialektów języka, który dla żadnego nich nie jest językiem ojczystym. Trudności te zwiększała dodatkowo specyfika ludzkiej wymowy, przesunięta w dół skala słuchu Diomedańczyków oraz odmienna krzywa reakcji w sytuacji – stresowej. Przez całą godzinę Wace uzyskał tyle tylko informacji, że można je było zawrzeć w kilku krótkich zdaniach.

Tolk był specjalistą od języków Wielkiego Stada Lannachów; do jego zadań należało nauczenie się wszystkich języków, a było ich wiele, z jakimi zetknęło się jego plemię. Zapewne jego tytuł można by przetłumaczyć jako Herold, bowiem jego obowiązki obejmowały często oficjalne anonsowanie, zaś pod komendą miał oddział posłańców. Stado znajdowało się w stanie wojny z Drakhonami, a Tolka pojmano w niedawnej potyczce. Drugi z obecnych Diomedańczyków zwał się Delp i był wysokim oficerem Drakhonów.

Wace zwlekał jak mógł z mówieniem o sobie, mniej z chęci zachowania tajemnicy, ile ze świadomości, jak trudne to będzie

zadanie. Nie zapomniał jednak poprosić Tolka, aby ostrzegł Delpa, że żywność zabrana z planetolotu, jadalna dla Ziemi, była śmiertelna dla Diomedajczyków.

– A dlaczego mam mu to powiedzieć? – zapytał Tolk niezbyt przyjemnym uśmiechem.

– Jeśli tego nie zrobisz – rzekł Eryk – nie wyjdzie ci na zdrowie, gdy dowie się, że wiedziałeś, ale nie ostrzegłeś.

– Prawda. – Tolk przemówił do Delpa. Oficer szybko coś odpowiedział.

– Mówi, że nic wam się nie stanie, jeśli sami czegoś nie sprowokujecie – wyjaśnił Tolk. – Mówi, że macie się nauczyć jego języka, by sam mógł z wami rozmawiać.

– Czego chciał? – przerwał van Rijn.

Wace wyjaśnił mu. Van Rijn eksplodował. – Co?! Co on pieprzy? Mamy tu siedzieć dopóki... A niech to jasny piorun strzeli! Powiedz tej zdechłej żabie... – Uniósł się z ziemi. Drzwi kabiny rozwarły się i do środka wpadło dwóch strażników. Jeden z nich trzymał w ręku toporek, drugi zaś drewniany trójząb zakończony krzemiennymi ostrzami.

Van Rijn chwycił za miotacz. Zaskrzeczał głos Delpa. – Mówi, żebyście zachowali spokój – przetłumaczył Tolk. Po dłuższej chwili rozmowy, z wielkim wysiłkiem i odgadując co drugie słowo Eryk zrozumiał coś niecoś.

– Delp nie chce wam zrobić nic złego, ale musi dbać o swych ludzi. Jesteście dla niego czymś nowym. Może potraficie mu pomóc, a może zaszkodzić, toteż nie może was ot tak po prostu zwolnić. Musi mieć czas, by podjąć decyzję. Macie zdjąć całą odzież i inne przedmioty, i zostawić u niego. Otrzymacie inne ubrania, ponieważ, jak widać, nie macie sierści.

Gdy Eryk przetłumaczył to wszystko van Rijnowi, kupiec

zareagował z niezwykłym spokojem. – Chyba nie mamy w tej chwili wyboru. *Ja*, możemy wielu zabić, nawet zdobyć całą Łódź. Ale przecież nie damy rady sami dopłynąć do bazy. Nawet jeśli nic by się nam nie przydarzyło, zabraknie nam żywności, nie? Gdybym był młodszy, dobry święty Jerzy mi świadkiem, że walczylibym uczciwie, zgodnie z zasadami. Jedną ręką bym go rozdarł na pół i zagrałbym mu na żebrach jak na cymbałach. Cały jego lud zmusiłbym, aby mi pomógł. Ale teraz jestem już za stary, za gruby i zmęczony. Trudno jest być starym, mój chłopcze...

Zmarszczył pochyle czoło i skinął głową z mądrą miną. – Ale tu, gdzie są dwie wrogie strony, które można wygrać przeciwko sobie, tu właśnie uczciwy kupiec ma szansę zarobić coś niecoś!



– Najpierw – powiedział Wace – musisz przyjąć, że świat jest kulisty.

– Nasi filozofowie wiedzą o tym już od dawna – rzekł Delp zadowolony z siebie. – Nawet barbarzyńcy, tacy jak Lannachowie mają o tym pojęcie. W końcu podczas przelotów pokonują co roku tysiące obdisai. My się tak daleko nie przemieszczamy, ale nim podjęliśmy daleką żeglugę, musieliśmy opanować astronomię.

Wace miał wątpliwości, czy Drakhonowie potrafią się precyzyjnie orientować w miejscu położenia. Ze zdumieniem oglądał osiągnięcia ich neolitycznej cywilizacji, nie tylko w zakresie obróbki kamienia, ale również szkła i ceramiki. Wytwarzali nawet niektóre żywice syntetyczne. Wynaleźli teleskop, rodzaj astrolabium, oraz tablice nawigacyjne oparte na ruchach słońca, gwiazd i dwóch małych księżyców. Jednakże wynalezienie kompasu i chronometru jest niemożliwe bez żelaza – a żelazo na Diomedesie istniało tylko w ilościach śladowych.

Machinalnie odnotował istnienie chłonnego rynku zbytu. Mieszkańcy Tyrlanu dosłownie rzucali się na proste narzędzia i broń z metalu płacąc bajońskie sumy w futrach, drogich

kamieniach i farmakologicznie użytecznych sokach roślin, które spowodowały zainteresowanie planetą ze strony Ligi Polezotechnicznej. Drakhonowie potrzebowali bardziej wyszukanych urządzeń – od zegarów i suwaków logarytmicznych do silników wysokoprężnych – i byli w stanie zapłacić odpowiednio wyższe ceny.

Uprzytomnił sobie ponownie, gdzie się teraz znajduje: na tratwie „Gerunis”, stanowiącej kwaterę Głównego Komandora Floty, a ta miła istota, która siedzi na pokładzie i gawędzi z nim, to przecież strażnik jego więzienia.

Ile czasu upłynęło od katastrofy – piętnaście dni diomedańskich? Według ziemskiej rachuby czasu, ponad tydzień. Ziemianie już zjedli pewną część odpowiedniej dla nich żywności.

Eryk przez ten czas uczył się pilnie języka Drakhonów od współwięźnia, Tolka. Szczęściem dawno już Liga z konieczności opracowała system przyswajania jak największej ilości wiedzy w jak najkrótszym czasie. Przy odpowiedniej koncentracji wyszkolony umysł zapamiętywał każdą informację po jej zaledwie jednokrotnym przekazaniu. Tolk sam używał podobnego systemu; może i nigdy w życiu nie widział metalu, lecz w sprawach językowych był specjalistą.

– No więc – powiedział Wace ciągle jeszcze niezbyt pewnie z powodu luk w swym ubogim słownictwie, które jednak w zasadzie mu wystarczało – czy wiesz, że ta kula, ten świat krąży wokół słońca?

– Wielu naszych filozofów w to wierzy – rzekł Delp – ale ja sam jestem praktykiem (?) i zawsze było mi raczej obojętne, jak jest naprawdę.

– Ruch waszej planety jest niecodzienny. Właściwie z wielu

punktów widzenia jest to wybryk natury. Wasze słońce jest zimniejsze i czerwiejsze niż nasze, więc na planecie jest zimniej niż u nas. Słońce posiada masę (jak to po waszemu powiedzieć?) niewiele mniejszą od masy Sol i znajduje się w podobnej odległości. Dlatego też rok na Diomedesie, bo tak nazywamy waszą planetę, jest tylko trochę dłuższy niż na Ziemi; zdaje się, że wynosi siedemset osiemdziesiąt dwa dni diomedańskie, prawda? Wasza planeta ma dwukrotnie większą średnicę niż Ziemia, ale brak jej ciężkich pierwiastków znajdujących się na innych planetach. Dlatego też grawitacja... a, cholera, znowu nieznany termin... dlatego ważę tu tylko o jedną dziesiątą więcej niż na Ziemi.

– Nic nie rozumiem – powiedział Delp.

– A, nieważne – rzekł ponuro Eryk Wace.

Planetografom Diomedes nie dawał spokoju. Nie można go było zakwalifikować do żadnego z podstawowych typów planet: nie był stosunkowo małą kulą twardej materii, jak Ziemia czy Mars; nie był także olbrzymem gazowym ze skolapsowanym jądrem, jak Jowisz, czy 61C Łabędzia. Stanowił ciało pośrednie, którego masa wynosiła 4,75 masy Ziemi, ale gęstość całkowita była dużo niższa. Było to spowodowane prawie całkowitym brakiem wszystkich pierwiastków cięższych od wapnia.

W układzie planetarnym, do którego należał Diomedes, była jeszcze jedna podobna mu dziwaczna planeta, nie nadająca się do zamieszkania; pozostałe były to mniej lub bardziej normalne olbrzymy gazowe okrążające słońce, karła typu G8 nie różniącego się zasadniczo od innych gwiazd o tej wielkości i temperaturze. Dowodzono, że jakieś nieprawdopodobne zakłócenie kosmiczne lub też może osobliwe zjawisko magnetyczne, niczym przypadkowo utworzony spektrograf

masowy na skalę kosmiczną, spowodowało, że żadne ciężkie pierwiastki nie znalazły się w tej części pierwotnej chmury gazowej... Dlaczego jednak we wnętrzu Diomedesa nie nastąpił kolaps molekularny zwiększający gęstość? Sam napór masy winien spowodować degenerację materii. Najbardziej prawdopodobna odpowiedź na to pytanie zakładała, że minerały tworzące masę planety nie były typowe, ponieważ powstały pod nieobecność takich pierwiastków, jak chrom, mangan, żelazo i nikiel. Ich struktura krystaliczna była najwyraźniej stabilniejsza niż na przykład struktura oliwinu, najważniejszej spośród ziemskich substancji utworzonych przez kondensację w wyniku ciśnienia...

Niech to diabli wezmą!

– Zostawmy w spokoju ten ciężar – powiedział Delp. – Cóż jest niezwykłego w ruchu Ikthanis? – Tak brzmiała miejscowa nazwa planety, która nie odpowiadała nazwie „Ziemia”, lecz „Oceania”.

Wace potrzebował czasu do namysłu – szczegóły techniczne przekraczały jeszcze jego niewielki zasób słów. Chodziło głównie o to, że nachylenie osi Diomedesa wynosiło prawie pięćdziesiąt stopni, toteż oba bieguny znajdowały się w zasadzie w płaszczyźnie ekliptyki. Ten fakt, w połączeniu ze światłem zimnego słońca, ubogim w ultrafiolet, miał decydujący wpływ na kształt życia na planecie.

Na biegunach przez prawie pół roku panowała noc, której warunków nie kompensował dzień trwający pozostałe pół roku. Istniały gatunki zwierząt żyjące w strefie polarnej, były to jednak nieciekawe osobniki przesypiające zimę. Nawet na szerokości geograficznej 45 stopni długa noc trwała trzy miesiące, a zima była ostrzejsza niż jakakolwiek zima na Ziemi. Diomedańczycy obdarzeni rozumem zamieszkiwali obszar ograniczony właśnie

45 stopniem szerokości północnej i południowej; bliżej biegunów przebywać nie mogli. Coroczne przeloty do stref cieplejszych i z powrotem zabierały zbyt wiele czasu i energii, i mieszkańcy planety trwali w stałej walce o byt na poziomie paleolitycznym.

Tu, na trzydziestym stopniu szerokości północnej Zima Absolutna trwała jedną szóstą roku, czyli nieco ponad dwa ziemskie miesiące, a lot do równikowych terenów rozrodczych i powrotem zabierał kilka tygodni. Stąd też Lannachowie byli ludem w znacznym stopniu cywilizowanym. Drakhonowie zaś przybyli tu z terenów położonych jeszcze bardziej na południe...

Ale bez metali niewiele można osiągnąć. Oczywiście magnezu, berylu i aluminium na planecie było dość, ale co z nich był za pożytek bez rozwiniętej technologii elektrolizy, do której potrzeba było miedzi lub srebra?

Delp przechylił głowę. – Mówisz, że na twojej Ziemi dzień zawsze jest równy nocy?

– No, nie zawsze. Ale z waszego punktu widzenia – prawie zawsze.

– Więc dlatego nie macie skrzydeł. Gwiazda Przewodnia nie dała wam ich, bo ich nie potrzebujecie.

– No, może i tak. Zresztą na nic by się nam nie przydały. Ziemskie powietrze jest zbyt rzadkie by istota o twoich lub moich rozmiarach, potrafiła latać o własnych siłach.

– Jak to, rzadkie? Powietrze to... powietrze.

– A, nieważne. Musisz mi uwierzyć na słowo.

Jak można wytłumaczyć pojęcie potencjału grawitacyjnego przedstawicielowi cywilizacji, w której matematyka jest na poziomie euklideskim? Można powiedzieć tak: „Słuchaj, jeśli wzniesiesz się na sześć tysięcy trzysta kilometrów ponad Ziemię, jej przyciąganie spadnie do jednej czwartej pierwotnego – ale

aby podobnie zmniejszyć przyciąganie Diomedesa trzeba wzlecieć już na trzysta tysięcy kilometrów. Stąd też Diomedes potrafi utrzymać wokół siebie znacznie więcej powietrza. Do tego dochodzi jeszcze słabsze promieniowanie słoneczne, a w szczególności stosunkowo mniej promieni ultrafioletowych. Jednak w sumie tajemnica leży w potencjale grawitacyjnym.

Tu powietrze jest tak gęste, że gdyby proporcje zawartości tlenu czy nawet azotu były podobne jak na Ziemi, uległbym zatruciu. Na szczęście atmosfera diomedańska zawiera pełne siedemdziesiąt procent neonu. Tlen i azot są w mniejszości; ich ciśnienie cząstkowe jest niewiele większe niż na Ziemi. Podobnie rzecz się ma z dwutlenkiem węgla i parą wodną.

Lecz Eryk Wace nie powiedział tego wszystkiego. – Pomówmy o Ziemiach – rzekł tylko. – Czy zdajesz sobie sprawę, że gwiazdy to także słońca, takie jak twoje, ale niezmiernie odleglejsze; a także, że Ziemia krąży wokół takiej właśnie gwiazdy?

– Tak. Słyszałem rozważania filozofów – wierzę ci.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jacy jesteśmy potężni, skoro potrafimy przemierzać przestrzenie międzygwiazdne? Czy pojmujesz, jak możemy was wynagrodzić za pomoc w dostaniu się do bazy – i jak nasi przyjaciele potrafią was ukarać, jeśli nas tu uwięzicie?

Na krótką chwilę Delp rozpostarł skrzydła; sierść zjeżyła mu się na grzbiecie, a oczy pożółkły z gniewu. Pochodził wszak z dumnego ludu. Potem zgarbił się. Mimo bariery dzielącej obie rasy Eryk pojął jego rozterkę.

– Sam mi powiedziałaś, Ziemiannie, że lecieliście nad Oceanem od zachodu i przez tysiące obdisai nie widać było najmniejszej wysepki. To potwierdza nasze obserwacje. Nie ma

możliwości, byśmy poleciełi tak daleko niosąc was czy nawet wiadomość dla waszych przyjaciół, jeśli po drodze nie ma gdzie się zatrzymać na odpoczynek.

– Rozumiem – Wace powoli i z namysłem skinął głową. – A nie uda się nam dopłynąć nawet w najszybszej łodzi nim nie skończy się nasza żywność.

– Niestety nie. Nawet gdyby wiatry były przez całą drogę przychylne, łódź jest znacznie wolniejsza od skrzydeł. Pokonanie takiej odległości zajęłoby nam pół roku albo i więcej.

– Ale musi być jakiś sposób...

– Być może. Ale pamiętaj, że toczymy ciężką wojnę. Nie możemy poświęcić na waszą korzyść ani zbyt wielu wysiłków, ani wojowników. Myślę, że admirał nawet nie zamierza próbować.



Na południu leżał Lannach, wyspa rozmiarami zbliżona do Brytanii. Poczynając od Lannachu archipelag Holmenach zakrzywiał się na odległości kilkuset kilometrów na północ, ku regionom skutym jeszcze zimą. Stąd też wyspy stanowiły granicę i osłonę, otaczając morze Achan i zabezpieczając je przed wielkimi zimnymi prądami Oceanu.

Tu stała Flota Drakhonów.

Nicholas van Rijn stał na głównym pokładzie „Gerunis” wpatrując się w główne ugrupowanie Floty na wschodzie. Kurtka i spodnie niezgrabnie uszyte z twardego płótna przez żaglomistrza drażniły skórę nawykłą do kosztowniejszych tkanin. Dokuczył mu już jadłospis oparty na konserwach mięsnych i owocowych – ale gdyby i tego nie stało, zaczęłyby przymierać głodem. O wściekłość przyprawiała go świadomość, że siedzi tu jak więzień, z którego życzeniami nikt nie musi się liczyć. Równie przykra była myśl o tym, ile pieniędzy traci jego firma na skutek braku osobistego nadzoru.

– Ba! – zadudnił. – Gdyby rzeczywiście chcieli poświęcić się problemowi dostarczenia nas do bazy, udałoby się.

Sandra rzuciła mu zmęczone spojrzenie. – A Lannachowie

będą pewnie siedzieć cicho przez ten cały czas, gdy Drakhonowie wszystkie siły poświęcą na dostarczenie nas do domu? – odparła.
– Zwycięstwo w tej ich wojnie waży się; Drakhonowie mogą ją jeszcze przegrać.

– *Godverdomme gezvam!* – zamachał owłosioną pięścią w powietrzu. – Te durnie kłócą się o marny skrawek ziemi, a w tym czasie Solarna Spółka Przypraw i Alkoholi traci miliony kredytek dziennie!

– Ta wojna jest jednak sprawą życia i śmierci dla obu stron – powiedziała.

– Dla nas też. Nie? – Poszperał po kieszeniach, szukając fajki, przypomniał sobie, że leży teraz na dnie morza i jęknął. – Niech no ja się dowiem, kto podrzucił mi tę bombę do planetolotu... – Nie przyszło mu na myśl by wyrazić jej współczucie, że razem z nim znalazła się w tarapatach. A może to właśnie przez nią te kłopoty?... – No – powiedział spokojniej – jasne jest, że musimy tu załatwić parę spraw. Trzeba za nich zakończyć tę wojnę, aby mogli zająć się ważniejszymi rzeczami, czyli zanieśieniem mnie do domu.

Sandra zmarszczyła brwi. – To znaczy, pomóc Drakhonom? Wcale mi na tym nie zależy. To oni są najeźdźcami. Tylko, że to dlatego, że ich żony i dzieci głodują... Westchnęła. – Trudno to rozwikłać. Niech więc i tak będzie.

– O, nie! – van Rijn pogłaskał się po brodzie. – Pomożemy tym drugim. Lannachom.

– Co?! – Uniosła się z nadburcia patrząc nań ze zdumieniem. – Ale...

– Widzisz – wyjaśnił van Rijn – znam się coś niecoś na polityce. Znajomość polityki potrzebna jest uczciwemu kupcowi szukającemu okazji, by zarobić trochę ciężko zapracowanego

grosza, inaczej jakiś pieprznięty politykier przylezie i opodatkuje mi to na jakąś głupią szkołę czy inny dom starców. Polityka na tej planecie niewiele się różni od tego, co robimy w Galaktyce. Ta cała Flota opiera się, co prawda, na grupie możnych arystokratów, ale właściwa potęga pozostaje przy tronie – przy admirale. Admirał jest stary, a jego syn, następca tronu ma więcej do powiedzenia, niż powinien. Nadstawiam uszu ku plotkom – tubylcy zapominają, że my słyszymy znacznie lepiej od nich w tej grochówkowej atmosferze. Ja wiem. To twardy gość, ten Theonax.

– Więc pomożemy Drakhom zwyciężyć Stado – mówił dalej.
– I co? I tak wygrywają wojnę. Stado prowadzi teraz tylko walkę podjazdową na dzikich obszarach Lannachu. Są jeszcze mocni, ale Flota Drakhomów ma przewagę, a żeby zwyciężyć wystarczy im tylko przez jakiś czas utrzymać status quo. A w końcu co my, którym dobry Bóg nie dał skrzydeł, możemy zwojować przeciwko partyzantce Lannachów? Powiedzmy, że pokażę Theonaxowi, jak używać miotacza, to jeszcze będę musiał mu znaleźć cel, przeciwko któremu będzie miał go użyć!

– Hm – Sandra skinęła sztywno głową. – Chodzi o to, że potem, gdy nas dostarczą do domu, nie mamy nic do zaoferowania Drakhomom oprócz układu handlowego?

– Właśnie. A po co mają się spieszyć do spotkania z Ligą? Są słusznie ostrożni w postępowaniu z nieznanym, jak na przykład przybysze z Ziemi. Muszą umocnić się po nowym podboju, nim zaczną przyjmować wizyty potężnych gości, nie? Jak mówiłem, słyszałem plotki i wiem, jak się kształtują ich plany co do nas. Może Theonax da nam umrzeć z głodu, albo jeszcze wcześniej poderżnie gardła? Może wyrzuci nasze rzeczy przez burtę i powie później komuś, że nigdy nas na oczy nie widział? A może

też, gdy statek Ligi dotrze w końcu do niego, powie: „Ja, wyciągnęliśmy jakichś ludzi z wody, chcieliśmy dla nich dobrze, ale nie udało się dostarczyć ich na czas do domu.”

– Ale czy oni byliby w stanie to zrobić? To znaczy, drogi van Rijnie, jak ty byś dostarczył nas do domu z pomocą Diomedańczyków?

– Phi, to szczegóły techniczne. Ja technikiem nie jestem. Techników zatrudniam. Nie do mnie należy robienie rzeczy niemożliwych, ale dopilnowanie, by zrobili to inni. Tylko jak mam to zorganizować będąc więcej niż półwięźniem króla, który nie jest ciekaw spotkania z ludźmi? Ha?

– A Lannachowie są w potrzebie i oddadzą ci w ręce, jak to się mówi, swój los. Tak – Sandra zaśmiała się prawie wesoło. – Bardzo dobrze, mój drogi! Jeszcze tylko jedno pytanie – jak dostaniemy się do Lannachów?

Machnęła ręką ku otoczeniu. Widok nie był zachęcający.

„Gerunis” była typową tratwą Drakhonów: wielka, zbudowana z lekkich niczym balsa, lecz twardych kłód związanych ze sobą, jednak z zachowaniem dostatecznych odstępów i elastyczności konstrukcji, by poddawała się falom morza. Ściany zbudowane z pionowych belek umocowanych do poprzecznych kłód tworzyły obszerną ładownię oraz podtrzymywały główny pokład ze skrupulatnie dopasowanych desek. Na dwóch przeciwległych krańcach wznosiły się rufa i forkasztel; na ich płaskich dachach zamontowano artylerię tratwy; na rufie znajdował się również olbrzymi rumpel. Między forkasztelem i rufą znajdowały się również pomieszczenia ładowni, kabin i warsztatów wykonane z plecionki z wodorostów. Tratwa miała mniej więcej sześćdziesiąt metrów długości na piętnaście szerokości; zwężała się ku dziobowi, który służył jako platforma dla kolejnej

katapulty, a także nadawał tratwie kształt bardziej opływowy. Na fokmaszcie i grotmaszcie rozpięto trzy wielkie kwadratowe żagle, a przed samą rufą umieszczony był łaćński bezan. Przy pomyślnym wietrze, biorąc również pod uwagę siłę wiatru na tej planecie, ten niby niezgrabny okręt mógł osiągnąć szybkość kilku węzłów; nawet w czasie sztilu można go było poruszać wiosłami.

Na tratwie znajdowała się setka Diomedańczyków oraz ich żony i dzieci. W tej liczbie dziesięć małżeństw stanowili arystokraci uprawnieni do prywatnych kabin na rufie. Dalsze dwadzieścia par zamieszkiwało w osobnych kajutach na głównym pokładzie – byli to oficerowie i podoficerowie. Zwykłych marynarzy skoszarowano w forkasztelu.

Nieopodal płynęła reszta eskadry. Były w niej tratwy różnych typów – niektóre mieszkalne, jak „Gerunis”, inne, trójpokładowe, przeznaczone do przewożenia ładunków; jeszcze inne niosły na sobie długie zabudowania, w których przetwarzano ryby i wodorosty. Czasem łączono kilka tratw, by utworzyć tymczasową wyspę. Łodzie z przeciwwagą stały przycumowane do tratw, lub patrolowały morze dookoła. Z góry dochodził łopot skrzydeł oddziałów powietrznych wypatrujących wroga; byli to zawodowi żołnierze stanowiący trzon siły bojowej Drakhonów.

Na lewo i prawo od tej eskadry morze, jak okiem sięgnąć, było czarne od jednostek Floty. Większość z nich zajmowała się łowieniem ryb. Była to ciężka praca fizyczna polegająca na ręcznym wyciąganiu długich sieci. Jak się zresztą wydawało, całe życie Drakhonów opierało się na ciężkiej pracy fizycznej. Lecz wodne pola dawały plon, który błyskał i miotał się w sieci...

– Muszą tyrać jak szatany – zauważył van Rijn. Klepnął dłonią o nadburcie. – To drewno jest twarde, nawet jeśli pochodzi z młodego drzewa, a oni obrabiają je narzędziami ze szkła

i kamienia! Mógłbym nawet zatrudnić ich robotników, gdybym wiedział, że nikt im w łeb nie nakładzie głupot o prawach pracowników.

Sandra tupnęła nogą. Nie skarżyła się na niebezpieczeństwo śmierci, chłód i niewygodę, ani na monotonię lekcji języka udzielanych przez Tolka za pośrednictwem Eryka. Ale są jakieś granice. – Albo będziesz mówił do rzeczy, albo sobie pójdę! Pytałam, jak się stąd wydostaniemy.

– Oczywiście, uratują nas Lannachowie – rzekł van Rijn. – Lub raczej – wykradną nas. Tak, w ten sposób będzie lepiej. Gdyby im się nie udało, nasz przyjaciel Delp nie będzie mógł podejrzewać, że to dzięki nam obie strony tak pożądamy naszego towarzystwa.

Sandra osłupiała. – Nie rozumiem. Skąd się dowiedzą choćby, że tu jesteśmy.

– Może Tolk im powie?

– Ale przecież Tolk pilnują jeszcze bardziej, niż nas!

– To prawda. Jednak... – van Rijn zatarł ręce. – Ułożyłem z nim mały plan. On ma łeb, ten gość, prawie tak dobry, jak mój.

Oczy Sandry zabłyśły. – A może byś raczył mnie poinformować, jak ci się udało spiskować z Tolkiem pod okiem wroga, skoro nie znasz nawet języka Drakhonów?

– O, mówię bardzo dobrze tym językiem – rzekł van Rijn słodziutko. – Czy nie słyszałaś, jak wspominałem o podsłuchiwaniu plotek na statku? Myślisz, że skoro robię takie trudności i wciąż przesiaduję godzinami z Tolkiem na lekcjach języka to dlatego, że jestem starym durniem, którego trudno czegokolwiek nauczyć? To tylko pozory! Większość czasu spędzamy na nauce jego mowy – języka Lannachów. Nikt tu jej nie zna, więc gdy ktoś słyszy jakieś dziwne słowa, myśli, że może Tolk próbuje mówić moim językiem, co? Pewnie myślą, że ma

dosyć uczenia mnie poprzez Eryka i sam próbuje wtłoczyć mi do głowy mowę Drakhonów. Takie to z nich durnie, *sapperdeflap!* Wyobraź sobie, że wczoraj opowiedziałem Tolkowi świński kawał w jego języku i chyba z powodzeniem, bo był bardzo zde gustowany. To dowód, że biedny stary van Rijn nie tłuszc ma między uszami. O reszcie jego anatomii nie będziemy mówić.

Sandra stała przez chwilę w milczeniu, próbując sobie wyobrazić, jak to jest, gdy ktoś uczy się dwóch nieziemskich języków jednocześnie, a do tego jednego z nich po kryjomu.

– Nie wiem, co mu się w tym dowcipie nie podobało – zastanawiał się van Rijn. – To bardzo dobry kawał. Słuchaj: pewien kupiec dotarł na jedną z planet skolonizowanych przez ludzi i...

– Domyślam się, dlaczego – Sandra pośpiesznie mu przerwała.
– Dlaczego Tolk nie uważał tego żartu za śmieszny. Eryk wyjaśniał mi to przedwczoraj. Lannachowie nie mają, hm, stałego popędu płciowego. Ich rozród następuje raz do roku, w strefie tropikalnej. Według nich nasze – zarumieniła się – ciągle zainteresowanie tymi sprawami nie jest ani normalne ani uprzejme.

Van Rijn skinął głową. – To ja też wiem. Ale Tolk widział przecież życie we Flocie, a tu są małżeństwa i dzieci rodzą się przez cały rok, jak u ludzi.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odrzekła Sandra powoli – i jest to dla mnie zagadką. Eryk Wace mówi, że właściwy genetycznie dla nich byłby cykl rozrodczy, ze względu na instynkt, czy gruczoły, czy jak on to nazwał. Jak Drakhonowie potrafią żyć wbrew własnym gruczołom?

– A jednak żyją inaczej – van Rijn wzruszył potężnymi ramionami. – Niech jakiś uczony napisze pracę na ten temat, ale

może później, co?

Nagle schwyciła jego ramię tak mocno, aż zamrugał. Oczy jej płonęły zielonym blaskiem. – Ale jeszcze nie powiedziałaś mi co... co się stanie? Jak Tolk powie o nas Lannachom? Co mamy robić?

– Nie mam pojęcia – odrzekł jej wesoło. – Improvizuję.

Rzucił spojrzenie paciorkowatych oczu na bladoczerwone niebo. O kilka kilometrów dalej potężnie obudowany drewnem niczym istny zamek na wodzie płynął okręt flagowy Drakhonów. Z okrętu uniosła się chmara nietoperzowych skrzydeł kierując się ku „Gerunis”. Gdzieś w oddali słychać było słaby głos rogu wykonanego z muszli.

– Myślę jednak, że musimy się śpieszyć z rozwiązaniem – skończył swą myśl van Rijn – bo jego reumatyczna królewska mość przybywa tu właśnie, by postanowić, co z nami począć.



Oddział gwardii pałacowej admirała składający się z setki zawodowych wojowników z porywającą oczy dokładnością wylądował na pokładzie i zaprezentował broń. Polerowany kamień i przetłuszczona skóra odbijały mętne światło niczym fale morza; na pokładzie szalał jeszcze huragan rozpętany łopotaniem skrzydeł. Załopotala szkarłatna bandera, a członkowie załogi „Gerunis”, zebrani wśród olinowania i na dachu forkasztela w postawie pełnej szacunku, wydali chrapliwy okrzyk rytualny.

Delp hyr Orikan zbliżył się od strony rufy i pochylił się przed swym władcą w ukłonie. Jego małżonka, piękna Rodonis sa Axollon, oraz ich dwoje dzieci postępowali za nim skuleni, jak najbliżej pokładu, osłaniając skrzydłami oczy. Wszyscy czworo przepasani byli szkarłatnymi szarfami a na ramionach nosili opaski wysadzone klejnotami, co razem składało się na oficjalny strój dworski.

Trójka ludzi stanęła obok Delpa. Van Rijn nie zgodził się na żadne pochylenie i przykucanie. – Żaden członek Ligi Polezotechnicznej nie będzie czołgał się na łokciach i kolanach. Ja w każdym razie nie jestem odpowiedniej budowy ciała.

Tolk z Lannachu siedział hardo obok van Rijna. Skrzydła miał skrepowane siecią, a na szyi obrożę, której smycz znajdowała się w rękach potężnego żeglarza, tak jak wąż utkwiał ponure oczy w admirale.

Również młodzi wojownicy tworzący nieco bezładną gwardię honorową Delpa, ich kapitana, zachowywali się podobnie chłodno – nie wobec Syranaxa, lecz wobec jego syna, następcy tronu; stary admirał wspierał się na jego ramieniu. Wojownicy dzierżyli włócznie, trójzęby, toporki i dmuchawki z drewnianymi bagnetami w pozycji wyrażającej całkowity szacunek – lecz nie wypuszczali ich z rąk, Wace pomyślał, że potężny nos van Rijna jest szczególnie wyczulony na wszelkie oznaki rozdźwięku. Sam dopiero teraz wyczuł napięcie, na które najwyraźniej liczył jego szef.

Syranax odchrząknął, zamrugał oczami i zwrócił się do Ziemiaków. – Który z was jest kapitanem? – zapytał. Jego głos nadal był piękny, lecz nie dochodził już z głębi płuc, zakłócany rżeniem.

Eryk wystąpił naprzód. Odpowiedź jego zawierała to, co van Rijn pośpiesznie mu nakazał, nie wdając się w wyjaśnienia: – Ten drugi mężczyzna, panie, jest naszym przywódcą. Lecz nie zna on jeszcze dobrze waszego języka. Ja sam mam z nim jeszcze pewne kłopoty, więc ten więzień z kraju Lannachów musi niektóre rzeczy tłumaczyć.

Theonax zmarszczył brwi. – Skąd będzie wiedział, co chcecie nam powiedzieć? – zapytał.

– On uczy nas waszej mowy – odrzekł Wace. – Jak wiesz, panie, jego głównym zadaniem jest znajomość innych języków. Ze względu na wrodzony dar oraz doświadczenie z czasu spędzonego z nami często będzie umiał odgadnąć co chcemy

powiedzieć, gdy zabraknie nam jakiegoś słowa.

– To brzmi rozsądnie – Syranax skinął potakująco siwą głową.

– Dobrze.

– Ejże! – Theonax obrzucił Delpa niechętnym spojrzeniem. Delp odpowiedział mu tym samym.

– No! Psiakrew, teraz ja mówić. – Van Rijn potoczył się naprzód. – Mój dobry przyjaciel... eee... hm... pokker, co to za słowo? Mój admirał, my... tego... my gadać jak dobre braty – dobre braty, ja dobrze gadać, Tolk?

Eryk zamrugał oczami. Mimo że Sandra starała się mu coś szeptem tłumaczyć, gdy popychano ich tu na spotkanie z przybyszami, trudno było mu uwierzyć, że tą łamaną, śmiesznie akcentowaną mową van Rijn posługiwał się świadomie i celowo.

I po co?

Syranax poruszył się niecierpliwie. – Może lepiej rozmawiajmy za pośrednictwem waszego towarzysza – zaproponował.

– *Loop naar de bliksem!* – wrzasnął van Rijn. – Jego? Nie, nie, moja mówić sam. Jasno, prosto, jak ty, jak ciebie tam zwać. My mówić jak braty, co?

Syranax westchnął, nie przyszło mu jednak do głowy sprzeciwić się van Rijnowi. Arystokrata z innej planety był jednak arystokratą w oczach przedstawiciela społeczeństwa kastowego, i jako taki, miał prawo przemawiać we własnym imieniu.

– Przybyłbym tu wcześniej – rzekł admirał – ale i tak nie mógłbym z wami rozmawiać, a poza tym były inne sprawy. Zdesperowani Lannachowie są coraz groźniejsi w napadach i zasadzkach. Nie ma dnia bez choćby najmniejszej potyczki.

– Hmmm? – van Rijn zaczął na głos odmieniać w języku Drakhonów słowo „potyczka” przez stopnie natężenia. – Xammagapai... zaraz, zaraz... xammagan, xammagai... a, tak. Mała walka! Ja nie widzieć żadna walka, stary admirał, to znaczy, szanowny admirał.

Theonax zjeżył się. – Bacz, co mówisz, Ziemianinie – warknął. Bywał już na okręcie Delpa, aby przyrzeć się więźniom, a ich zarekwirowana własność znajdowała się w jego posiadaniu. Ludzie nie wzbudzali już w nim strachu, ale może dlatego, że zdaniem Eryka, Theonax nie przyjmował do wiadomości istnienia kogoś, kto ma nad nim jakąkolwiek przewagę.

– I ty też uważaj, synu – mruknął Syranax. – O, tu Lannachowie nigdy nie dolatują – mówił już do van Rijna. – To nasze pozycje na lądzie są stale przez nich atakowane.

– Rozumieć – van Rijn przytaknął obojętnie.

Syranax ułożył się wygodnie na pokładzie. Theonax pozostał w pozycji stojącej, pełen napięcia w obecności Delpa. – Oczywiście mówiono mi o was – kontynuował admirał. – Ciekawe, bardzo ciekawe. Podobno przylecieliście z gwiazd?

– Gwiazdy, tak! – głowa van Rijna zakołysała się w głupkowskim podnieceniu. – My z gwiazd. Daleko, daleko.

– Czy to prawda, że istoty podobne do was założyły bazę po drugiej stronie Oceanu?

Van Rijn wdał się w dyskusję z Tolkiem. Tłumacz przełożył pytanie na jak najprostsze słowa. Po kilku minutach wyjaśnień twarz van Rijna rozjaśniła się. – Tak, tak, my z Oceanu. Daleko, daleko.

– A twoi przyjaciele – nie będą was szukać?

– Oni szukać, tak, oni szukać mnóstwo za bardzo. *Goele God!* Szukać wszędzie. Wy nas traktować dobrze, bo jak się oni

dowiedzieć, to... – van Rijn przerwał z konsternacją na twarzy i wdał się w dalszą rozmowę z Tolkiem.

– Ziemianin chce chyba przeprosić za brak taktu – sucho wyjaśnił Herold.

– To pewnie brak taktu spowodowany szczerością – zauważył Syranax. – Rzeczywiście, jeśli jego przyjaciele odnajdą go jeszcze przy życiu wiele będzie zależeć od tego, jak go traktowaliśmy. Prawda? Chodzi o to, czy odnajdą go dość wcześnie. Jak uważasz, Ziemianinie? – cisnął tym ostatnim pytaniem jak włócznią.

Van Rijn cofnął się, unosząc ręce, jakby chciał zasłonić się od ciosu. – Pomocy! – zajęczał. – Wy nam pomoc, zabrać nas do domu, stary admirał... szanowny admirał... my dostać się do domu i zapłacić dużo, dużo ryba.

– Prawda wychodzi na jaw – szepnął Theonax do ucha ojcu. – Tak zresztą podejrzewałem: nie ma wielkiej szansy, że jego przyjaciele odnajdą go zanim umrze z głodu. Gdyby to było możliwe, nie błagałby nas o pomoc – żądałby wszystkiego, czego dusza zapagnie.

– Ja przynajmniej bym tak postąpił – powiedział admirał. – Nasz gość nie jest zbyt doświadczony w tych sprawach, co? Dobrze wiedzieć, jak łatwo można wycisnąć z niego prawdę.

– A więc – rzekł pogardliwie Theonax, nie zadając sobie trudu, by ściszyć głos – nasz główny problem polega na jak najlepszym ich wykorzystaniu, nim zginą.

Sandra wydała okrzyk przerażenia. Eryk schwycił ją za rękę, otworzył usta by coś powiedzieć, gdy dotarł do niego szept van Rijna.

– Zamknij się! – syknął kupiec. – Ani słowa, ty tępą pało! – Następnie ponownie przyozdobił twarz bojaźliwym uśmiechem i przyjął postawę wytężonej uwagi.

– To nieuczciwe! – wybuchnął Delp. – Na Gwiazdę Przewodnią, panie! To nasi goście, nie wrogowie – nie możemy ich tylko wykorzystać i pozostawić samym sobie!

– A ty – co ty byś zrobił? – Theonax wzruszył ramionami.

Jego ojciec zamrugał oczami mruczając pod nosem, jak gdyby rozważał argumenty obu stron. Między Theonaxem i Delpem jakby przeskoczyła iskra ładunku elektrycznego, przebiegając następnie po zebranej w szeregach załodze „Gerunis” i gwardii pałacowej w postaci prawie niedostrzegalnego napięcia, minimalnego skurczu mięśni i pochylenia oręża ku przodowi.

Van Rijn jakby nagle pojał, o czym mowa. Cofnął się teatralnym ruchem, przesłonił oczy, by w końcu paść na kolana przed Delpem. – Nie, nie! – zapiszczał. – Ty nas zabrać do domu! Ty nam pomóc, my pomóc tobie! Ty pamiętać jak mówić ty nam pomóc a my pomóc tobie!

– Co to wszystko ma znaczyć?!

Słowa te wydarły się zwierzęcym rykiem z piersi Theonaxa. Rzucił się przed siebie. – Już się z nim układałeś, co?

– O co ci chodzi? – Zęby pierwszego oficera zatrzęsły się o centymetry od nosa Theonaxa. Ostrogi jego skrzydeł uniosły się jak ostrza noży.

– Jakiej pomocy mieli ci udzielić owi przybysze?

– A jak myślisz? – Delp rzucił wyzwanie i sprężył się w oczekiwaniu.

Theonax nie od razu podjął rękawicę. – Można by pomyśleć, że masz zamiar pozbyć się niektórych rywali we Flocie – zamruczał słodziutko.

W ciszy, która zapadła na tratwie Eryk Wace słyszał przyspieszony oddech smokopodobnych istot zebranych wśród olinowania. Słyszał również skrzypienie drewna tratwy i lin,

plusk fal i stłumiony szum wiatru. Niemal słyszał szczęk obsydianowych sztyletów na wpeł wyciągniętych z pochew.

Gdy niepopularny księżę znajdzie powód, by uwięzić poddanego, któremu lud prosty ufa, zawsze znajdą się tacy, którzy gotowi będą do walki w obronie uwięzionego. Podobnie było na Diomedesie.

Syranax przerwał pełną napięcia ciszę. – Nastąpiło jakieś nieporozumienie – rzekł głośno. – Nikt nie zamierza nikogo oskarżać na podstawie gadaniny tego stworzenia bez skrzydeł. O co ten cały rwetes? W końcu, w czym mógłby on nam być pomocny?

– To się jeszcze okaże – odrzekł Theonax. – Cywilizacja, której przedstawiciele potrafią przelecieć Ocean w ciągu jednego dnia równonocnego musi znać jakieś pożyteczne sztuczki.

Z rozkoszą inkwizytora, którego więzień się załamuje, zwrócił się ku van Rijnowi. – Może jakoś zabierzemy was do domu, jeśli nam pomożecie – stwierdził krótko. – Jeszcze nie wiemy, jak to zrobić. Może wasze rzeczy pomogłyby zabrać was do domu. Pokaż nam, do czego służą i jak ich używać.

– O tak! – zawołał van Rijn. Klasnął w dłonie i potrząsnął głową. – O tak, dobry pan. Ja pokazać.

Theonax rzucił krótki rozkaz. Jeden z żołnierzy zbliżył się niosąc po pokładzie dużą skrzynię. – Zaopiekowałem się ich rzeczami – rzekł następca tronu. – Nie próbowałem ich ruszać z wyjątkiem tych paru noży z jakiegoś lśniącego materiału. – Na chwilę oczy zabłysły mu szczerym entuzjazmem. – Ojciec, takich noży nie widziałeś nigdy! Nie siekają ani nie szarpią, ale rozcinają! Potrafią przeciąć dobrze wysuszone drewno!

Otworzył skrzynię. Wysocy oficerowie zapomnieli o swej godności i zgromadzili się wokół jak dzieci przy nowej zabawce.

Theonax odesłał ich gestem na bok. – Dajcie temu mazgajowi miejsce do pokazu – zażądał. – Łucznicy, dmuchacze, otoczyć go ze wszystkich stron. Strzelać, jeśli to konieczne.

Van Rijn ujął miotacz.

– Chce pan się przedzierać? – syknął Eryk. – To niemożliwe! – Starał się zasłonić Sandrę przed orężem, którym zewsząd ich okrążono. – Podziurawią nas strzałami zanim...

– Wiem, wiem – cicho warknął van Rijn. – Kiedyż te młode zadufki nauczą się, że szef, nawet stary i samotny, niekoniecznie musi mieć korniki w mózgu? Odsuń się do tyłu, chłopczyku, a kiedy się zaczniesz, padnij na pokład i wykop sobie w nim dziurę.

– Co? Ale...

Van Rijn odwrócił się doń szerokimi plecami i łamanym językiem tubylców zaczął wyjaśniać ze służalczym zapalem. – To być... jak to się nazywa?... rzecz. Ona robić ogień. Wypalać dziury, *barst!*

– Przenośny miotacz płomieni, taki mały? – przez chwilę w głosie Theonaxa słychać było trwogę.

– Mówiłem ci – rzekł Delp – że więcej zyskamy, jeśli będziemy się z nimi dobrze obchodzić. Na Gwiazdę Przewodnią, myślę, że moglibyśmy nawet zabrać ich do domu, gdybyśmy naprawdę chcieli!

– Nim sięgniesz po dowództwo, Delpie, mógłbyś poczekać, aż umrę – powiedział Syranax. Jeśli miał to być żart, wywołał wstrząsające wrażenie. Najbliżej stojącym żeglarzom, którzy to słyszeli, dech zaparło z przerażenia. Straż pałacowa chwyciła za łuki i dmuchawki. Rodonis sa Axollon otoczyła dzieci skrzydłami i warknęła głucho. Żony żeglarzy, stłoczone w forkasztelu, wydały okrzyk na wpół świadomego przestachu.

Delp sam opanował sytuację. – Cisza! – ryknął. – Spocznij!

Zachować spokój! Na wszystkie diabły z Gwiazd Deszczowych, czy te istoty pomieszały nam zmysły?

– Ty patrzeć... – trajkotał van Rijn – brać miotacz... to nazywać się miotacz... naciskać tu...

Z promiennika wytrysnął strumień jonów i uderzył w grotmaszt. Van Rijn natychmiast przesunął miotacz w bok, lecz w drewnie masztu pozostał otwór głębokości kilku centymetrów. Białoniebieski płomień liznął pokład, zapalił zwój liny i ściał część nadburcia, nim van Rijn zwolnił spust.

Z rykiem łopoczących skrzydeł Drakhonowie zerwali się do lotu! Dopiero po kilku chwilach powrócili na swe miejsca na pokładzie lub wśród lin, zaś ci ciekawscy, którzy nadlecieli z innych tratw ciągle jeszcze unosili się w powietrzu. Niemniej jednak na swój sposób były to istoty technicznie rozwinięte i reakcja ich była raczej wynikiem podniecenia niż trwogi.

– Pokaż to! – Theonax schwycił za miotacz.

– Czekać. Zaraz, dobry pan, czekać. – Van Rijn otworzył komorę i kilkoma szybkimi ruchami, osłaniając broń przed oczami obserwatorów, wyłuskał magazyn ładunków. – Najpierw zabezpieczyć. O!

Theonax dłuższą chwilę obracał miotacz w dłoniach. – Co za broń! – szepnął. – Co za broń!

Spocony ze strachu, czekając na objawienie się szatańskiego planu przygotowanego przez van Rijna Eryk Wace pomyślał, że Drakhonowie przeceniają wartość miotacza, co zresztą było zrozumiałe. Broń taka miała wartość tylko w walce na ziemi lub na wodzie – a i tak stary spryciarz rozbroił po kolei wszystkie miotacze, więc nie przeszkolony Diomedańczyk żadnego pożytku z nich by nie miał...

– Ja zabezpieczyć – zbulgotał van Rijn – Zabezpieczyć raz,

dwa, trzy, cztery, pięć... Cztery? Pięć? Sześć? – zaczął gmerać w stosie ubrań, koców, podgrzewaczy, kuchenek i innego sprzętu. – Gdzie być jeszcze trzy miotacz?

– Jakie trzy? – Theonax wytrzeszczył oczy.

– My mieć sześć – van Rijn dokładnie odliczył na palcach.

– Ja, sześć. Ja dać wszystkie ten dobry Delp.

– Co?!

Delp rzucił się z przekleństwem na van Rijna. – To kłamstwo! Były tylko trzy i wszystkie są tutaj!

– Pomocy! – kupiec skrył się za Theonaxem. Delp rozpędem uderzył w syna admirała. Obaj Drakhonowie upadli na pokład w płataninie skrzydeł i ogonów.

– To bunt! – wrzasnął Theonax.

Eryk pchnął Sandrę na pokład przykrywając ją własnym ciałem. Nad nimi powietrze poczerwiano od strzał i pocisków z dmuchawek.

Van Rijn niezgrabnie odwrócił się, by zająć się żeglarzem pilnującym Tolka, lecz ten ruszył już na pomoc Delpowi. Kupiec musiał tylko usunąć sieć krępującą Herolda.

– Teraz – powiedział płynną mową Lannachów – sprowadź swoich żołnierzy, by nas stąd zabrali. Szybko, nim ktoś zauważy!

Tolk skinął głową, rozwinął skrzydła i zniknął w niebie, gdzie bitwa rozpętała się już na dobre.

Van Rijn pochylił się nad Erykiem i Sandrą. – Tędy – jego zdyszany głos ledwo przebił się przez wrzawę bitewną. Uderzenie zadane ogonem przez żeglarza potykającego się z dwoma strażnikami wywołało u kupca stek przekleństw. – Piekło i szatani! *Godverdomme viezerik!* – ryknął pomagając unieść się Sandrze i popychając ją przed sobą ku względnie bezpiecznemu schronieniu w forkasztelu. – Szkoda, że Delp musi

przegrać – powiedział, gdy już znaleźli się wewnątrz, wśród przerażonych kobiet i dzieci obserwujących walkę. Nie ma szans. To porządny gość, mógłbym nawet z nim pohandlować.

– Wszyscy święci Pańscy! – zakrzuszył się Wace. – Wywołał pan wojnę domową po to tylko, aby wysłać posłańca do Lannachów?

– A był lepszy sposób? – zapytał van Rijn.



Gdy generał Krakna padł w bitwie z najeźdźcami. Naczelna Rada Stada wybrała na jego następcę niejakiego Trolwena. W Radzie zasiadała starszyzna, a ich wybraniec był stosunkowo młody, ale Lannachom nie przeszkadzało, że dowodzili nimi młodzi. Generał potrzebuje zdwojonej odporności fizycznej by co roku prowadzić Stado w trudnym i niebezpiecznym przelocie – i rzadko dożywa wieku zgrzybiałego. Gdyby pojawiły się u niego jakieś gwałtowne odruchy właściwe młodości, Rada Naczelna była po to, aby go utemperować. Rada składała się z przywódców klanów, którzy byli już zbyt starzy by dowodzić eskadrami rodowymi, lecz jeszcze nie w tak podeszłym wieku, by porzucić ich na pastwę losu, gdy nadchodzi zimowa pora przelotów.

Matka Trolwena należała do klanu Trekkan, wybitnego rodu posiadającego wielkie majątki w kraju Lannachów. Sama pomnożyła jeszcze to bogactwo drogą mądrego handlu. Domyślała się, że ojcem Trolwena był Tornak z klanu Wendru – nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale syn jej był bardzo podobny do tego walecznego wojownika. Tym niemniej to własne zasługi Trolwena jako oficera klanu Trekkan, w czasie burzy i walki, tokowań i zajęć codziennych sprawiły, że Rada

wybrała go na przywódcę wszystkich klanów. Już od dziesiątków dni dowodził w przegranej z góry wojnie – ale być może dzięki jego obecności lud jego spychany był ku wzgórzom wolniej, niż stałoby się to bez niego.

Teraz leciał na czele głównych sił Stada przeciwko całej Flocie. Wiosenna równonoc właśnie minęła, ale dni już wydłużały się szybkimi skokami – każdego ranka słońce wstawało coraz dalej na północ, a cieplejsze powietrze topiło śniegi. Od równonocy do Ostatniego Wschodu Słońca było tylko sto trzydzieści dni – a potem, w ciągu nieprzerwanego dnia Pełni Lata tylko deszcz lub mgła mogły ukryć niespodziewany atak. A jeśli Drakhonów nie pokonamy do jesieni, myślał ponuro Trolwen, nie będzie sensu wysilać się dalej, dni Stada będą policzone.

Uderzał miarowo skrzydłami w oszczędzającym siły w rytmie urodzonego wędrowca. Pod nim roztaczała się biała tajemniczość chmur, przez którą tu i ówdzie przenikało morze błyskiem jakby polerowanego szkła. Nad głową widział fioletowo-błękitny dach z nocy i gwiazd. Oba księżyce były po tej stronie planety – szybki Flichtan, który w półtora dnia przebiegał od horyzontu do horyzontu i znacznie wolniejsza Nua, której kwadry przebiegały szybciej niż biegła ona sama. Trolwen wciągnął w płuca ciemny chłód powietrza, poczuł napięcie mięśni i zmarszczki przebiegające po sierści, ale – brak w nim było tej zmysłowej radości, jaką daje lot.

Zanadto skupił się na walce, która miała nastąpić.

Generał nie powinien okazywać niezdecydowania, lecz Trolwen był młody i Herold Tolk rozumiał to chyba. – Skąd wiadomo, że te istoty znajdują się jeszcze na tej samej tratwie, na której były, gdy stamtąd odleciałeś? – zapytał Trolwen. Wypowiadał słowa rytmicznie, miarowo oddychając w locie.

Słowa jego rozbrzmiewały na tle szumu wiatru.

– Oczywiście pewności mieć nie można, dowódcu – odrzekł Tolk. – Jednak ten gruby przewidział taką możliwość. Powiedział, że postara się w jakiś sposób znaleźć się na pokładzie codziennie o wschodzie słońca.

– Może jednak – martwił się Trolwen – Drakhonowie uwięzili go, podejrzewając że pomógł ci się uwolnić.

– W tym zamęcie na pewno nikt tego nie widział – odpowiedział Tolk.

– A może też w ogóle nie potrafi nam pomóc. – Trolwen zadrżał. Rada stanowczo była przeciwna tej wyprawie: zbyt ryzykowna, za dużo ofiar pochłonie. Wzburzone klany głośno wyrażały swe niezadowolenie. Z wielką trudnością ich przekonał.

A jeśli miało się okazać, że poświęcił życie wielu wojowników na coś tak groteskowego, bez uzasadnionych przyczyn... Trolwen był równie patriotycznie nastawiony jak każdy młody człowiek, którego naród okrutnie napadnięto, lecz musiał się troszczyć o swą przyszłość. Zdarzało się w przeszłości, że dowódców, którzy okryli się hańbą, na zawsze wypędzano ze Stada jak zwykłych złodziei lub morderców.

Leciał dalej naprzód.

Już od pewnej chwili chłodne, słabe światło przebijało się ku niebu. Wyższe chmury zaczęły już pokrywać się czerwonym odbłaskiem, a półukryte morze rozjarzyło się błyskami refleksów świetlnych. Ważne było, aby dotrzeć do Floty właśnie w tym momencie, by mieć dość światła do akcji, a jednocześnie tak mało, aby wróg zawczasu ich nie dostrzegł.

Jeden z Gwizdaczy, którego młody wiek znaczyła drobna budowa ciała i jakby za wielkie dlań skrzydła, wychynął

z kłębow mgły. Ostre dźwięki wydobywające się z jego ust słychać było daleko i wyraźnie. Tolk, który jako Naczelny Herold zajmował się szkoleniem tych posłańców i zwiadowców w jednej osobie, przechylił głowę a potem przytaknął. – Dobrze to obliczyliśmy – rzekł spokojnie. – Tratwy są tylko o pięć buasków stąd.

– Słyszę – głos Trolwena drżał z napięcia. – Teraz...

Przerwał. Coraz więcej młodych zwiadowców nadlatywało z dołu, szybciej niż latają dorośli Lannachowie. Ich gwizdy stapiały się w bogatą symfonię wojenną. Trolwen odczytywał szyfr jak ojczysty język, zacisnął szczęki i machnął ręką ku chorążemu. Potem runął w dół jak kamień.

Gdy przedarł się przez chmury, ujrzał, jak na olbrzymim obszarze rozpościera się Flota, jeszcze daleko w dole, pokrywając wody morza od wysp zwanych Szczeniętami ku brzegom lądu na wschodzie. Pokłady za pokładami kołyszące się w purpurowoszarej ciszy, maszty jak zęby wyszczerzone ku niebu, światło brzasku odbijające się od wodnego pałacu admirała i czerwieniejące na jego banderze. Na tratwach i łodziach buchnęły okrzyki gdy Drakhonowie usłyszeli wołania straży i chwycili za broń.

Trolwen złożył skrzydła i sprężył się w locie. Za nim, w formacji klina utworzonego przez eskadry poszczególnych klanów, pruło trzy tysiące Lannachów. Nawet pikując w dół Trolwen szukał – gdzie ten dwakroć przeklęty potwór z Ziemi – tam! Dojrzał trzy pokraccze kształty podskakujące i wymachujące rękami na nadbudówce tratwy.

Trolwen rozpostarł skrzydła by wyhamować. – Tam! – zawołał. Chorąży wstrzymał lot i rozwinął czerwony proporzec dowódcy. Eskadry zmieniły szyk klina w bojowy, rozdzieliły się, i kolejno

runęły ku tratwie.

Drakhonowie formowali szyki z przerażającą szybkością i dyscypliną. – Do wszystkich diabłów! – jęknął Trolwen. – Gdybyśmy mogli działać tylko jedną eskadrą, zwykły nalot, nie regularna bitwa...

– Pojedyncza eskadra nie zdołałaby wyciągnąć ich stamtąd żywych, dowódco – powiedział Tolk. – Nie z samego środka nieprzyjacielskich ugrupowań. Trzeba stworzyć wrażenie... że nie opłaci im się... ścigać nas w czasie odwrotu.

– Oni dobrze wiedzą, po co myśmy tu przylecieli – rzekł Trolwen. – Zobacz, jak roją się przy tej tratwie!

Oddział Lannachów przedostał się już przez osłabione linie obrony Drakhonów i osiągnął powierzchnię wody. Jeden pododdział zaatakował tratwę – cel ich ataku; wylądował w formacji kolistej wokół ludzi, a następnie natarł odśrodkowo, by zdobyć cały okręt. Reszta pozostała w powietrzu by odpierać kontrataki nieprzyjaciela.

Na pokładzie rozgrywała się zwykła, niezdarna bitwa lądowa. Obie strony były podobnie uzbrojone; najwyraźniej technika wojenna rozprzestrzeniała się szybciej niż inne. Drewniane miecze wysadzane odłamkami krzemienia, włócznie z ostrzami hartowanymi w ogniu, pałki, sztylety, toporki uderzały w małe tarcze uplecione z wikliny i napierśniki ze skóry. Ogony uderzały, szpony rozdzierały ciała przeciwników, skrzydła tłukły i cięły kolczastymi ostrogami, zęby zwierały się na gardłach, pięści waliły o tułowia. Gdy ktoś nacierał zbyt mocno, jego przeciwnik szukał ratunku we wzlocie. Nikt nie usiłował zwierać szyków, każdy walczył za siebie. Trolwen nie interesował się zbyt mocno tą fazą bitwy; umieściwszy na tratwie przeważające siły wiedział, że może ją zdobyć o ile jego eskadry unoszące się

w powietrzu potrafią odeprzeć nalot pozostałych Drakhonów.

Pomyślał przez chwilę, jak bardzo ta powietrzna bitwa przypomina taniec: zawiły, piękny i straszny. Koordynacja działań tysiąca lub więcej wojowników w skrzydle wymagała najwyższego artyzmu.

Główną siłą „lotnictwa” byli łucznicy. Każdy z nich trzymał w szponach nóg łuk tak długi jak on sam, napinał go rękami i puszczał, sięgał zębami do kołczanu na brzuchu po nową strzałę i zakładał ją na cięciwę, nim ta jeszcze się całkowicie uspokoiła. Taki oddział, szkolony prawie od dziecka, mógł postawić zasłonę ze strzał, której nie przeszedłby nikt żywy. Gdy jednak w kołczanach zabrakło już świszczącej śmierci, a następowało to szybko, musieli wycofywać się do tragarzy po nowe strzały. Była to najniebezpieczniejsza faza ich działania i cała reszta armii służyła do jej zabezpieczenia.

Jedni rzucali bolasy, inni ciężkie bumerangi o zaostrzonych krawędziach, jeszcze inni obciążone sieci, w które zaplątany wróg opadał w śmiertelnym locie. Dmuchawki były nowym wynalazkiem wypatrzonym wśród innych plemion w tropikalnych regionach godowych. Tu Drakhonowie byli lepsi – ich dmuchawki zaopatrzone były w ryglowy mechanizm powtarzalny i bagnety z drewna hartowanego ogniem. Również poszczególne jednostki bojowe Floty były bardziej zwarte.

Z drugiej strony wciąż jeszcze opierali się na nieporadnym kodzie hejnałowym jako na metodzie dowodzenia całą armią. Znacznie elastyczniejszy oddział Gwizdaczy śmigał od jednego dowódcy do drugiego wiążąc Stado w jeden ogromny, zawzięty organizm.

Bitwa przenosiła się to w górę, to dół, gdy chmury rozdarły się ukazując słońce wysoko na niebie barwiące fale morza na

czerwono. Trolwen rzucał rozkazy: Hunlu – wzmocnić górne prawe skrzydło, Torcha – markować atak na tratwę admirała, Stygen – przejść do natarcia na przeciwległym skrzydle...

Ale Flota była na miejscu, myślał niewesoło Trolwen, i na miejscu był jej cały arsenał: więcej pocisków niż mogły zabrać jego powietrzne wojska, które i tak były w mniejszości. Jeśli walka nie zakończy się szybko...

Tratwa z Ziemianami była już opanowana przez Lannachów, zaś łodzie Drakhonów zbliżały się, by ją odbić. Jedna z nich bluznęła ogniem; strasznym, niepokonanym płomieniem oleju – wynalazkiem Floty. Katapulty ciskały naczynia z tymże olejem, wybuchające plamami ognia przy uderzeniu. Ta właśnie broń unicestwiła łodzie będące własnością Stada i pomogła opanować nadbrzeżne miasta. Trolwen zaklął na ten widok z odruchową gwałtownością, Lecz Ziemianie byli już poza tratwą, każdy niesiony przez trzech tragarzy w specjalnie utkanej sieci. Ponieważ tragarze często się zmieniali, doniesienie tych żywych ładunków do górskiej twierdzy Stada było możliwe. Skrzynie z żywnością, pośpiesznie wyciągnięte z ładowni, były łatwiejsze do przenoszenia – jeden tragarz mógł unieść każdą z nich. Gwizdacz obwieścił sukces akcji.

– Odłot! – Trolwen rzucał rozkazy, a jego posłańcy przenosili je do odpowiednich eskadr. – Hunlu i Stygen – zewrzeć szyki wokół tragarzy; Dwarn – leć górą z połową pododdziału, zaś druga połowa ma chronić lewe skrzydło. Tyły...

Dzień był już w pełni, gdy Trolwenowi udało się oderwać od pogoni. W najczarniejszych przypuszczeniach wyobrażał sobie, że cała Flota podąży w pościgu. Bitwa w locie przez całą drogę do domu mogła przetrącić kark jego armii. Jednak gdy tylko stało się jasne, że Lannachowie uciekają, wrogowie przerwali kontakt

bojowy i powrócili na tratwy.

– Tak jak to przewidziałeś, Tolk – dyszał Trolwen.

– No, dowódco – rzekł Herold ze zwykłym spokojem – im samym taka bijatyka by nie odpowiadała. Ich siły zostałyby nadmiernie rozciągnięte, a tratwy pozostawione praktycznie bez ochrony. Mogli nawet podejrzewać, że chcemy skłonić ich do takiego posunięcia. Po prostu zdecydowali, że Ziemianie nie są warci takiego zachodu i ryzyka – a takie mniemanie sami Ziemianie zapewne pracowicie w nich utrwalali.

– Miejmy nadzieję, że to mniemanie nie jest słuszne. Niezależnie jednak od tego, jak bogowie rządzą... i tak przewidziałeś wynik tej bitwy. Może ty powinienesz być dowódcą.

– O, nie. Nie ja. To ten gruby Ziemianin przewidział to wszystko – do najdrobniejszego szczegółu.

Trolwen zaśmiał się. – Może więc on powinien zostać dowódcą – powiedział.

– Kto wie – rzekł Tolk z głębokim namysłem. – Może i zostanie.



Północne wybrzeże Lannachu chyliło się szerokimi dolinami ku morzu Achan; tu, w lasach pełnych zwierzyny i na trawiastych nizinach wyrosły wioski, w których klany Stada zwykle zamieszkiwały. Gdzie zatoka Sagna wcinała się głęboko w ląd, wiele podobnych majątków połączyło się w większe skupiska. Tak powstały miasta: Ulwen, Mannenach – miasto krzemieniarzy, i Yo – miasto cieśli.

Lecz drzwi domów wyłamano, a dachy spalono; łodzie Drakhonów leżały na plażach zatoki, gromady najeźdźców włóczyły się po pustym Ulwenie, patrolowały las Anch i zaganiały stada rogaczy budzące się z zimowego snu na Zboczach Duna.

Łodzie ich zatopiono, domy spalono, od terenów łowieckich i rybackich odcięto – więc Stado schroniło się na wyżynach. Na wulkanicznych zboczach góry Oborch pokrytych lawą i w zimnych wąwozach Gór Mglistych stało kilka osad, w których zwykle mieszkały klany biedniejsze. Kobiety, starcy i dzieci mogli się tam jeszcze pomieścić; można było rozbić namioty i zająć jaskinie. Wykorzystując do ostatka zasoby tej ubogiej krainy między Wrzosowiskiem Hark i Przylądkiem, a często

i przymierając głodem Stado mogło utrzymać się przy życiu trochę dłużej.

Jednak sercem Lannachu było północne wybrzeże, do którego teraz dostępu bronili Drakhonowie. Bez niego Stado było tylko głodującym plemieniem dzikusów... aż do jesieni, gdy Pora Narodzin czyniła je całkowicie bezsilnym.

– Nie jest dobrze – rzekł Trolwen, wyraźnie pomniejszając powagę sytuacji.

Ruszył w górę wąską ścieżką ku wiosce – jakże się ona zwała? Salmenbrok – która przycupnęła na poszarpanej krawędzi wzgórza. Poniżej ciemna skała wulkaniczna wciąż jeszcze upstrzona połaciami śniegu pięła się zawrotnie ku kraterowi skrytemu we własnych oparach. Grunt zakołysał się pod nogami, trochę tylko, a van Rijn usłyszał burczenie w kiszkaach planety.

Słaba równowaga izostatyczna, oczywista w tych warunkach wywołanych niską gęstością materii, dzieje geologiczne wypełnione zbyt szybkimi przemianami, trzęsieniami ziemi, wybuchami, powodziami i nowymi ziemiami wykrztuszonymi z dna morza w ciągu zaledwie tysięcy lat – stąd, mimo tej obfitości wody, klimat katastroficznie nie zrównoważony... Owinął cuchnący futrzak otrzymany od Lannachów ciaśniej wokół grubo odzianego tułowia, chuchnął w zziębnięte dłonie, wytrzeszczył oczy na niebo, szukając choć przebłysku słońca, i zaklął.

Nie było to miejsce dla człowieka w jego wieku i o jego tuszy. Powinien znajdować się w domu, w swoim głęboko zapadającym się fotelu, z dobrym cygarem i z alkoholem w kieliszku, a naokoło niego powinny płonąć kolorami ogrody Dżakarty. Gorzko było zostawiać kości w tym koszmarnym kraju skoro miał nadzieję, że gdy czas jego nadejdzie, nad jego umęczonym

ciałem zamknie się miękka, zielona murawa... Gorzko i ciężko, tak, a zapewne każdego dnia jego spółka coraz bardziej pogrążała się w deficycie z braku nadzoru! Ta myśl przywiodła go z krainy marzeń w świat rzeczywisty.

– Niech sobie wszystko w głowie poukładam – zażądał. Język Lannachów nawet bez udawania był mu bliższy niż mowa Drakhonów. Tutaj, zwykłym przypadkiem, gramatyka i wymowa nie różniły się zanadto od jego języka ojczystego. Mówił już płynnie.

– Wróciliście z ciepłych krajów i zastaliście tu już wroga? – zapytał.

Trolwen odrzucił głowę do tyłu gestem wyrażającym ból i gorycz. – Tak. Do tego czasu domyślaliśmy się tylko ich istnienia, bowiem ich kraina leży daleko od nas na południowy wschód. Wiemy, że zostali zmuszeni do opuszczenia tamtych terenów gdy trech, ryba, która jest podstawą ich wyżywienia, zmieniła swe obyczaje i przeniosła się z wód Drakhonów na morze Achan. Nie mieliśmy jednak pojęcia, że chcą zaatakować nasz kraj.

Długie włosy van Rijna, proste i przetłuszczone, dawno już nie przypominały misternie trefionych loków. Kupiec przytaknął, omiatając nimi powietrze wokół twarzy. – To tak, jak w naszej historii. W średniowieczu na Ziemi, gdy śledź zmienił swe obyczaje? jakichś parszywych śledziowych powodów, spowodował zmiany w dziejach krajów nadmorskich. Królowie upadali, toczono wojny o nowe strefy rybołówstwa.

– Ryby nigdy nie miały dla nas wielkiego znaczenia – powiedział Trolwen. – Niektóre klany w regionie Sagna mają... miały niewielkie łodzie dłubanki i zdobywały część pożywienia w morzu, haczykiem i linką. Żadnej katorżniczej pracy jak u Drakhonów, z zarzucaniem sieci, nawet jeśli daje to więcej ryb!

Jednak ogólnie dla naszego ludu było to mniej ważne. Oczywiście, byliśmy zadowoleni, gdy kilka lat temu trzech pojawił się w wielkich ilościach w morzu Achan. Trech jest duży i smaczny, a jego tłuszcz i kości znajdują szerokie zastosowanie. Jednak nie był to powód do zadowolenia tak wielkiego jak... no, jakby na przykład stado rogaczy przez noc się podwoiło.

Zacisnął kurczowo palce na toporku; był wszak jeszcze całkiem młody. – Widzę teraz, że bogowie zesłali nam ryby na rozpacz i pośmiewisko. Flota bowiem podążyła za trechem.

Van Rijn zatrzymał się na ścieżce dysząc tak głośno, aż zagłuszył odległy pomruk wulkanu. – Hej! Zaczekaj chwilę! Co to jest, jakiś *godverdomme* wyścig, czy co? Aaach... Jeśli ryby nie mają dla was takiego znaczenia, czemu nie udostępnicie Flocie wód Achanu?

Było to w zasadzie pytanie retoryczne, lecz również bodziec do dalszych zwierzeń. Trolwen pozwolił sobie na kilka siarczystych przekleństw zanim odpowiedział. – Zaatakowali nas od razu, gdy wróciliśmy wiosną do domu. Zagarnęli już nasze wybrzeże! A gdyby nawet nie zrobili tego, kto wpuści potężną hordę... obcych, których nawet obyczaje są dzikie i odrażające... Czy wy pozwolilibyście takim zamieszkać w sąsiedztwie? Ile czasu przetrwałaby każda umowa z nimi?

Van Rijn skinął ponownie głową. Powiedzmy, że jakaś rasa z Kosmosu rządzona przez tyrana i mająca paskudne nawyki poprosi o pozwolenie osiedlenia się na Księżycu, ponieważ jest im potrzebny, a Ziemianom właściwie na nic...

Osobiście mógł sobie pozwolić na tolerancję. W wielu rzeczach Drakhonowie zbliżyli się bardziej niż Lannachowie do norm ludzkich. Ich kultura oparta na poddaństwie była naturalną konsekwencją ekonomiczną: mając do dyspozycji zaledwie

narzędzia epoki neolitu właściciel tratwy mieszczącej wiele rodzin, gdy ją zbudował, dokonywał wielkiej lokaty kapitału. Niezadowolone jednostki nie miały po prostu szansy na samodzielne życie i były całkowicie na łasce państwa. W takich przypadkach władza zawsze koncentrowała się w rękach rycerzy – arystokratów i kapłanów – intelektualistów. U Drakhonów te dwie klasy złąły się w jedną.

Z drugiej strony Lannachowie byli bardziej typowymi przedstawicielami mieszkańców Diomedesa a zajmowali się głównie łowiectwem. Było wśród nich bardzo niewielu wyspecjalizowanych rzemieślników, bowiem pojedynczy osobnik mógł żyć używając broni i narzędzi wykonanych samodzielnie. Niski współczynnik kaloryczny powierzchni charakterystyczny dla gospodarki łowieckiej sprawił, że Lannachowie osiedlali się z dala jedni od drugich, a każda grupka była prawie zupełnie niezależna od reszty. Siły swe wytężali w zrywach, na przykład ścigając zwierzynę, lecz nie potrzebowali truduć się w pocie czoła dzień po dniu, by padać ze zmęczenia niczym zwykli wioślarze i żeglarze we Flocie – toteż nie było ekonomicznego uzasadnienia do powstania klasy panów i nadzorców.

Z tego powodu podstawową jednostką organizacyjną mieszkańców Lannachu był niewielki klan związany pokrewieństwem w linii żeńskiej. Te półformalne grupy rodowe, prawie nie posiadające żadnego systemu władzy, łączyły się luźno w Wielkie Stado. A powodem istnienia Stada, poza prowadzeniem drobnych interesów między klanami we własnym kraju, było tylko zwiększenie bezpieczeństwa Diomedańczyków z Lannachu, gdy odlatywali na południe na czas zimy.

Lub wracali do domu, by zastać tam wojnę!

– Ciekawe – rozważał van Rijn, na wpuł w swym ojczystym języku. – Wśród naszych narodów, jak na większości planet, tylko ludy rolnicze się ucywilizowały. Tutaj gospodarstw rolnych nie ma w ogóle, najbardziej zbliżone do nich są półdzikie stada rogaczy, nie? Polujecie, zbieracie jagody i ziarna dziko rosnących traw, trochę łowicie ryby – a mimo to niektórzy z was znają pismo i piszą księgi; widzę, że macie maszyny, budujecie domy i tkacie płótno. Może to coroczny kontakt z innymi ludami w tropikach jest dla was bodźcem dla rozwoju?

– Co mówisz? – zapytał machinalnie Trolwen.

– Nic. Zastanawiałem się tylko, dlaczego – skoro życie tu jest łatwe i macie czas na cywilizowanie się – nie mnożycie się tak bardzo by zjeść wszystkie swe stada i wyrębać lasy. Tak na Ziemi rozumieją dobrze rozwiniętą cywilizację.

– My się szybko nie mnożymy – odrzekł Trolwen. – Około trzystu lat temu, gdy było nas zbyt wielu, część Stada odłączyła się od nas i przeniosła w inne miejsce; lecz w sumie przyrost naturalny jest niewielki. Rozumiesz, wielu ginie w czasie przelotów, od burzy, wyczerpania, choroby, ataku dzikich, drapieżników, czasem zimna i głodu... – Wzruszył ramionami.

– Aha! Dobór naturalny, który sam w sobie jest niezły, jeśli to cię natura wybrała do przetrwania. Inaczej to tragedia. – Van Rijn pogładził się po bródce. Wokół niej policzki pokryły się szczecina w miarę jak mijało działanie inhibitora zarostu. – No więc mamy już pewne pojęcie, skąd u nas rozum. Albo zamarzniesz – albo odlecis do ciepłych krajów. A jak już lecisz – uważaj na to, co cię może po drodze spotkać, *verrek!*

Na nowo podjął hałaśliwą wspinaczkę po ścieżce. – Ale teraz trzeba się zastanowić nad obecnymi kłopotami,

a w szczególności dlatego, że dotyczą one również Nicholasa van Rijna. Co jest nie do zniesienia. Hm! Powiedz mi coś jeszcze. Rozumiem, że Flota rozpędziła was na cztery wiatry i zepchnęła tutaj, gdzie jedyny płaski teren to ten, który narysowano na mapie. A wy chcecie z powrotem do domów na niziny. Chcecie także pozbyć się Floty.

– Broniliśmy się dzielnie – sztywno odparł Trolwen. – Wciąż możemy dać im się we znaki – i zrobimy to, na ducha mojej babki! Były ważne powody, dla których doznaliśmy tak ciężkiej porażki. Przybyliśmy tu zmęczeni i głodni po dziesiątkach dni lotu; po wiosennej podróży do domu każdy jest słaby. Nasze twierdze były już zajęte. Miotacze ognia Drakhonów zniszczyły nasze łodzie i uniemożliwiły walkę z nimi na morzu, gdzie skupione są ich główne siły.

Zacisnął zęby w drapieżnym odruchu. – Musimy szybko ich pokonać! Jeśli się to nie uda, to po nas. A oni wiedzą o tym!

– Jeszcze niezbyt dobrze to rozumiem – przyznał van Rijn. – Cały ten pośpiech stąd, że wasze młode rodzą się jednocześnie, nie?

– Tak. – Trolwen dotarł do szczytu i czekał pod murem Salmenbroku na swego zadyszanego gościa.

Jak każda osada Lannachów, Salmenbrosk był ufortyfikowany przeciwko wrogom – inteligentnym lub zwykłym zwierzętom. Nie było tu palisady, która nie miała sensu na tej planecie, gdzie wszystkie wyższe formy życia natura obdarzyła skrzydłami. Typowy budynek kształtem przypominał dawną ziemską kamienicę. Na parterze drzwi nie było, a tylko wąskie szczeliny służyły jako okna. Do środka wchodziło się przez górne piętro lub włącz w strzesze. Fortyfikacja dworku nie polegała na stawianiu murów, ale na łączeniu poszczególnych budynków

krytymi mostami i podziemnymi przejściami.

Tu, na wzgórzach, powyżej granicy lasu domy były zbudowane z kamienia wiązanego zaprawą, a nie z kłód drewna częściej spotykanych wśród klanów nizinnych. Jednak ta osada została wybudowana solidnie, urządzona na tyle wygodnie, by wskazywać, o ile zamożniejsze muszą być tereny nizinne.

Van Rijn poświęcił wiele czasu na podziwianie takich przedmiotów jak drewniane zegary zbudowane na wzór chińskich łamigłówek, drewniana tokarka z ostrzem wykonanym z mozolnie obrobionego diamentu, oraz drewniana piła z wymiennymi zębami ze szkła wulkanicznego. Osiedlowy wiatrak służył do mielenia orzechów i mąki, a także napędzał wiele innych mniejszych maszyn, wśród których znajdowała się pompa napełniająca wodą wielki zbiornik wykuty w nawisie skalnym nad osadą. Gdy nie było wiatru, ze zbiornika spuszczano wodę, która wprawiała młyn w ruch. Ujrzał nawet niedużą kolej, złożoną z napędzanych żaglami wyplatanych wózków na drewnianych kołach toczących się po szynach z utwardzonego drewna. Wózki zwoziły krzemień i obsydian z miejscowych kamieniołomów, drewno z lasów, suszone ryby z nizin oraz wyroby rzemieślnicze z całej wyspy. Van Rijn był wniebowzięty.

– Aha! – powiedział. – Handel! Właściwie jesteście kapitalistami. Ha, do diabła, myślę, że wkrótce ubijemy jakiś interes!

Trolwen wzruszył ramionami. – Tu prawie zawsze wieje silny wiatr. Dlaczego nie ma nam pomóc w transporcie ciężarów? Wykonanie tych maszyn zabrało wiele czasu – my nie jesteśmy podobni do Drakhonów, którzy padają z wyczerpania po ciężkiej pracy.

Mieszkańcy Salmenbroku, rodowici i tymczasowi, zbiegli się wokół van Rijna mamrocząc coś, podskakując, trzepocąc skrzydłami; dzieci plątały mu się pod nogami, a matki przywoływały je do powrotu.

– Do stu tysięcy purpurowych diabłów! – wrzasnął van Rijn. – Czy ja jestem kandydatem na prezydenta i może jeszcze mam całować dzieci wyborców, co?

– Chodźmy tędy – powiedział Trolwen – do Świątyni Mężów, gdzie kobietom i dzieciom wchodzić nie wolno, mają swą własną. – Ruszył pierwszy inną ścieżką wykonując skomplikowany znak kultowy przed małym bożkiem umieszczonym obok ścieżki. Sądząc po prymitywnym wyglądzie, posążek wyrzeźbiono przed wieloma wiekami. Jak się zdawało, Stado wyznawało dość niespójną religię panteistyczną, której w chwili obecnej nie brano już poważnie. Jednak rytuałów i tradycji Stado trzymało się ściśle niczym pułk angielski, do którego zresztą w wielu względach było podobne.

Van Rijn podążył za nim, rzucając okiem za siebie. Tutejsze kobiety niewiele różniły się od kobiet Floty; były trochę niższe i szczuplejsze od mężczyzn, miały szersze skrzydła lecz bez wykształconej ostrogi. Właściwie wydawało się, że oba ludy stanowią jedną rasę.

A mimo to, jeśli wierzyć temu, czego agenci Spółki dowiedzieli się o Diomedesie, Drakhonowie stanowili wybryk natury na tle innych ras. Ich istnienie nie było niczym uzasadnione!

Trolwen podążył wzrokiem za ciekawym spojrzeniem van Rijna, i westchnął. – Jak widzisz, połowa naszych dojrzałych kobiet oczekuje kolejnego dziecka.

– Hm. Ja, to problem. Chwileczkę, zobaczymy, czy dobrze ciebie rozumiem. Wszystkie wasze młode rodzą się około

jesiennej równonocy...

– Tak, w ciągu zaledwie kilku dni. Wyjątków jest tak niewiele, że można je pominąć.

– Jednak już wkrótce musicie odlatywać na południe. Oczywiście małe dziecko nie umie jeszcze latać?

– O, nie. Przez całą drogę trzyma się ciała matki; od razu po urodzeniu ma mocne ramiona, którymi się przytrzymuje. Matka noworodka nigdy nie ma dziecka z zeszłego roku, bowiem jeśli wychowuje dziecko przez rok nie zachodzi w ciążę. Natomiast gdy dziecko ma już dwa lata, ma już dość siły, by przelecieć całą odległość, musi tylko co jakiś czas odpoczywać komuś na grzbiecie. Tym niemniej właśnie w tej grupie wieku tracimy najwięcej dzieci; trzylatki i starsze potrzebują tylko ochrony i przewodnictwa, bowiem ich skrzydła radzą sobie zupełnie dobrze z przelotem.

– Ale matka dziecka ma trudniejszą drogę, nie?

– Pomagają jej wszyscy dorastający członkowie klanu lub też starsi, których okres płodności już minął, lecz nie są jeszcze za starzy, by wytrzymać podróż. A mężczyźni, oczywiście, zajmują się polowaniem, zwiadem, ochroną i tak dalej.

– No tak. Więc lecicie na południe. Mówiono mi, że tam łatwo żyć, jest dużo owoców, orzechów i ryb w wodzie. Po co więc tu wracacie?

– Tu jest nasz dom – odrzekł po prostu Trolwen.

– I oczywiście – dodał po chwili – tropikalne wyspy nie byłyby w stanie zapewnić środków do życia chmarom przybyszów, które gromadzą się na nich każdej zimy. Właściwie zresztą dwa razy do roku – bowiem nasze lato jest zimą dla mieszkańców półkuli południowej, którzy wtedy tam przylatują. Kiedy odlatujemy z tropików, nie pozostaje tam już nic do jedzenia.

– Rozumiem. Dobrze, mów dalej. Więc pobyt na południu w czasie, przesilenia letniego to jednocześnie wasz okres godowy.

– Tak. Ogarnia nas pożądanie... ale przecież wiesz, co mam na myśli.

– Oczywiście – zgodził się uprzejmie van Rijn.

– W czasie pobytu na południu mamy także swój karnawał, handlujemy z innymi plemionami... figle i zbytki... – Trolwen westchnął. – Dosyć. Zaraz po przesileniu wracamy tutaj; przybywamy jakiś czas przed równonocą, gdy wielkie zwierzęta, które są podstawą naszego wyżywienia, obudziły się już ze snu zimowego i przytyły nieco. Oto całe nasze życie, Ziemiannie.

– Wesołe życie, ale nie dla mnie; jestem za stary i za gruby – van Rijn żałośnie pociągnął nosem. – Broń cię Boże, abyś się zestarzał, Trolwenie. Człowiek jest taki osamotniony. Wam się udało: starsi giną podczas przelotów i nie dożywają zgrzybiałego wieku bezsilności, gdy nic już nie pozostaje poza wspomnieniami, tak jak mnie.

– Jak tak dalej pójdzie, mowy nie ma, żebym dożył starości – powiedział Trolwen.

– Wasze młode rodzą się wszystkie na raz jesienią... ja – zadumał się van Rijn. – Teraz widzę, że jesień to dla was pora poświęcona przede wszystkim połoźnictwu. A jeśli nie będzie dla młodych żywności, i schronienia, i podobnych udogodnień, w większości zginą...

– Nie są niezastąpione – odrzekł Trolwen tak beznamietnie, że jednak nie był to po prostu człowiek, tyle że obdarzony skrzydłami i ogonem. Głos jego nabrał ostrych tonów. – Lecz kobiety, które je rodzą – są nam niezbędne. Młoda matka musi odpowiednio odpoczywać i odżywiać się, rozumiesz, bowiem

inaczej nigdy nie doleci na południe. A zważ, ile spośród naszych kobiet wkrótce zostanie matkami. Jest to problem przetrwania Stada jako całego narodu! Ci parszywi Drakhonowie, lęgną się cały rok... jak jakie ryby... nie!

– Rzeczywiście nie – powiedział van Rijn. – Musimy coś wymyśleć i to szybko, bo inaczej ja sam też będę bardzo głodny.

– Poświęciłem wielu naszych wojowników – rzekł Trolwen – w nadziei, że to wy coś wymyślicie.

– No więc – odrzekł van Rijn – najważniejsze, aby zanieść wiadomość do moich ludzi w bazie. Oni tu szybko przylecą i wtedy ja im powiem, żeby zrobili porządek z tą całą cholerną Flotą.

Trolwen uśmiechnął się. Nawet biorąc pod uwagę kształt ust odmienny od ludzkiego widać było, że nie jest to uśmiech ciepły ani wesoły. – Nie tak prędko. Nie odważyłbym się, nie mogę po prostu poświęcić ani ludzi, ani czasu, ani wysiłku na takie szalone przedsięwzięcie jak przelot przez Ocean. W każdym razie, dopóki Drakhonowie trzymają nas za gardło, jest to niemożliwe. I także – wybaczone – skąd mam pewność, że gdy się stąd wydostaniesz, zechcesz jeszcze nam pomóc?

Odwrócił wzrok od van Rijna ku ozdobnej bramie jaskini, w której znajdowała się Świątynia Mężów. Z jej wnętrza wydobywał się obłok pary z gejzeru, który syczał wewnątrz.

– Ja sam mógłbym zaryzykować – dodał nagle bardzo cicho. – Ale moje możliwości są ograniczone; Rada musi zatwierdzić każdy mój plan, rozumiesz? Członkowie Rady nie ufają trzem potworom bez skrzydeł. Chodzi o to... wiemy o was tak mało... jedyna przewaga nad wami, to możliwość wykorzystania waszej potrzeby dostania się do domu... Rada nie pozwoli na udzielenie wam pomocy, dopóki trwa wojna.

Van Rijn rozłożył ręce. – Mówiąc między nami, mój chłopcze, na ich miejscu sam bym tak postąpił.



Ciemność już ustępowała. Wkrótce miały nadejść białe noce, podczas których słońce chowało się tuż pod horyzontem, a niebo przybierało barwę wiosennych kwiatów. Już teraz, po zachodzie słońca, oba księżyce stały w pełni. Gdy Rodonis wyszła z kajuty, śmigły Skuanax wspiał się na widnokrąg i przemknął wśród gwiazd ku powolnej i cierplivej Lykaris. Oba księżyce, Ta, Która Czeką i Ten, Który Ściga, przerzuciły między sobą chybotliwy, podwójny most na szerokiej wodzie.

Rodonis była córką starego szlacheckiego rodu, w którym nauczono ją drwić z czcicieli księżyców. Była to dobra wiara dla prostych żeglarzy, którzy inaczej powróciliby do starych ofiar z krwi składanych Akhanowi z Głębin. Lecz osoba wykształcona winna wiedzieć, że jest tylko jedno bóstwo – Gwiazda Przewodnia. Niemniej jednak Rodonis padła na pokład, okryła głowę skrzydłami i wyszeptała swe troski świetlistej matce Lykaris.

– Pieśń ci obiecuję, pieśń tylko dla ciebie, którą ułożą najświetniejsi bardowie Floty i śpiewać będą podczas twych następnych zaślubin z Tym, Który Ciebie Ściga. Astrologowie mówią, że te zaślubiny nastąpią nie wcześniej, niż za rok, więc

będzie dość czasu, by ułożyć dla ciebie pieśń, która będzie żyła tak długo, jak długo Flota będzie pływać, o Lykaris. Lecz oszczędź mi mojego Delpa.

Nie błagała Wojownika Skuanaxa; było to równie nie do pomyślenia, jak modlitwa męża z rasy Drakhonów do Matki Lykaris. Jednak w myślach zwracała się do Lykaris, że nie, zaszkodziłoby, gdyby wspomnieć Wojownikowi, że Delp jest dzielnym żeglarzem, który nigdy nie zapominał o należytym ofierze.

Księżycy pojaśniały. Na zachodzie zebrały się chmury na kształt łańcucha górskiego: w dali majaczył poszarpany kontur – wyspa, a od północy słychać było trzask pękającej kry. Morze wyglądało tu dziwnie, niczym nie przypominając drogiego widoku Wód Południowych, skąd głód wywiódł Flotę. Rodonis zastanawiała się, czy bogowie morza Achan kiedykolwiek dopuszczą, by Drakhonowie się tu zadomowili.

Plusk fal, trzeszczenie belek, pisk lin naprężanych wilgocią, świst wichru w wantach, łopot żagli, daleki żalony dźwięk fletu i bliższe odgłosy dochodzące z forkasztelu jej własnej tratwy: chrapanie, kwilenie dzieci, westchnienia rozkoszy wydawane przez jakąś parę... to wszystko stanowiło pewną pociechę w tej zimnej pustce zwanej morzem Achan. Pomyślała o swoich małych, dwóch drobnych istotkach skulonych na łóżkach bogato obitych tkaninami i to dodało jej jeszcze sił. Rozpostarła skrzydła i uniosła się w powietrze.

Z góry cała Flota wyglądała jak skupisko cienia, tu i ówdzie przetykane błyskami ognia, gdzie jakaś załoga pracowała późno w noc. Większość żeglarzy już dawno spała, odpoczywając po trudzie wyciągania sieci, obsługiwania żurawi i kabestanów, czyszczenia, solenia i marynowania połowów, zwijania

i rozwijania ciężkich żagli na tratwach, zbierania drysu i słodkich wodorostów, ścinania drzew i obrabiania ich kamiennymi narzędziami. Zwykły członek załogi, mężczyzna czy kobieta, niewiele miał z życia poza ciężką, morderczą pracą. Ich odpoczynek obejmował równie prymitywne i brutalne rozrywki: tańce, zapasy, bezustanna kopulacja, sprośne piosenki wyrzaskiwane co siły w piersiach nad baryłką piwa warzonego z ziarna morskiego.

Przez chwilę, gdy myśli o tym przebiegały jej przez głowę, Rodonis czuła dumę ze swej załogi. Dla innego przeciętnego arystokraty zwykły żeglarz był niczym więcej jak domowym zwierzęciem, źle wychowanym, niepiśmiennym, niezbyt obyczajnym, które trzeba było trzymać w ryzach biczem i kijami dla jego własnego dobra. Lecąc nad Flotą, która leżała w dole jak olbrzymi uśpiony zwierz, Rodonis zdawała sobie jednak sprawę z jej potęgi; prości ludzie byli właściwymi panami morza, a dumne sztandary Drakhonów unosiły się na mocnych grzbietach zwykłych żeglarzy.

Może to uczucie wzięło się stąd, że przodkowie jej własnego męża nie tak dawno jeszcze opuścili pomieszczenia forkasztelu? Nieraz widziała, jak Delp pomaga załodze, stając ramię w ramię z nimi, czy to w czasie sztormu, czy połowu. Rodonis sama się nauczyła, że obracanie żaren czy siadanie za krosnami nie uwłacza jej godności.

Jeśli praca jest miła Gwieździe Przewodniej, jak twierdzą święte księgi, czemuż tedy możni Drakhonowie odnoszą się do niej ze wstrętem? Stare rody przesiąknięte były czymś niezdrowym, anemicznym. Wymierały wiek po wieku, a nowe przejmowały ich pozycję, pnąc się do góry. Wiadomo dobrze, że to prości żeglarze mieli najwięcej dzieci, wykwalifikowani

rzemieślnicy i zawodowi żołnierze – mniej, zaś najmniej – dziedziczni oficerowie. Sam admirał Syranax przez całe życie począł tylko jednego syna i dwie córki. Ona, Rodonis, miała już dwoje małych ledwie po czterech latach małżeństwa. Czy to nie dowód, że Gwiazda Przewodnia sprzyja uczciwym, utrzymującym się z pracy rąk?

Lecz nie... kobiety Lannachów rodziły dzieci co drugi rok, jak maszynki, chociaż wiele z tych małych ginęło podczas przelotów. A Lannachowie nie pracowali, nie można było tego nazwać pracą: polowali, wypasali półdzikie stada, ryby łowili na marne haczyki. Sił mieli dosyć, ale nigdy nie trzymali się jednego zajęcia, jak żeglarze Drakhonów... a poza tym ich obyczaje były po prostu obrzydliwe! Zwierzęce! Przez dwie dekady w roku, w pełni równikowego przesilenia letniego – nieposkromiona żądza, i tyle. Przez resztę życia ojciec dziecka był dla ciebie tylko jednym z samców – o ile w ogóle wiedziałaś, kto jest ojcem, ty ladacznico! – a w domu nie zachowywało się skromności jednej płci wobec drugiej, nawet obyczaje kobiet i mężczyzn prawie się nie różniły, bo po co, skoro nie ma już pożądanego. Brrr...

A jednak ci ohydni Lannachowie żyją nadal, więc może Gwieździe Przewodniej jest to obojętne? Niemożliwe – ta myśl przejęła ją chłodem, gdy leciała niesiona nocnym wiatrem pod zszarzałą tarczą Skuanaxa. Niewątpliwie Gwiazda Przewodnia wyznaczyła Flotę na wykonawcę jej planów zagłady tych bestii, Lannachów, i odebrania im ziemi, którą plugawią.

Uderzenia jej skrzydeł nabrały tempa. Okręt flagowy był już blisko; jego wieżyczki widniały jak szczyty gór na tle ciemnego nieba. Na okręcie płonęło wiele lamp, zarówno na pokładzie jak i w pomieszczeniach, których okna zakryto okiennicami. Tu i tam wałęsali się wojownicy. Bandera Syranaxa wciąż powiewała na

maszcie, więc stary admirał jeszcze nie umarł, lecz liczba czuwających przy umierającym zwiększała się z każdą chwilą. Czekają jak ścierwojady, pomyślała Rodonis i wzdrygnęła się.

Jeden z wartowników gwizdem nakazał jej wyhamowanie lotu i podleciał bliżej. Światło księżyca odbijało się od wypolerowanego ostrza jego włóczni. – Stój! Kim jesteś? Rodonis była przygotowana na zatrzymanie przez strażę, lecz przez chwilę język odmówił jej posłuszeństwa. Była tylko kobietą, przed którą majaczyła groźna sylwetka wojownika. Powiew wiatru potrząsnął wyschłymi resztkami zwisającymi z rei; były to skrzydła ucięte ongiś jakiemuś występniemu żeglarzowi, który teraz tkwił przykuty do wiosła lub kamienia młyńskiego, o ile żył jeszcze. Rodonis wyobraziła sobie plecy Delpa z krwawymi kikutami po obciętych skrzydłach i gniew jej znalazł ujście w krzyku.

– Jak śmiesz mówić tym tonem do córki rodu Axollon!

Wojownik nie znał jej osobiście; była wszak jedną z tysięcy mieszkańców Floty; rozpoznał jednak szarfę kasty oficerskiej. Poza tym widać było, że smukłe ciało Rodonis nigdy nie zginało się pod brzemieniem ciężkiej pracy.

– Padnij na twarz, łajdaku! – krzyczała Rodonis. – Zakryj oczy gdy zwracasz się do mnie!

– Ja... pani... – jąkał się strażnik. – Ja nie...

Runęła lotem nurkowym prosto na niego. Nie miał innego wyjścia jak usunąć się z drogi. Za nią niósł się jej głos, trzaskający jak bicz.

– Oczywiście, jeśli twój bosman uzyska dla ciebie moje pozwolenie byś mógł zwrócić się do mnie!

– Ale... – Do strażnika zbliżyli się inni wojownicy, równie bezsilnie kołujący w powietrzu. Były kiedyś takie prawa; nikt nie

korzystał z nich od wieków, lecz...

Gdy Rodonis wylądowała, oficer stojący na pokładzie ujął sprawę w swe ręce. – Pani – rzekł z należnym szacunkiem – nie przystoi damie odlatywać bez towarzystwa z jej tratwy, a tym bardziej tu, na ten okręt żałobny.

– Tak trzeba – odrzekła Rodonis. – Mam sprawę nie cierpiącą zwłoki do kapitana Theonaxa.

– Kapitan jest przy łożu swego dostojnego ojca, pani Nie ośmieliłbym się...

– Więc niech twoje skrzydła zawisną na rei, gdy dowie się, że Rodonis sa Axollon mogła zapobiec kolejnemu buntowi, a ty go nie wezwałeś!

Ruszyła w kierunku nadburcia i wychyliła się za burtę jakby wylewając swój gniew na fale morza. Oficerowi zaparło dech w piersiach, jakby otrzymał cios ogonem w żołądek. – Pani! Natychmiast! Racz zaczekać tu przez małą chwilę... Straż! Hej, strażniku! Strzeż tej damy i bacz, by niczego jej nie brakowało. – Odleciał w pośpiechu.

Rodonis czekała. Teraz miała nadejść właściwa próba.

Dotychczas wszystko szło gładko. Flota była poruszona; żaden oficer, przerażony tym, co zaszło, nie odmówiłby jej żądaniu skoro wspomniała o kolejnej próbie buntu.

Pierwsza była wystarczająco straszna. Ta groza, faktyczna rebelia przeciwko samej Wyroczni Gwiazdy Przewodniej była czymś niesłychanym, niespotykanym od setek lat – i to w czasie wojny! Wszyscy dążyli do tego, by zaprzeczyć, że w ogóle coś poważnego się stało. Pożałowania godne nieporozumienie... lud Delpa, wprowadzony w błąd, walczył bohatersko powodowany lojalnością wobec swego kapitana... nie można oczekiwać, że prości żeglarze pojmują tę nowoczesną zasadę, że Flota i jej

admirał są ponad każdą z poszczególnych tratw...

Rodonis z przykrością, choć łyż tamtego dnia już obeschły, wspominała rozmowę z Syranaxem sprzed paru dni.

– Przykro mi, pani – mówił admirał. – Wierz mi, jak bardzo mi przykro. Twego męża podburzono, a po jego stronie jest więcej racji niż po stronie Theonaxa. Ja sam wiem, że było to tylko niezaplanowane starcie, iskra rozniecająca stare waśnie, za które głównie należy winić mojego syna.

– Więc niech syn twój poniesie karę! – krzyknęła wtedy.

Stara siwa głowa poruszyła się nieubłaganie w tył i w przód.

– Nie. Theonax może nie jest najszlachetniejszym spośród mieszkańców tego świata, lecz jest moim synem. Również dziedzicem tronu. Nie zostało mi, już wiele życia, a czas wojenny nie jest najodpowiedniejszy, by ryzykować walkę o sukcesję. Dla dobra Floty Theonax musi nastać po mnie bez sprzeciwu z jakiegokolwiek strony. Aby to nastąpiło, musi mieć przynajmniej oficjalnie nieposzlakowaną przeszłość.

– Czemu jednak nie możesz przebaczyć również Delpowi?

– Na Gwiazdę Przewodnią, gdybym tylko mógł! Lecz to niemożliwe. Wszystkim pozostałym można darować winy – i będą im darowane. Jednak musi być ktoś, na kogo będzie można złożyć winę, kto złagodzi boleść naszych ran. Delp musi być oskarżony o przygotowywanie buntu i ukarany, by wszyscy pozostali mogli powiedzieć: „Walczyliśmy w bratobójczej walce, ale to była jego wina, więc teraz możemy znów ufać sobie nawzajem”.

Stary admirał westchnął; płytki oddech wyrwał się ze skurczonych płuc.

– Oby Gwiazda Przewodnia sprawiła, bym nie musiał tego zrobić. Oby... Tobie, pani, też jestem przychylny. Gdybyśmy mogli

ponownie żyć w przyjaźni...

– Możemy – wyszeptała. – Jeśli tylko uwolnisz Delpa...

Pogromca Majonu popatrzył na nią chmurnie. – Nie – odpowiedział. – I dość już tej rozmowy.

Wtedy wyszła z jego kajuty.

I mijały dni, w czasie których przeżyła koszmarną farsę sądu nad Delpem i kolejny koszmar – oczekiwania na egzekucję. Nalot Lannachów był jak chwilowe przebudzenie z gorączkowego snu; był bowiem rzeczywisty i wyraźny, a przyjaciel z twej tratwy nie był twoim skrytym wrogiem, lecz wojownikiem, który spotkał barbarzyńców w chmurach i odpędził ich od twoich małych!

Trzy noce później admirał Syranax leżał na łożu śmierci. Gdyby nie zachorował, Delp byłby już okaleczonym niewolnikiem, ale w tej sytuacji ponownego napięcia i niepewności wykonanie tak kontrowersyjnego wyroku zostało naturalnie zawieszane.

Gdy Theonax zostanie Wielkim Admiralem, myślała Rodonis tą częścią jej umysłu, która mogła jeszcze chłodno rozumować, zwłoki już nie będzie. Chyba że...

– Pani, zechciej pójść tędy – rozmyślania jej przerwał głos oficera.

Oficerowie, którzy prowadzili ją po pokładzie ku wielkiej ponurej budowli z kłód drewna, odnosili się do niej z szacunkiem. Służba pałacowa biegająca w górę i w dół korytarzy bez okien patrzyła na nią jakby z przerażeniem. W jakiś sposób najtajniejsze rzeczy stawały się znane mieszkańcom forkasztelu, którzy potrafili je wywęszyć.

Wewnątrz budynku było ciemno, duszno i cicho. Bardzo cicho. Morze nigdy nie jest spokojne. Dopiero teraz Rodonis zdała sobie sprawę, że nigdy przedtem, przez całe życie nie izolowano jej od

dźwięku fal, skrzypienia drewna i lin. Mięśnie jej skrzydeł naprężyły się; chciała z krzykiem ulecieć w powietrze.

Poszła jednak dalej.

Otwarto przed nią jakieś drzwi, przez które przeszła. Drzwi zamknęły się za nią, jeszcze bardziej tłumiąc dźwięki swym ogromem. Rodonis ujrzała mały pokój, bogato wykładany futrami i dywanami, oświetlony wieloma lampami. Powietrze było tak ciężkie, że zakreśliło jej się w głowie. Theonax leżał na łożu, bawiąc się jednym z ziemskich noży. Nikogo więcej w kabinie nie było.

– Siadaj – powiedział.

Przykucnęła na ogonie wbijając w niego wzrok, jak gdyby byli sobie równi.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał bezdźwięcznym głosem.

– Czy twój ojciec, admirał, żyje jeszcze? – odparowała pytaniem.

– Niewiele mu życia zostało, obawiam się – powiedział. – Akhan pożre go przed południem. – Jego nieprzytomny wzrok powędrował ku gobelinowi. – Jakże długa jest ta noc!

Rodonis czekała.

– No więc? – powiedział. Odrzucił głowę węzowym ruchem. W jego głosie brzmiał chłód. – Wspominałaś coś o... następnym buncie?

Rodonis przysiadła sztywno na nogach. Zjeżyła grzebień.

– Tak – rzekła chłodno. – Załoga mego męża nie zapomniała go.

– Może i nie – rzucił Theonax. – Lecz są dość lojalni wobec admirała; wbito im to skutecznie do głowy.

– Lojalni wobec admirała Syranaxa, oczywiście – odparła. – Tego nigdy im nie brakowało. Wiesz sam równie dobrze jak ja, że to co się stało nie było buntem... tylko zajściem wywołanym

przez przeciwnych tobie. Syranaxa zawsze podziwiali, a nawet kochali. Prawdziwy bunt skierowany będzie przeciwko temu, kto go zamordował.

Theonax zerwał się na równe nogi.

– Co masz na myśli? – krzyknął. – Kto jest mordercą?

– Ty jesteś – wycedziła Rodonis przez zęby. – Ty otrułeś swego ojca.

Czekała długo, przez chwilę, która wyciągała się, aż nieomal pękła. Nie miała pewności, czy ten znany z gwałtownego charakteru osobnik nie zabije jej za to, że ośmieliła się wypowiedzieć te słowa.

Niemal to uczynił. Cofnął się jednak, gdy jego nóż dotknął jej gardła. Jego szczęki zwarły się ponownie, skoczył na łóżko i stanął na nim na czterech łapach z wygiętym grzbietem, wyprężonym ogonem i uniesionymi skrzydłami.

– Mów dalej – zasyczał. – Wypowiedz swoje łgarstwa. Dobrze wiem, jak nienawidzisz całej mojej rodziny z powodu twego nikczemnego męża. Cała Flota to wie. Czy myślisz, że uwierzą twym słowom bez dowodu?

– Nigdy nie nienawidziłam twego ojca – powiedziała Radonis trochę jeszcze wstrząśnięta; śmierć przeszła bardzo blisko. – Tak, skazał Delpa. Myślałam, że postąpił niesłusznie, ale zrobił tak dla dobra Floty, a ja... ja sama jestem z rodu oficerskiego. Przypomnij sobie, jak w dzień po napaści Lannachów zaprosiłam go na ucztę, jako oznakę tego, że Drakhonowie muszą zewrzeć szeregi.

– No i co z tego – zadrwił Theonax. – Ładny gest, nic więcej. Pamiętam jak goście skarżyli się, że potrawy były ostro przyprawione. A ten podarek, który mu dałaś, ten błyszczący krążek należący poprzednio do Ziemi. Wzruszające! Tylko, że nie miałaś prawa tego ofiarować. Cała ich własność należy do

admirala.

– Ten gruby Ziemianin sam mi to dał – odrzekła Rodonis. Celowo zbaczała na mniej ważne tematy chcąc uspokoić i siebie, i Theonaxa. – Powiedział, że wyciągnął ten przedmiot ze swego bagażu. Mówił, że jest to „moneta”, że stanowi przedmiot handlu na jego planecie... że daje mi to na pamiątkę po sobie. Było to zaraz po... po zejściach, a krótko przed przeniesieniem jego i towarzyszy z „Gerunis” na inną tratwę.

– Podarek żebraka – rzekł Theonax. – Krążek był zupełnie wytarty i zniekształcony. – Jego mięśnie znów się naprężyły.

– No już, oskarżaj mnie dalej, jeśli się ośmielisz!

– Nie jestem głupia – powiedziała Rodonis. – Pozostawiłam listy, które pewni przyjaciele otworzą, gdybym stąd nie wróciła. Zważ na fakty. Jesteś dumny, a jednocześnie większość myśli o tobie jak najgorzej. Śmierć twego ojca uczyni cię admirałem, faktycznym właścicielem Floty. Jakże długo i niecierpliwie musiałeś na to czekać! Twój ojciec umiera, złożony chorobą nieznaną naszym medykom. Jej objawy nawet nie przypominają zatrucia żadną ze znanych trucizn, tak gwałtownie niszczy go ta choroba. I jeszcze: wiadome jest dla wielu, że napastnicy nie zdołali unieść całej żywności Ziemian, pozostawiając trzy małe paczki. Ziemianie często i wobec wszystkich ostrzegali nas przed jedzeniem ich żywności. A ty miałeś pod opieką wszystkie rzeczy Ziemian!

Theonax dyszał ciężko.

– To kłamstwo! – zaskrzeczał. – Nic nie wiem... nie zrobiłem... nigdy... Kto uwierzy, że ja, czy ktokolwiek inny mógłby zrobić coś podobnego... otruć własnego ojca?

– Skoro o ciebie chodzi, uwierzą – rzekła Rodonis.

– Przysięgam na Gwiazdę Przewodnią!

– Gwiazda Przewodnia nie przyniesie szczęścia Flocie dowodzonej przez ojcobójcę. To jedno wystarczy, by wywołać bunt, Theonaxie.

Przeszył ją wściekłym spojrzeniem, ciężko dysząc. – Czego chcesz? – zaskrzeczał.

Rodonis popatrzyła nań tak zimnym wzrokiem, z jakim jeszcze nigdy oczy jego się nie spotkały. – Spalę te listy – powiedziała – i zachowam na zawsze milczenie. Będę zaprzeczać wraz z tobą, gdyby ta myśl miała komukolwiek jeszcze przyjść do głowy. Jednak Delpowi trzeba natychmiast i całkowicie darować karę.

Theonax zjeżył się i zawarczał.

– Mógłbym z tobą walczyć – mruknął. – Mógłbym cię uwięzić za zdradę stanu i zabić każdego, kto ośmieliłby się...

– Może – odrzekła Rodonis. – Lecz czy warto? Spowodowałbyś rozłam we Flocie i rzuciłbyś ją na pastwę Lannachów. A ja tylko chcę powrotu męża.

– I tylko dlatego grozisz zniszczeniem Floty?

– Tak – odpowiedziała.

– Nie rozumiesz tego – dodała po chwili. – Wy, mężczyźni zakładacie nowe państwa, wywołujecie wojny, układacie pieśni, tworzycie naukę, wszystko. Myślicie o sobie, że jesteście praktyczni i silni. Jednak to kobiety zbliżają się ciągle do cienia śmierci by dać nowe życie. To my jesteśmy tą silną płcią. Musimy nią być.

Theonax cofnął się i przebiegły go dreszcze.

– Tak – wyszeptał w końcu – tak, przeklęta, potępiona, tak, dostaniesz go. Wydam rozkaz teraz, natychmiast. Zabierz jego parszywą twarz sprzed mych oczu jeszcze przed świtem, rozumiesz? Lecz ja nie otrułem swego ojca! – Załopotał z grzmotem skrzydłami, aż uniósł się pod sufit i tłukł się o niego

wrzeszcząc, jakby był uwięziony w klatce. – Nie otrułem go!

Rodonis czekała.

Następnie wzięła pisemny rozkaz i wyszła z kajuty kierując się ku pokładowi, gdzie rozcięto więzy krępujące Delpa hyr Orikana. Padł jej w ramiona i załkał. – Zatrzymam skrzydła, moje skrzydła...

Rodonis sa Axollon gładziła go po piersi, szeptała do niego, mówiła, że teraz już wszystko będzie dobrze, że już wracają do domu i zapłakała przez chwilę, bo kochała go.

W pamięci jej tłukło się przejmujące dreszczem wspomnienie o tym, jak Van Rijn dawał jej monetę ostrzegając ją jednocześnie przed... jak on to powiedział? Zatruciem ciężkimi metalami. – Dla was żelazo, miedź i cyna to obce substancje. Ja sam chemikiem nie jestem; jeśli trzeba z chemią poigrać, zatrudniam chemików. Myślę jednak, że gdybym ja sam połknął łopatę arszeniku, lepiej bym na tym wyszedł, niż twoje dzieci, gdyby próbowały zębów na tym pieniążku, *barst!*

I przypomniała sobie jeszcze, jak siadła nocą przy kamieniu i ścierała opiłki z monety przygotowując przyprawę do potrawy dla nieubłaganego admirała.

Potem zastanowiła się, że gruby Ziemianin dziwnym przypadkiem posiadał nieoczekiwanie dobrą znajomość jej języka. Przyszło jej teraz do głowy, i przeszedł ją dreszcz, że może te trzy paczki żywności Ziemianie pozostawili celowo w nadziei, że spowodują jakieś tarapaty. Czyżby tak dokładnie wszystko przewidzieli?



W drzwiach pojawiła się Guntra z rodu Enklann i Eryk Wace podniósł zmęczony wzrok. Z tyłu za nim wrzała praca przy kole wodnym, na które padały cienie od migotliwego światła pochodni.

– Tak? – zapytał, wzdychając ciężko.

Guntra pokazała mu szeroką tarczę długości dwóch metrów, lekką, lecz solidną konstrukcję z wikliny uplecioną na drewnianej ramie. Przez wiele dni nadzorowała setki kobiet i dzieci, które zbierały, rozszczepiały i suszyły wiklinę, wyginały drewno, plotły i składały całą konstrukcję. Była tak zmęczona, jak po przelocie ze strefy tropikalnej. Jednakże w głosie jej brzmiała duma.

– To już czterotysięczna, Doradco – Eryk Wace nigdy nie nosił takiego tytułu, ale Lannachowie nie bardzo mogli sobie wyobrazić, by ktoś nie miał określonej pozycji wewnątrz organizacji Floty. Ze względu na autorytet, jakim cieszyły się te bezskrzydłe istoty, nazwano je naturalnie Doradcami.

– Dobrze – Eryk zważył tarczę na dłoni stwardniałej od odcisków. – Dobra robota. Cztery tysiące to więcej niż trzeba; wasze zadanie zostało wykonane, Guntro.

– Dzięki – ciekawie popatrzyła na przebudowany młyn. Trudno było uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno służył tylko do mielenia ziarna.

Angrek z klanu Trekkon podszedł trzymając kawał drewna.

– Doradco – zaczął – ja... – Przerwał. Wzrok jego padł na Guntrę, która dopiero wkroczyła w wiek średni i zawsze uważano ją za ładną.

Oczy ich spotkały się, potem zamglily. Angrek rozpostarł skrzydła i sztywno zrobił krok w jej kierunku. Z krótkim okrzykiem, prawie łkaniem Guntra odwróciła się i uciekła. Angrek spojrział za nią, cisnął drewnem o ziemię i zaklął.

– Co u diabła? – zapytał Wace.

Angrek uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Duchy – wymamrotał. – To na pewno duchy... duchy niespokojne wszystkich grzeszników, którzy kiedykolwiek chodzili po tym świecie. Wpierw nawiedziły Drakhonów, a teraz przyszły nas prześladować!

Dwie inne sylwetki zamajaczyły w drzwiach, otwartych na oścież w tę krótką jasną noc wczesnego lata. Weszli. Nicholas van Rijn i Herold Tolk.

– Jak leci, mój chłopcze? – zahuczał van Rijn. W zębach obracał marynowaną cebulę; wymizerowanie, które dotknęło Eryka czy nawet Sandrę, na nim się nawet nie zaznaczyło. No, ale, pomyślał gorzko Wace, stary grubas ręki do pracy nie przyłożył. Jedyne czym się zajmował, to łażenie po okolicy, rozmowy z dowódcami Lannachów i skargi, że prace nie posuwają się naprzód dość szybko.

– Powoli, proszę pana. – Młody człowiek ugryzł się w język nie ważąc się na słowa, które cisnęły mu się na usta: „Ty opasała pijawko, czy masz zamiar dostać się do domu poprzez moją

pracę i myślenie, a potem zbyć mnie posadą pośrednika na innej zabitej dechami planecie?”

– Trzeba więc je przyśpieszyć – rzekł van Rijn. – Nie możemy czekać tak długo, ani ty ani ja.

Tolk przyjrzał się uważnie Angrekowi. Rękodzielnik wciąż jeszcze dygotał i szeptał zaklęcia. – Co się stało? – zapytał Herold.

– To ten szatański wpływ Drakhonów – Angrek zasłonił oczy.

– Heroldzie – wyjąkał – Guntra z Enklannu była tu przed chwilą i przez jakiś czas... pożądaliśmy się nawzajem.

Tolk miał minę poważną, lecz przemówił bez wyrzutu w głosie.

– To już się u wielu zdarzało. Musisz to opanować.

– Ale co to jest, Heroldzie? Choroba? Zrządzenie losu? Co ja takiego uczyniłem?

– Spotykano już te nienaturalne porywy – powiedział Tolk. – Występują one co jakiś czas u większości z nas. Lecz oczywiście o tym się nie mówi; trzeba je opanowywać, a najlepiej potem w ogóle zapomnieć, że coś takiego miało miejsce. – Zmarszczył groźnie twarz. – Ostatnio takie odruchy zdarzają się częściej niż zwykle, nie wiem dlaczego. Wracaj do pracy i unikaj kobiet.

Angrek westchnął ciężko, podniósł swój kawał drewna i dotknął ramienia Eryka. – Chciałem się poradzić; to drewno ma chyba nieodpowiedni kształt do moich potrzeb...

Tolk rozejrzał się. Dopiero co wrócił z dalekiej podróży, w czasie której obleciał kraj niosąc wieści rozproszonym klanom. – Wiele tu zrobiono – powiedział.

– Ja – zgodził się łaskawie van Rijn. – To utalentowany konstruktor, ten mój młody przyjaciel. Lecz w końcu faktor na nowej planecie powinien, do cholery, być dobrym fachowcem.

– Niezbyt dobrze rozumiem szczegóły jego planów.

– Moich planów – poprawił van Rijn nieco urażony. – To ja mu mówię, żeby zrobił broń. On ją tylko wykonuje.

– Wszystko? – zapytał Tolk sucho. Obejrzał szkielec skomplikowanego urządzenia. – Co to jest?

– Powtarzalny miotacz pocisków, karabin maszynowy, powiedzmy. Popatrz tu: ten wahacz obraca zębate koło zamachowe. Pociski podawane są taśmą do koła, o tak, i szybko wyrzucane – nim zdołasz okiem mrugnąć już dwa, trzy polecą. Koło zamontowane jest na obracającej się podstawie, by można je było ustawić we wszystkich kierunkach. To stary pomysł, zdaje się, że jakiś Miller czy de Camp dawno temu zbudował je po raz pierwszy. Ale w bitwie piekielnie trudno jest mu stawić czoła.

– Doskonale – pochwalił Tolk. – A tamto?

– To jest balista. Przypomina katapulty Drakhonów, ale jest jeszcze lepsza. Ta miota wielkie kamienie by rozbijać mury lub zatapiać łodzie. A tu... ja. – Van Rijn uniósł z ziemi tarczę, którą przyniosła Guntra. – Nie wygląda to może imponująco, ale według mnie ważniejsze jest od wszystkich innych maszyn. Wojownik nosi to na grzbiecie.

– Mmm... tak, widzę, gdzie mocuje się rzemienie... służy do ochrony przed pociskami miotanymi z góry, co? Ale nasz wojownik nie uleci mając to na grzbiecie.

– I o to chodzi! – ryknął van Rijn. – O to chodzi, *godverdomme!* To właśnie problem mieszkańców Diomedesa. *Goele grutten!* Jak można prowadzić prawdziwą wojnę mając tylko lotnictwo? Tu, w Salmenbroku zmarnowałem wiele dni wbijając w tępe łby oficerów, że to właśnie piechota zajmuje pozycje i broni ich, *verrek!* Teraz oficerowie muszą wbić to do łbów żołnierzom i wyćwiczyć... *donders!* Nie ma dość czasu! Przez tych kilkadziesiąt dni muszę zrobić coś, na co trzeba lat!

Tolk skinął głową, niemal machinalnie. Nawet Trolwen potrzebował czasu i argumentów nim pojął ideę sił bojowych, których główna część została celowo zmuszona do działań wyłącznie na ziemi. Pomysł był zbyt obcy. Lecz Herold przyjął go bez słowa. – Pojmuję twoje rozumowanie – rzekł tylko. – Ci, którzy zajmują fortece, stanowią o tym, kto włada Lannachem. Ufortyfikowane miasta dominują nad regionami wiejskimi, skąd pochodzi żywność. Aby zaś odebrać miasta, musimy się do nich wedrzeć.

– Mądrze myślisz – pochwalił van Rijn. – Na Ziemi historia zna wiele Narodów, które długo musiały się uczyć, że sama przewaga w powietrzu zwycięstwa jeszcze nie daje.

– Pozostaje jeszcze ognista broń Drakhonów – rzekł Tolk. – Co masz zamiar jej przeciwstawić? Cała moja misja przez te ostatnie dni polegała głównie na namawianiu odległych klanów, by przyłączyły się do nas. Dałem im twoje słowo, że będzie ochrona przed ogniem, że będziemy nawet mieli własne miotacze płomieni i bomby ogniste. Mam nadzieję, że mówiłem prawdę.

Rozejrzał się wokoło. Stary młyn przemieniony w prymitywną fabrykę był tak wypełniony robotnikami, że poza nimi niewiele więcej było widać. Niedaleko prosta tokarka nieco ulepszona przez Eryka wytwarzała drzewce włóczni i rękojeści toporków. Inna maszyna, szlifierka, była mu dotąd nieznana: produkowała ostrza toporków i podobne elementy, nie tak dokładnie jak ręcznie, ale za to w znacznie większych ilościach. Młot mechaniczny kształtował odpryski krzemienia i obsydianu w tnące ostrza, piła tarczowa cięła drewno, inna maszyna skręcała liny szybciej niż oko mogło to dostrzec. Wszystkie maszyny były napędzane pasami transmisyjnymi przez wielkie koła młyńskie; cała ta konstrukcja była dziwacznie poskładana

i pogmatwana, lecz wyrzucała z siebie sprzęt wojenny szybciej niż Lannachowie mogliby go zużywać. Całe skrzynie wypełniały się gotowym uzbrojeniem.

– To nadzwyczajne – powiedział Tolk – i trochę przerażające.

– Wprowadziłem tu nowy styl życia – rzekł van Rijn wylewnie.

– Nie chodzi tylko o jedną czy drugą maszynę, które i tak nieodwracalnie wpłyną na wasze dzieje. Chodzi o podstawową ideę przeze mnie wprowadzoną: produkcję masową.

– Ale ogień...

– Wace zaczął już robić dla nas broń ognistą. Siarkę znaleziono niedaleko góry Oborch; są także niezłe źródła ropy naftowej. Destylacja: to jeszcze jedna umiejętność, którą posiadli Drakhonowie, a wy nie. Teraz zmagajemy sobie własne zapalaczkę.

Van Rijn zmarszczył brwi. – Ale jedno jest niestety prawdą, przyjacielu. Nie mieliśmy czasu nauczyć waszych wojowników, jak powinni używać tego sprzętu. Wkrótce będę głodował; wkrótce wasze kobiety będą silnie brzemiennie i trzeba będzie gromadzić żywność. – Wydał teatralne westchnienie. – Ja jednak będę już dawno martwy nim wy zaczniecie naprawdę cierpieć.

– O, nie – rzekł ponuro Tolk. – To prawda, mamy jeszcze prawie pół roku do Pory Narodzin. Ale już teraz jesteśmy słabi z głodu, zimna i rozpacz. Już teraz nie dopełniliśmy wielu obrzędów...

– Niech szlag trafi wasze obrzędy! – cisnął van Rijn. – Mówię, że najpierw trzeba odebrać Ulwen, bo jest tak pięknie usytuowany nad Zboczami Duna, gdzie żyją wszystkie rogacze. Jeśli weźmiemy Ulwen, będzie dość jedzenia, a także będziemy mieli fort łatwy do obrony. Ale nie, Trolwen i Rada upierają się, że powinniśmy uderzyć na Mannenach, pozostawiając na tyłach

– Ulwen w rękach wroga i kierując się ku zatoce Sagna, gdzie mogą nas dosięgnąć ich tratwy. Po co? Żebyście mogli tam wykonać jakieś zakichane obrzędy!

– Nie zrozumiesz tego – rzekł łagodnie Tolk. – Jesteśmy tak różni od siebie. Nawet ja, do którego należy obcowanie z innymi narodami, nie potrafię pojąć twego stanowiska. Nasze życie opiera się na cyklu rocznym. Nie o to chodzi, że nadal jeszcze bierzemy poważnie naszych starych bogów – ale chodzi o obrzędy, o prawość i rzetelność wszystkiego, o współuczestnictwo... – Popatrzył ku górze, ku skrytemu w cieniu dachowi, gdzie wiatr świstał i okręzał pracujące koła młyna. – Nie, ja nie wierzę, że duchy przodków wylatują w nocy. Wierzę jednak, że gdy powitam Pełnię Lata w czasie wielkiego obrzędu w Mannenachu, tak jak to czynili moi przodkowie od kiedy istnieje Stado... to tym samym przyczynię się do utrzymania jego trwałości.

– Phi! – van Rijn wyciągnął brudną rękę by podrapać się po zmierzwionej brodzie okalającej jego twarz. Nie mógł się myć ani golić: nawet po zastrzykach przeciwuczuleniowych skóra ludzka nie tolerowała mydła diomedańskiego. – Ja ci powiem, skąd ten cały rytuał. Po pierwsze, jesteście niewolnikami pór roku, bardziej nawet niż jakikolwiek rolnik na Ziemi. Po drugie – musicie latać tak daleko i pozostawiać swe domostwa puste w ciemnościach na tak długo, że ten obrzęd jest waszą najcenniejszą własnością. Jest to coś, co nie waży zbyt wiele i można je zabrać wszędzie ze sobą.

– Może i tak – powiedział Tolk. – Jednak fakt pozostaje faktem. Jeśli istnieje jakaś szansa, aby powitać Pełnię Lata na Głazach Mannenachu, podejmiemy ryzyko. Dodatkowe straty w ludziach z tego powodu, że może nie jest to najlepsza strategia,

poniesiemy z radością.

– O ile nie zaprzepaścimy w ogóle szansy zwycięstwa w tej paskudnej wojnie – parsknął van Rijn. – Piekło i szatani! Mój osobisty kapelan na Ziemi tak nie dba o to, co jest właściwe. Popatrz: ten młodzieniec dopiero co był bliski samobójstwa, bo podniecił go widok panienki w nieodpowiedniej porze, nie?

– To nie uchodzi – rzekł sztywno Tolk. Wyszedł z pracowni; po chwili van Rijn podążył za nim.

Wace dokończył wyjaśnień udzielanych Angrekowi, sprawdził pozostałe prace, skłął nieświadomego tragarza, który koło pieca ustawił naczynia z lotnymi frakcjami ropy naftowej, i wyszedł. – Nogi mu ciążyły. Pracy było zbyt wiele, jak dla jednego człowieka: organizowanie, projektowanie, nadzór, pokonywanie trudności. Van Rijnowi zdawało się, że to takie proste: przenieść łowców z epoki kamiennej do ery maszyn w ciągu kilku tygodni. Niechby sam spróbował! Może by wtedy stracił trochę tłuszczu.

Noce były już tak krótkie, zaledwie blade niebo między dwiema czerwonymi chmurami na poszarpanym widnokręgu, że Eryk Wace nie zwracał uwagi na zegarek. Pracował, póki nie padał z nóg, zasypiał na krótko i wracał do pracy.

Czasem zastanawiał się, czy w ogóle kiedyś odpoczywał... czy był kiedykolwiek czysty, nakarmiony, czy ktoś pocieszał go w samotności?

Świt zatlił się nad północnymi wzgórzami, gdzie rząd wulkanów plamił gniewną czernią oblicze słońca. Oba księżyce zachodziły; każdy z nich widniał jako miedziany krążek dwukrotnie większy od pozornej średnicy Księżyca Ziemi. Góra Oborch drżała na zboczach plując głazami w blade niebo. Nadleciał wicher, twardy jak żelazny drąg wparty w nagle zziębnięte plecy Eryka. Kamienna pustynia Salmenbroku kulila

się pod nagłymi ciosami wiatru.

Eryk dotarł do drabiny zrobionej specjalnie dla niego by mógł wspiąć się na poddasze, w którym mieszkał. Sandra Tamarin wyszła spoza pobliskiej wieżyczki. Zatrzymała się przykładając dłoń do ust. W grzmocie wiatru nie słychać było, co powiedziała.

Eryk zbliżył się do niej. Zatrzeszczał żwir pod niezgrabnymi butami ze skóry, które wykonał dla niego miejscowy rzemieślnik.

– Słucham cię, pani – powiedział.

– Och... nic takiego, Eryku Wace. – Wzrok jego napotkał spojrzenie jej zielonych oczu, niewzruszonych i dumnych; ujrzał jednak, że twarz jej pokryła się rumieńcem. – Chciałam tylko powiedzieć... dzień dobry.

– Ja też – potarł zmęczone oczy. – Nie widziałem cię od dawna, pani. Jakże się czujesz?

– Jestem niespokojna – odrzekła – Nieszczęśliwa. Może porozmawiamy chwilę?

Pozostawili za sobą domostwa idąc zatartą ścieżką, która pięła się w górę wśród niskich ostrych krzewów pokrywających się purpurowymi kwiatami. Wysoko nad nimi krążyli strażnicy, lecz były to tylko nic nie znaczące punkciki na tle nieba. Eryk Wace poczuł, jak serce zabiło mu żywiej.

– Co robiłaś, pani? – zapytał.

– Nic ważnego. Cóż ja mogłabym robić? – Popatrzyła na swe dłonie. – Próbuję, lecz brak mi umiejętności, takich jak ty masz, albo van Rijn.

– On? – Wace wzruszył ramionami. Niewątpliwie stary kozioł znalazł dość okazji do chełpienia się własnymi zasługami, gdy włóczył się bez celu po Salmenbroku. – Wystarczy... – dobierał właściwych słów. – Wystarczy, pani, że jesteś tutaj, przy mnie.

– Ależ Eryku! – zaśmiała się ze szczerą przyjemnością, na wpół

rozbawiona i wcale nie urażona. – Nie myślałam, żeś tak rycerski w słowach.

– Nie było dotąd okazji, pani – mruknął, zanadto zmęczony i wyczerpany by zważać na słowa.

– Nie? – popatrzyła nań z ukosa. Wiatr wdarł się w jej ciasno splecione włosy i rozwinął w nich małe srebrzyste proporce. Nie wyglądała jeszcze na wygłodzoną, lecz kości policzkowe wyraźniej odznaczały się w jej twarzy, na policzku widniała ciemna smuga, a odzież stanowiły workowate łachmany zeszyte przez krawca, który nigdy przedtem nie widział ludzkich postaci. Jednakże, choć wyzbyta w ten sposób ze swego królewskiego wyglądu, wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek; może dlatego, że była bliżej niego? Ponieważ jej nędza szczerze świadczyła, że była tylko istotą ludzką – jak on sam?

– Nie – Wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nie rozumiem – odrzekła.

– Wybacz, pani, głośno myślałem. Złe przyzwyczajenie. Zdarza się jednak na tych odległych planetach. Widzi się wciąż te same osoby tak często, że przestają być pożądanym towarzystwem; zaczyna się ich unikać – a poza tym oczywiście zawsze brak ludzi, więc wiele prac trzeba wykonywać samodzielnie, często przez wiele tygodni. Po co ja to wszystko mówię? Dobry Boże, jakże jestem zmęczony!

Zatrzymali się na krawędzi wzgórza. U ich stóp leżała skała opadająca stromo setki metrów ku spienionej wodzie rzeki. Po drugiej stronie wąwozu góry wznosiły się przy górach, a słońce krwawo barwiło ich śnieżne stoki. Wiatr przeciskał się w górę wąwozu uderzając w twarze Ziemi.

– Rozumiem. Tak, to dla mnie jasne – Sandra poważnie spojrzała na Eryka. – Całe życie musiałeś ciężko pracować.

Brakło czasu na przyjemności, na uczenie się dobrych manier, na kulturę. Prawda?

– Nie było w ogóle czasu, pani – odrzekł. – Urodziłem się w slumsach, o kilometr od starego portu na Trytonie. Tylko najbiedniejsi mieszkają tak blisko kosmodromu, ze względu na ruch pojazdów, smród i hałas jakby trzęsienia ziemi... choć można się do tego przyzwyczaić, aż to wszystko wrasta w ciebie, w twoje kości. Przypuszczam, że połowa moich kolegów już nie żyje lub siedzi w więzieniu, a druga połowa chwyta się dorywczych prac nie wymagających kwalifikacji, brudnych i ciężkich, których nikt inny nie chce. Jednak współczuć mi nie trzeba, miałem szczęście. W wieku lat dwunastu zostałem praktykantem u hurtownika futer. Po dwóch latach nawiązałem kilka kontaktów, które pozwoliły mi samemu znaleźć równie ciężkie i brudne zajęcie, tyle że na statku kosmicznym łowców zwierząt futerkowych lecącym na Rhiannon. W wolnych chwilach nauczyłem się tego i owego, zaś jeśli czegoś nie wiedziałem, zmyślałem trochę i udało mi się załatwić lepszą pracę. I tak dalej, i tak dalej, aż postawili mnie na czele tutejszej placówki, mało ważnego przedsiębiorstwa, które z czasem może zacznie się opłacać, ale wielkiego znaczenia nigdy nie uzyska. Jednak jest to jakiś kolejny krok. Więc jestem tu, na szczycie góry, pode mną leży Diomedes, i co teraz?

Gwałtownie potrząsnął głową dziwiąc się, czemu jego zasób sił się wyczerpał. Przypominało to trochę zamroczenie alkoholem. Choć może coś więcej... nie to, żeby szukał współczucia... czy jednak na dnie duszy nie chciał wiedzieć, czy ona go rozumie? Czy potrafi zrozumieć?

– Ty powrócisz do domu cało – rzekła cicho. – Tacy jak ty, wychodzą cało z opresji.

– Być może!

– To, czego już dokonałeś, to już czyn bohaterski. – Popatrzyła w bok, ku chmurom przepływającym obok wierzchołka góry Oborch. – Myślę, że nic ciebie nie potrafi powstrzymać. Chyba tylko ty sam.

– Ja? – Jego zażenowanie powiększało się i chciał zmienić temat. Poglądził szczeciniastą brodę.

– Owszem. Któżby inny? Tak szybko osiągnąłeś tak wiele. Czemu jednak nie przestaniesz? Niedługo, może jeszcze na tej górze, czy nie trzeba będzie zadać sobie pytania: jak daleko warto się posunąć?

– Nie wiem. Myślę, że tak daleko, jak tylko można.

– Po co? Czy warto zostać wielkim człowiekiem? Czy nie wystarczy być wolnym? Z twoim talentem i doświadczeniem zarobisz dosyć na wielu skolonizowanych planetach, gdzie ludzie bardziej czują się u siebie, niż tutaj. Na przykład na Hermesie. W tym dążeniu do bogactw i władzy, czy nie kryje się po prostu chęć nasycenia tego małego chłopca, który kiedyś płakał z głodu przed snem w slumsach na Trytonie? Jednak nigdy nie zdołasz pocieszyć tego chłopca, przyjacielu. On już dawno umarł.

– No, nie wiem... Myślę, że pewnego dnia założę rodzinę. Chciałbym dać mojej żonie coś więcej, niż tylko środki do życia, chciałbym zostawić moim dzieciom i wnukom dość majątku, by zapewnić im dobrobyt, by mogły stawić czoła całemu światu, jeśli będzie trzeba...

– Tak. Więc tak. Myślę, że... – nim odwróciła twarz, dojrzał, że krew napłynęła jej do twarzy – że dawni, dzielni książęta Hermesa byli podobni do ciebie. Dobrze by było, gdyby znowu tacy przyszli na tron... – Ruszyła nagle szybkim krokiem po ścieżce. – Dosyć. Najlepiej będzie, jeśli wrócimy, prawda?

Poszedł za nią, ledwo zdając sobie sprawę z tego, że stąpa po ziemi.

Gdy Lannachowie byli gotowi do walki, zebrali się na wezwanie Gwizdaczy Tolka w Salmenbroku, aż niebo pociemniało od skrzydeł. Trolwen utorował sobie drogę do van Rijna przez kłębowisko ciał.

– Zaiste, bogowie są nam nieprzychylni, – powiedział gorzko. – O tej porze roku prawie zawsze wieją silne południowe wiatry. – Machnął ręką ku bezwietrznemu niebu.

– Czy znasz jakieś czary przywołujące wiatry?

Kupiec popatrzył w górę, nieco poirytowany. Siedział za stołem na zewnątrz chatki z trzciny i gliny, zbudowanej dla niego poza wioską, bowiem nie życzył sobie wspinać się do domu po drabinie, ani sypiać w wilgotnej jaskini. Spędzał czas grając w kości z kapitanem Stygenem o kamienie przypominające beryle, które stanowiły miejscowy środek płatniczy. Liczba cywilizacji zamieszkujących Galaktykę, które niezależnie od siebie wynalazły taką czy inną odmianę gry w kości, jest niemożliwa do określenia.

– Ha! – rzucił – bez wiatru pod ogony już nie polecicie? Aha, siódemka! Nie, cholera jasna, zapomniałem, że siódemka nie jest tu szczęśliwą liczbą. Spróbujemy jeszcze raz. – Trzy kostki

zagrzechotały mu w rękę i padły na stół. – Hmm, znowu siedem.
– Zgarnął pulę. – Podwajamy?

– Niech to pożeracze duchów porwą! – Stygen zerwał się z miejsca. – Zbyt często wygrywasz, jak na mój gust.

Van Rijn sam zerwał się na nogi jak szarżujący wieloryb.

– Do cholery, odwołaj to, albo...

– Nie powiedziałem nic obraźliwego – zimno odrzekł Stygen.

– Dałeś do zrozumienia! Zostałem obrażony!

– Spokojnie! – warknął Trolwen. – Co to jest, pijatyka? Ziemianinie, wszystkie ugrupowania bojowe Lannadiów zgromadziły się na tych wzgórzach. Nie możemy ich żywić zbyt długo. A z drugiej strony nie możemy się ruszyć, bowiem nową broń załadowano na wózki żaglowe. Co robić?

Van Rijn spojrzał wściekle na Stygena. – Mówię, że zostałem obrażony. Nie mogę dobrze myśleć, kiedy jestem obrażony.

– Jestem pewien, że kapitan przeprosi za niezamierzoną obrazę – rzekł Trolwen rzucając im rozgniewane spojrzenie.

– Oczywiście – Stygen z trudnością dobywał słów.

– Dobrze – van Rijn pogłodził się po brodzie. – Więc aby dowieść, że nie wątpisz w moją uczciwość, rzuć kości raz jeszcze. Podwajasz?

Stygen chwycił kości i cisnął je na stół. – Aha, masz szóstkę – powiedział van Rijn. – No, niełatwo to pobić. Boję się, że już przegrałem. Niełatwo być biednym, zmęczonym, głodnym starcem rzuconym daleko od domu i jego syjamskich kotów; one jedne kochają go dla niego samego, a nie dla jego pieniędzy... Tram-ta-ta-tam... Osiem! Dwa, trzy i trzy! No, no...

– Transport – rzekł Trolwen usilnie starając się nad sobą zapanować. – Nowa broń jest za ciężka dla tragarzy. Muszą jechać po szynach. Bez wiatru, jak dowieziemy je do zatoki

Sagna?

– To proste – powiedział van Rijn licząc wygraną. – Nim nadejdzie pomyślny wiatr, przywiążcie liny do wózków i te wasze młode osiłki pociągną.

Stygen wybuchnął. – Wolny członek klanu ma ciągnąć wózek jak... jak Drakhon? – Opanował się. – To niemożliwe – powiedział.

– Czasami – rzekł van Rijn – to, co niemożliwe musi być możliwe. – Zgarnął klejnoty, wrzucił je do sakiewki i ruszył ku studni. – Chyba jest jakaś dyscyplina w tym Stadzie?

– Tak... myślę, że tak... – Nieszczęśliwy wzrok Trolwena powędrował ku rozkrzyczanej fali skrzydlatych istot, która pochłonęła wioskę. – Jednak taka praca trwająca przez dłuższy czas zawsze była... nim jeszcze przyszli Drakhonowie... zawsze uważano ją w pewnym sensie za zwyrodnienie; nie to, że jest zakazana, ale nie robi się tego bez najwyższej konieczności. Praca fizyczna w miejscu publicznym... nie!

Van Rijn zakręcił kołowrotem u studni. – Czemu nie? Drakhonowie wiele gadają o szacunku dla pracy. Im jest ona potrzebna, u nich trzeba ciężko pracować. A dla was? Dlaczego Lannachowie nie mogą pracować?

– To nie uchodzi – rzekł sztywno Stygen. – Stalibyśmy się zwierzętami.

Van Rijn postawił wiadro na cembrowinie i wyciągnął ze środka butelkę ziemskiego piwa. – Ach, zimne i dobre... hm, może za zimne? Niech piekło pochłonie wszystkie miejsca, gdzie nie ma lodówek z termostatem! – Otworzył butelkę o cembrowinę i posmakował. – Może być. No więc wiele podróżowałem i stwierdziłem, że wszędzie sposób postępowania i moralność mieszkańców poszczególnych planet wynikają z jakiegoś zasadniczego powodu. Może nawet taka rasa zapomniała, skąd

pochodzi takie czy inne prawo, lecz jeśli prawo nie miałyby sensu, nie przetrwałyby długo. Wynika stąd, że nie lubicie długotrwałej ciężkiej pracy, z wyjątkiem oczywiście trudu przelotów, bowiem z jakiegoś powodu nie jest ona dla was odpowiednia. A jednocześnie ciężka praca nie szkodzi Drakhonom. Paradoks!

– Niech złe moce porwą twoje rozmyślenia – warknął Trolwen.

– To był twój pomysł, żeby zrobić te wszystkie nowomodne urządzenia, zamiast walczyć, jak walczyli nasi przodkowie. Teraz więc powiedz, jak je sprowadzić w dolinę nie demoralizując jednocześnie armii.

– Ach, o to chodzi! – van Rijn wzruszył ramionami. Macie chyba jakieś zawody, sport, nie?

– Oczywiście.

– Więc trzeba wyjaśnić, że te wózki trzeba sprowadzić na dół i chociaż nie musimy wyruszać od razu...

– Musimy! Będziemy głodować, jeśli nie wyruszymy!

– Mój młody przyjacielu – rzekł cierpliwie van Rijn – widzę, że musisz jeszcze wiele się nauczyć o polityce. Wy, Lannachowie nie potraficie kłamać, pewnie dlatego, że nigdy nie zawieracie małżeństw. Więc powiedz tak wojownikom, słuchaj uważnie: możemy jeszcze czekać na wiatr południowy, ale wiem, że rwiecie się do walki z wrogiem, więc ogłaszam zawody. Każdy klan ma zwieźć na dół tyle i tyle wózków, a my zmierzmy szybkość i najlepszym damy nagrodę.

– Niech mnie złe duchy porwą... – rzekł Stygen.

Trolwen ochoczo skinął głową. – Tradycje klanów pozwalają na coś takiego...

– Widzisz – wyjaśnił van Rijn – na Ziemi nazywamy to problemem semantycznym. Jestem stary i mam zadyszkę, więc

mogę bez uprzedzeń przyglądać się tym wszystkim baseballom, piłkom nożnym i wyścigom w workach, i wiem, że sport to tylko taki rodzaj ciężkiej pracy, której nie ma obowiązku wykonywać.

Czknął głośno, otworzył następną butelkę piwa a z sakwy wyciągnął nadjedzony kawał salami. Zapasy żywności topniały w szybkim tempie.



Gdy cała ekspedycja znajdowała się w połowie drogi w dół zbocza Gór Mglistych oczekiwane wiatry pojawiły się w końcu z tyłu. Wojownicy zaprzężeni do wózków odetchnęli i zatrzymali się, czekając na mierzących czas, którzy za pomocą klepsydr piaskowych mieli ustalić zwycięzców.

– Na pewno nie wszyscy dali się nabrać na te zawody – powiedziała Sandra.

– Oczywiście, że nie – odrzekł Wace. – Jednak ci, którzy byli dość inteligentni by przejrzeć plan starego Nicka, byli równie mądrzy, aby zrozumieć, że było to konieczne, i trzymać język za zębami.

Skulił się pod ostrym smagnięciem wiatru, który dął po stokach górskich w kierunku odległej, zamglonej zieleni pagórków i dolin, i przyglądał się pracy mechaników. Pociąg Lannachów składał się z około trzydziestu lekkich wózków związanych liną; na początku była jedna „lokomotywa”, zaś druga, podobna, w środku. „Lokomotywę” zbudowano solidniej, aby dać odpowiednią podstawę dwóm wysokim masztom, na których rozpięto kwadratowe żagle. Mając do dyspozycji drewno prawie tak twarde jak metal, oliwienie drewnianych piast

mających zastąpić łożyska kulkowe, oraz huraganowy wiatr Lannachowie mogli z powodzeniem korzystać z tego systemu. Osiągana szybkość nie była oszałamiająca i często trzeba było czekać na sprzyjający wiatr, ale wychowanie Lannachów nie przewidywało pracy z zegarkiem w ręku.

– Pani, jeszcze nie jest za późno, aby zawrócić – rzekł Eryk. – Zorganizuję eskortę.

– Nie – dotknęła łuku, specjalnie dla niej wykonanego. Nie była to tylko zabawka; ważył dwadzieścia pięć kilogramów i przypominał ten, z którym często polowała w lasach Hermesa. Uniosła dumnie głowę, a jej bladłosrebrzyste włosy pochwyciły czerwone światło słońca i odbiły je ku ciemnemu masywowi skał i lodów. – Stajemy razem i, jeśli trzeba, zginiemy razem. Nie przystoi władcy zostawać w domu, gdy inni walczą..

Van Rijn odchrząknął. – Cały kłopot z tą arystokracją – mruknął – polega na tym, że liczą się u nich tylko wygląd i odwaga, a nie rozum. Ja za to chętnie bym został w domu, gdyby nie trzeba było pokazać, że mam zaufanie do własnych planów.

– A ma pan? – zapytał sceptycznie Eryk.

– Nie gadaj głupstw – parsknął van Rijn. – Oczywiście, że nie. – Pokuśtykał ku specjalnie dla niego przygotowanemu wozowi dowodzenia. Miał on przynajmniej ściany, dach i łóżko. Wiatr świstał kamienistym wężozem i van Rijn opierał mu się całą siłą. Nad głowami szybowały, pikując w dół, eskadry Lannachów.

Zarówno Wace jak i Sandra mieli własne wózki, lecz księżna poprosiła Eryka, by jechał razem z nią. – Wybacz mi tę teatralność, Eryku, ale możemy zginąć, a przykro jest umierać samotnie, gdy nie ma obok człowieka, który może ująć twą rękę. – Zaśmiała się nieco bez tchu. – A przynajmniej możemy

porozmawiać.

– Obawiam się... – odchrząknął ze ściśniętym gardłem. – Obawiam się, pani, że nie potrafię tak gładko przemawiać, jak Nicholas van Rijn.

– Och – uśmiechnęła się – o to mi chodziło. Mówiłam o rozmowie, nie o słuchaniu jego monologu.

Mimo to ucichła, podobnie jak Eryk, gdy wózki ruszyły.

Bez zegarków trudno im było nawet ocenić, ile czasu zabrała podróż. W kraju Lannachów była już prawie pełnia lata: co dwanaście i pół godziny słońce ocierało się o horyzont na północy, ale prawdziwej nocy właściwie już nie było. Eryk Wace patrzył, jak kilometry przebiegają obok nich; jadł, spał, rozmawiał nieskładnie z Sandrą lub młodym Angrekiem, który służył im pomocą, a w międzyczasie otaczający ich wielki kraj przechodził coraz bardziej w pofałdowane doliny i lasy składające się z niskich drzew o pierzastych liściach; morze zaś zbliżało się coraz bardziej.

Co jakiś czas przegrzanie osi lub przeciwny wiatr wstrzymywały drogę naprzód. W szeregi Lannachów wkradał się niepokój; przyzwyczajeni byli do szybkich przelotów z gór na wybrzeże, które trwały jeden dzień, a nie do kołowania nad pociągiem pełznącym jak powolny robak. Zwiadowcy Drakhonów oczywiście wypatrzyli już ich z powietrza i do zatoki Sagna wpłynął konwój tratew z silnymi posiłkami. Podjazdy ścierały się z flankami atakujących. A mimo to pociągi musiały posuwać się naprzód. Ostatecznie między wyjazdem z Salmenbroku a bitwą o Mannenach Diomedes osiem razy obrócił się dookoła własnej osi.

To miasto portowe leżało na brzegu zatoki Sagna, z dala od otwartego morza, otoczone przez porośnięte lasem wzgórza. Był

to posępny i ponury kompleks kamiennych wież ciasno oplecionych łańcuchem tuneli i krytych mostów, odzywający się chropawym dźwiękiem tuzina wielkich wiatraków. Mannenach leżał nad niewielką mierzeją, którą Drakhonowie poszerzali. W oddali, na tle wzburzonych brunatnych fal ciemniały kołyszące się sylwetki około czterdziestu tratów wroga.

Gdy pociąg się zatrzymał, Eryk Wace wyskoczył z wózka Sandry. Nie było jeszcze do czego strzelać: z całego Mannenachu widać było ledwie kilka spiczastych dachów wystających ponad trawiastą krawędź znajdującego się przed nimi wzgórza. Stojąc nawet pod wiatr Eryk słyszał łopot skrzydeł Drakhonów wzlatających ponad miasto, wirujących ku górze, niczym ucieleśnione tornado. W powietrzu jednak gęsto było od Lannachów i wróg nie ważył się jeszcze na natychmiastowy atak.

Serce biło mu, jakby chciało wyrwać się z piersi, a w ustach zaschło, aż nie mógł wydobyć głosu. Jak przez mgłę dostrzegł, że Sandra stanęła obok niego. Diomedańska ochrona pod wodzą Angreka otoczyła ich kolczastą palisadą włóczni.

Dziewczyna uśmiechnęła się. – To jest już pewna ulga – powiedziała. – Minęło bezczynne siedzenie i zamartwianie się; zrobimy to, co potrafimy, prawda?

– Nieprawda! – wydyszał van Rijn kuśtykając w ich kierunku. Podobnie jak Eryk i Sandra, ubrał się w hełm i źle leżący na nim kirys z wielu warstw twardej skóry, nałożony na cuchnący już strój z miejscowych tkanin. Dla pewności jednak kupiec wdział dwa pancerze, jeden na drugi: na lewym ramieniu zawiesił jedną tarczę, zaś drugą, jak kopułę ochronną, trzymało nad nim dwóch młodych wojowników. Za pasem miał toporek i mnóstwo kamiennych noży. – Jeśli mi się uda, nie mam zamiaru niczego robić, do cholery! Wy możecie ruszać do walki, a ja będę za wami

– tak daleko z tyłu, jak dobrzy święci pozwolą.

Eryk odzyskał mowę. – Myślałem często – rzekł złośliwie – że może mniej byłoby wojen między istotami cywilizowanymi, gdyby powróciły do starego obyczaju, że generałowie również mają stawać na placu boju.

– Phi! Bzdura! Wojen byłoby tyle samo, tyle, że generałowie mieliby więcej odwagi, a mniej rozumu. Moim zdaniem tchórze są najlepszymi strategami, to można udowodnić, stik! Zostaję w wozie. – Van Rijn odmaszerował mrużąc coś pod nosem.

Nowo powstałe oddziały artylerii polowej Trolwena w pośpiechu wyładowywały swą niezgrabną broń z wózków i montowały całość, podczas gdy eskadry i patrole powietrzne potykały się w górze. Wace zaklął: nareszcie było coś dla niego! – i pośpieszył ku najbliższemu ośrodkowi zamieszania. – Hej, wy tam! Do tyłu! Co wy wyrabiacie? Hej ty, wejdź do wozu i odwiąż główną ramę... to, nie tamto, ty durna pało! – Po pewnym czasie niemal zapomniał o walce, która rozgorzała wokół niego.

Garnizon Mannenachu i posiłki, które nadeszły z morza, zaczęły od ostrożnego sondowania przy użyciu tylko kilku eskadr naraz; eskadry te nurkowały ku lecącym oddziałom Lannachów, by następnie wycofać się ku miastu. Tutaj Drakhonowie byli w znacznej mniejszości; Trolwen słusznie rozumował, że żaden admirał nie poważyłby się pozostawić głównych sił Floty bez silnej osłony, póki Lannachowie byli jeszcze groźni. Poza tym żeglarze zdziwili się, a trochę i przerazili widokiem dziwnych formacji atakującego wojska.

Co najmniej połowa Lannachów maszerowała w szeregach po ziemi, okryta dachowatymi tarczami, które nawet nie pozwalały im latać! Nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszano!

W ciągu godziny obie armie weszły w ściślejszy kontakt

bojowy. Mając przewagę w powietrzu, Drakhonowie co chwila przebijali się przez powietrzną osłonę Trolwena. Jednak koordynowane przez oddziały Gwizdaczy siły powietrzne płynnie wracały do szyku. A atakowanie piechoty Lannachów nie przynosiło korzyści: te niezgrabne tarcze z wikliny zatrzymywały pociski z zaostrzonymi krawędziami, odbijały kamienie, i ataki z powietrza nie wywarły na niej niemal żadnego wrażenia.

Strzały padały już gęsto, gdy Eryk umieścił ostatnią część broni na miejscu. Skinął głową ku Gwizdaczowi, który natychmiast wzleciał by przekazać wieść Trolwenowi. Ze stanowiska dowodzenia, gdzie Trolwen unosił się na termice, wyruszyła chmara posłańców. Na ziemi rozwinęły się sztandary, wiatr poniósł okrzyki wojenne, jednym słowem był to sygnał do natarcia!

W otoczeniu ochrony Angreka Eryk dobrze zdawał sobie sprawę, że znajduje się w pierwszej linii natarcia. Sandra szła obok niego z półotwartymi ustami. Na obu skrzydłach rozciągały się naszpikowane włóczniami linie wojowników. Zdawało się, że długo jeszcze nie osiągną grzbietu wzgórza.

Jeden po drugim, oficerowie Drakhonów pojęli w czym rzecz... i krzyknęli ze zdumienia.

Te niewzruszone oddziały piechoty, nie do pokonania z powietrza, nie natrafiające na opór na ziemi po prostu przelewały się przez wzgórze kierując się ku murom Mannenachu i ciągnęły za sobą maszyny oblężnicze. Gdy wojownicy dotarli na miejsce, zabrali się do roboty.

W powietrzu szalał orkan skrzydeł i broni. Drakhonowie nurkowali, siekli i kłuli piechotę Trolwena, a sami z kolei znaleźli się pod atakiem z góry, gdy jego oddziały latające, na chwilę

rozproszone, powróciły do szyku bojowego. Jednocześnie trach, trach, trach, tarany atakowały mury, zaś piesze oddziały obchodziły miasto kierując się ku portowi.

– Tam! Jeszcze mu przyłoż! – Wace zdał sobie sprawę, że to on krzyczy.

Coś przeleciało przez chaos w powietrzu. Przeszyte strzałami ciało runęło na ziemię. Za nim podążyło inne, żywe ciało wojownika Drakhonów rozdzierającego skrzydłami z trzaskiem powietrze. Leciał szybko i nisko; jeden z żołnierzy Angreka zamierzył się nań mieczem, chybił i padł z głową roztrzaskaną toporkiem żeglarza.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało, Eryk ujrzał Drakhona przed sobą. Gwałtownie zamierzył się kamiennym toporkiem. Cios skrzydła powalił go na ziemię. Zerwał się na nogi plując krwią, a w tym czasie żeglarz znalazł się znowu nad nim w locie nurkowym. Dłonie Eryka były puste... Nagle Drakhon krzyknął, schwycił się za gardło, w którym tkwiła strzała, spadł koziółkując i już nie żył.

Sandra nałożyła następną strzałę. – Mówiłam, że mogę się przydać – powiedziała.

– Ja... – Eryk Wace odwrócił się i spojrzał na nią.

– Idź – powiedziała. – Pomóż im się przedrzeć. Będę cię osłaniać.

Była jeszcze bledsza niż zazwyczaj, lecz w oczach jej płonął zielony ogień.

Odwrócił się na pięcie i ponownie objął komendę nad saperami. Widać już było, że atak taranami był błędem; przez kamienne mury wiązane zaprawą mogły przebijać się do następnej wiosny. Eryk odwołał wszystkich z machin oblężniczych i posłał do pomocy kopiących. Mając do dyspozycji

wiele drewnianych łopat, czy nawet gołymi rękami, mieli wszelkie szansę by przekopać się do miasta.

Gdzieś niedaleko rozległ się tak silny hałas, że zagłuszył inne odgłosy walki. Wace skoczył na ramę tarana i rozejrzał się dookoła ponad głowami techników.

Grupa Drakhonów podjęła walkę na ziemi. Nie byli wyszkoleni w takiej taktyce, ale w końcu Lannachowie sami przeszli tylko bardzo pobieżną musztrę. Samą siłą wściekłego ataku Drakhonowie spychali swych przeciwników w tył. Z punktu widzenia Trolwena w górze w linii natarcia powstał poważny wyłom.

Gdzie u diabła była broń maszynowa?

O, właśnie zbliżało się jedno działko podskakując na małym wózku. Dwóch Lannachów zaczęło rozpędzać koło zamachowe, zaś trzeci podawał amunicję. Strumień pocisków bluznął na Drakhonów. Natarcie załamało się i Drakhonowie ratowali się ucieczką w powietrze. Eryk schwycił Sandrę w ramiona i zatańczył z nią na polu.

Wtem prawdziwe piekło rozszalało się na dachach. Jego oddział dokopał się w końcu do przejścia podziemnego otwierając sobie drogę do miasta. Spychając wroga przed sobą na górne piętra i dach Lannachowie momentalnie zdobyli jedną wieżę.

– Angrek! – Wace ciężko dyszał. – Pomóż mi się tam dostać! – Ktoś opuścił linę, po której wdrapał się najpierw Eryk, a zaraz później Sandra. Stanąwszy na kalenicy powiódł wzrokiem poza kamienne parapety i obracające się wiatraki ku zatoce. Siły Trolwena zdobyły pirs bez większego kłopotu. Nie posuwały się jednak dalej: powstrzymywał je nieprzerwany potok strumieni ognia, bomb zapalających i pocisków z katapult znajdujących się

na zakotwiczonych tratwach. Podobna broń Lannachów miała znacznie mniejszy zasięg.

Sandra odwróciła się od wiatru, który wyciskał jej łzy z oczu, i pokazała coś dłonią. – Eryku, czy poznajesz tę banderę na największym okręcie?

– Hmmm, niech się dobrze przyjrzę... Czyż to nie osobista bandera naszego starego znajomego Delpa?

– Oczywiście. Nie martwię się, że uniknął kary za zamieszanie, które spowodowaliśmy. Wolałbym jednak walczyć z kimś innym – byłoby lepiej dla nas. – Może – powiedział Wace. – Ale wracajmy do roboty. Postawiliśmy w mieście jedną nogę. Teraz musimy rozbijać bramy i wypierać wroga – metr za metrem. Ty zostaniesz tutaj.

– Nie zostanę!

Wace skinął palcem na Angreka. – Wyślij oddział by odprowadził panią do wózków – rzucił.

– Nie! – krzyknęła Sandra.

– Za późno – uśmiechnął się Eryk. – Załatwiłem to zanim jeszcze wyruszyliśmy z Salmenbroku.

Rzuciła weń przekleństwem, a potem nagle pochyliła się ku niemu łagodnie. – Wracaj cały i zdrowy, przyjacielu – wyszeptała, ledwie słyszalna przez świst wiatru i okrzyki wojenne.

Eryk poprowadził żołnierzy do wnętrza wieży.

Po walce nie pamiętał już, jak to było. Była to bitwa ciężka i krwawa, toczona toporem i nożem, zębami i szponami, skrzydłami i ogonem, w wąskich tunelach i wielkich salach. Eryk otrzymywał ciosy i oddawał je; raz na kilka sekund stracił przytomność, innym razem poprowadził zwycięskie natarcie na przestronną salę zgromadzeń. Sam nie miał kłów, skrzydeł ani

ogona, lecz ciosy swe rzadko musiał powtarzać, był bowiem mocniej zbudowany od dowolnego Diomedańczyka.

Lannachowie zdobyli Mannenach nie dlatego, że mieli odpowiednie wyszkolenie w walce na ziemi, ale ponieważ mieli go dość by zyskać pojęcie o walce ze skrępowanymi skrzydłami. Taka walka była równie obca instynktowi Diomedańczyków jak dla ludzi walka ze związanymi rękami przy użyciu tylko zębów. Nieprzygotowani na to Drakhonowie uciekali jak szczury tunelami w poszukiwaniu otwartego nieba.

Wiele godzin później, ślaniając się na nogach z wyczerpania Eryk Wace wspiął się na płaski dach domu po drugiej stronie miasta. Siedział tam Tolk czekając na niego.

– Myślę... że... mamy całe miasto – dyszał Wace.

– A jednak to nie wszystko – rzekł wzburzony Tolk. – Popatrz na zatokę.

Wace schwycił się parapetu, by ustać na nogach.

Nie było już pirsu ani baraków na końcowej platformie – wszystko spowijał gęsty czarny dym. A tratwy i łodzie Drakhonów zebrały się na płycznach tworząc coś w rodzaju mostu. Po ich pokładach żeglarze przeciągali na brzeg elementy katapult i miotaczy ognia.

– Mają zbyt dobrego dowódcę – rzekł Tolk. – Za łatwo pojął, w czym rzecz, a nasze metody mają swe słabe strony.

– Co Delp ma zamiar zrobić? – wyszeptał Eryk.

– Zaczekaj, a zobaczysz – powiedział Herold. – I tak nic nie możemy pomóc.

Drakhonowie wciąż jeszcze mieli przewagę w powietrzu. Spoglądając na niskie i ponure niebo wypełnione deszczowymi chmurami nadciągającymi ponad wzburzonym morzem o barwie spiżu Eryk Wace ujrzał, jak nadciągają by okrążyć

powietrzną ochronę Lannachów.

– Widzisz – powiedział Tolk – to prawda, że ich siły powietrzne nie mogą wiele zrobić naszej piechocie, ale wódz nieprzyjaciół zdał sobie sprawę, że to samo dotyczy odwrotnej strony.

Trolwen był zbyt dobrym dowódcą by dać się tak zaskoczyć. Jego lotnicy wycofywali się, walcząc o każdą piędź. Po chwili w powietrzu latały tylko szare pióra.

Na ziemi, pod osłoną pocisków miotanych torem balistycznym z tratów żeglarze montowali ruchomą artylerię. Mieli jej więcej niż Lannachowie i byli lepszymi strzelcami. Kilka ataków piechoty załamało się w krwawym nieładzie.

– Oczywiście, nie mają naszej broni maszynowej – rzekł Tolk.

– Lecz my jej też nie mamy tyle, by robiło to jakąś różnicę.

Wace zwrócił się w stronę Angreka, który zbliżył się. – Nie stój tu! – krzyknął. – Zejdz na dół, zbierz naszych, zdobądź te katapulty! To możliwe, powiadam ci!

– Teoretycznie tak – Tolk skinął chudą głową. – Zdaję sobie sprawę, że żołnierze walczący na ziemi, posuwający się pod każdą możliwą osłoną mogliby podkraść się do katapult i miotaczy ognia i toporkami wybić obsługę. Lecz w praktyce – nie potrafimy tego.

– To co byś ty zrobił? – jęknął Wace.

– Zastanówmy się najpierw, co stanie się na pewno – rzekł Tolk. – Straciliśmy nasze pociągi; jeśli ich jeszcze nie zdobyto, to wkrótce zniszczą je płomienie. Tym samym nasze zaopatrzenie nie istnieje. Nasze siły zostały rozdzielone; naszych lotników odparto, zaś my, naziemni, zostaliśmy tutaj. Trolwen nie może przebić się do nas, bo jest w mniejszości. My, którzy zajęliśmy Mannenach, znacznie przewyższamy liczebnie naszych bezpośrednich przeciwników. Ale z ich artylerią nie możemy się

mierzyć.

– Dlatego też – mówił dalej – by walczyć dalej musimy odrzucić nasze wielkie tarcze i inne nowomodne przyrządy i powrócić do konwencjonalnej walki w powietrzu. Lecz piechota nie jest dobrze uzbrojona do tradycyjnej walki: mamy na przykład za mało łuczników. Delpowi wystarczy schronić wojsko na tratwach, za zasłoną broni ognistej, i mimo całej naszej przewagi nie będzie można go sięgnąć. Tymczasem on trzyma nas tu w szachu, odciętych od żywności i sprzętu. Dodatkowe uzbrojenie, które wyprodukował nasz młyn, leży bezużyteczne w Salmenbroku. A wkrótce niewątpliwie nadejdą silne posiłki z Floty.

– Do diabła z tym! – krzyknął Wace. – Wzięliśmy miasto, nieprawdaż? Możemy w nim się bronić, aż Drakhonowie rozpadną się ze starości.

– Co będziemy jeść przez ten czas? – zapytał Tolk. – Jesteś dobrym inżynierem, Ziemianinie, ale słabym żołnierzem. Faktem nie do odparcia jest, że Delpowi udało się podzielić nasze siły i tym samym już zwyciężył. Proponuje wycofać się teraz, póki jeszcze możemy.

I nagle znikł jego spokój, on sam skurczył się i zakrył oczy skrzydłami. Wace spostrzegł u Herolda pierwsze oznaki starości.



Na pokładach trwały tańce zwycięstwa, a radosne śpiewy dźwięczały w całej zatoce Sagna odbijając się od okrążających ją wzgórz. W górę, w dół i dookoła, w przód i w tył, nogi i skrzydła splatały się w tańcu, aż deski trzeszczały. Wysoko w olinowaniu grajek wydobywał wysokie dźwięki z piszczałki; w dole wielki bęben nadzorcy, który zwykle służył do równania tempa pracy wioseł tym razem wybijał rytm do tańca. W kręgu postaci stojących ze złożonymi skrzydłami, sierścią mokrą od potu i błyszczącymi oczami, wirował żeglarz ze swoją kobietą, a setka żeglarzy huczała w śpiewie:

*... żeglować, żeglować
żeglować do Morza Piwa.
Dziewczyno, bądź moja
Na tratwie mej będziesz pływać...*

Delp wyszedł z kajuty na rufie i popatrzył na załogę.
– Za sześćdziesiąt dekad załoga Floty znacznie się powiększy –
zaśmiał się.
Rodonis trzymała go mocno za rękę. – Chciałabym... – zaczęła.
– Tak?

– Czasami... och, to nic takiego. – Tańcząca para frunęła do góry i następna para zajęła jej, miejsce na pokładzie. Zatrzeszczały deski pod kolejną beczką piwa wytoczoną na cześć zwycięstwa. – Czasami chciałabym być taka jak oni – dokończyła.

– I mieszkać w forkasztelu? – zapytał sucho Delp.

– No nie, oczywiście, że nie...

– Za osobną kajutę, służbę, piękne stroje i wolny czas trzeba zapłacić odpowiednią cenę – rzekł Delp. Oczy mu poblakły.

– Właśnie za chwilę zapłacę kolejną ratę.

Musnął grzbiet ogonem, rozpostarł skrzydła i uderzył nimi, wznosząc się w powietrze. Tuzin uzbrojonych wojowników podążył za nim. Wzrok Rodonis również.

Tratwy Drakhonów leżały w ścisku pod popękkanymi murami Mannenachu; nie usunięto jeszcze śladów walki, bo żeglarzom spieszno było świętować ciężko wywalczone zwycięstwo. Tylko zawodowi żołnierze pozostali na straży, aczkolwiek nikogo nie trzeba było zawczasu ostrzegać przed atakiem. Jedna z przechwałek forkasztelu głosiła, że żeglarz Floty, pijany, z kobietą na kolanach pokona dowolnych trzech żołnierzy innej rasy, choćby nawet byli trzeźwi.

Lecąc ponad spokojnymi wodami pod wysokim, bezchmurnym niebem Delp rozważał znaczenie takich przechwałek dla morale Floty w konfrontacji z surową rzeczywistością, że Lannachowie walczyli jak szatany. Drakhonowie zwyciężyli, jeszcze tym razem...

Nieopodal płynęła grupa szybkich łodzi, a na jednym maszcie przybranym girlandami powiewała bandera admirała. Na usilną prośbę Delpa Theonax przybył sam, zamiast wołać go do siebie, co mogło oznaczać, że chce pogrzebać stare waśnie. Rodonis nie chciała powiedzieć mężowi, co zaszło między nią a Theonaxem,

a Delp jej nie zmuszał; było jednak oczywiste, że musiała jakoś wymusić ułaskawienie od następcy tronu. Jednak znacznie bardziej prawdopodobne było, że nowy admirał przybył, by mieć baczenie na tego niepewnego kapitana, który wszystko zepsuł, pogardliwie powierzone mu zadanie utrzymywania garnizonu w mieście obracając w wielkie zwycięstwo. Zdarzało się czasami, że połowy dowódca cieszący się takim szacunkiem rozwijał sztandar rebelii i sięgał po godność admirała.

Delp, który nie żywił poważania dla Theonaxa, ale szanował jego urząd, czuł się dotknięty takimi posądzeniami. Wylądował, jak mu kazano, na przeciwwadze łodzi i czekał, aż na pokładzie zabrzmie Róg Powitania. Trwało to dłużej niż było trzeba. Hamując gniew Delp sfrunął na pokład łodzi i padł na twarz.

– Powstań – rzekł Theonax obojętnym tonem. – Gratulacje z powodu zwycięstwa. Chciałeś ze mną rozmawiać? – ledwo powstrzymywał ziewanie. – Możesz teraz.

Delp popatrzył na zgromadzonych wokół oficerów, wojowników i żeglarzy. – Jeśli admirał pozwoli, chciałbym mówić z nim na osobności, tylko z udziałem najbardziej zaufanych oficerów. – powiedział.

– Ach tak? Uważasz, że to co masz do powiedzenia jest takie ważne? – Theonax trącił młodego oficera stojącego obok i mrugnął porozumiewawczo.

Delp rozpostarł skrzydła, przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i skinął głową. Trzymał głowę tak sztywno, aż bolało.

– Tak, panie, tak sędzę – wydobył z siebie.

– Dobrze – Theonax niespiesznie ruszył w stronę kajuty.

Była ona dość obszerna by pomieścić cztery osoby, lecz do wnętrza weszli tylko oni dwaj oraz ów młody faworyt dworski, który ułożył się na podłodze i znudzony zamknął oczy. – Czy

admirał nie chce obecności doradców? – zapytał Delp.

Theonax uśmiechnął się. – A ty sam, kapitanie, czyż nie masz zamiaru udzielać mi rad?

Delp w myśli policzył do dwudziestu, rozwarł zaciśnięte szczęki i przemówił. – Jak sobie admirał życzy. Myślałem o naszej ogólnej strategii i ta bitwa mnie trochę przeraziła...

– Nie wiedziałem, że ciebie może coś przerazić.

– Admirale, ja... nieważne! Zważ, panie, że wróg był bardzo bliski pokonania nas. Zdobyli miasto. Przechwyciliśmy ich broń, która jest tak dobra, jak nasza, lub nawet lepsza, a w tym kilka urządzeń, o których nigdy nie słyszałem... i ile tego było, zważywszy jak mało mieli czasu, by to wszystko wykonać. Poza tym ta ich parszywa taktyka, walka na ziemi... nie jako działanie chwilowe na przykład w czasie zdobywania tratwy, ale stanowiąca główny składnik działań!

– Jednym powodem, dla którego przegrali – mówił dalej – była niedostateczna koordynacja między siłami na ziemi i w powietrzu, a także niedostateczna elastyczność. Powinni być przygotowani na momentalne odrzucenie tarcz i przejście do walki w powietrzu w zorganizowanych eskadrach. I uważam, że usuną ten błąd, jeśli damy im szansę.

Theonax przeciągnął paznokciami po sierści na ramieniu i przyjrzał się im krytycznie. – Nie lubię defetyzmu – powiedział.

– Admirale, staram się unikać niedoceniań ich. To jasne, że swe nowe pomysły otrzymali od Ziemiaków. Co jeszcze mogą od nich otrzymać?

– Hmm. Tak. – Theonax uniósł głowę. Na chwilę w jego oczach pojawiła się niepewność. – To prawda. Co proponujesz?

– Są teraz w rozsypce – mówił Delp z rosnącym entuzjazmem.
– Jestem pewien, że niepowodzenie wpłynęło na nich

demoralizująco. I oczywiście utracili cały ten ich ciężki sprzęt. Jeśli uderzymy mocno, może już być po wojnie. Musimy przede wszystkim zadać ciężkie straty ich całej armii. Będą wtedy musieli ustąpić i oddać nam ten kraj, lub wyginą całkowicie jak owady, gdy nadejdzie ich czas narodzin.

– Tak – Theonax uśmiechnął się z zadowoleniem. – Jak owady. Jak brudne, parszywe owady. Nie pozwolimy im odlecieć, kapitanie.

– Zasługują, aby dać im szansę – zaprotestował Delp.

– To sprawa wyższej polityki, kapitanie, i ja będę o tym decydował.

– Wybacz... panie – powiedział Delp. – Czy admirał – dodał po chwili – ma zamiar oddać znaczną część naszych wojsk pod komendę... jakiegoś odpowiedzialnego oficera z rozkazem wytopienia Lannachów?

– Nawet nie wiesz, gdzie się teraz znajdują?

– Mogą być gdziekolwiek na wzgórzach, panie. Oczywiście, mamy jeńców, których można zmusić, by wskazali nam drogę i udzielili informacji. Wywiad twierdzi, że kwatera główna Lannachów jest w miejscu zwanym Salmenbrok. Ale, oczywiście mogli też zniknąć gdziekolwiek, dosłownie zapaść się pod ziemię.

– Delp zadygotał. Jego świat składał się z pojedynczych wysp i płaskiego horyzontu na morzu; zbocza gór napawały go przerażeniem. – Teren dostarcza mnóstwa okazji do ukrycia. Ta kampania nie będzie łatwa.

– Jak proponujesz ją przeprowadzić? – zapytał Theonax gderliwie. Nie lubił, żeby przy okazji obchodów zwycięstwa i sutej uczyty przypominać mu, że przed nim jest jeszcze wiele ofiar, które miał ponieść w tej wojnie.

– Trzeba zmusić ich do wystąpienia w otwartej bitwie, panie.

Chciałbym zabrać nasze główne siły oraz kilku miejscowych przewodników, których zmuszę do udzielenia nam pomocy i ruszyć od miasta do miasta tam na górze, systematycznie równając z ziemią cokolwiek napotkamy, paląc lasy i zabijając zwierzynę. Nie dać im szansy do polowań z nagonką, z których czerpią pożywienie dla kobiet i dzieci. Prędzej czy później, raczej prędzej będą musieli zebrać wszystkie siły i wyjść nam naprzeciw. Wtedy ich pokonam. – Rozumiem – skinął głową Theonax. – A jeśli oni ciebie pokonają? – dodał z uśmiechem.

– Niemożliwe.

– Napisane jest: Gwiazda Przewodnia świeci nie tylko jednemu narodowi wybranemu.

– Admirał wie, że wojna zawsze niesie jakieś ryzyko. Lecz jestem przekonany, że mój plan jest mniej niebezpieczny niż oczekiwanie tu w dole, aż Ziemianie wymyślą jakieś nowe diabelstwo.

Palec Theonaxa dźgnął Delpa. – Aha! Zapomniałeś, że wkrótce skończy się im żywność? Możemy ich nie brać pod uwagę.

– Zastanawiam się...

– Cisza! – piskliwie krzyknął Theonax.

– Nie zapominaj – dodał po chwili – że te twoje olbrzymie siły ekspedycyjne pozostawią Flotę bez odpowiedniej obrony. A bez Floty, bez tratw, jesteśmy skończeni.

– Och, panie, nie obawiaj się ataku... – zaczął Delp z ożywieniem.

– Obawiać się?! – nadał się Theonax. – Kapitanie, sugestia, że admirał nie jest... w pełni kompetentny jest zdradą stanu.

– Nie miałem na myśli...

– Nie będę wyciągał z tego konsekwencji – rzekł gładko Theonax. – Jednakże albo upokorzysz się całkowicie, błagając

o przebaczenie, albo precz stąd.

Delp uniósł się. Wargi jego rozchyliły się ukazując kły; instynkt rasowy wywodzący się od drapieżnych przodków pociągał go do rozerwania gardzieli przeciwnika. Theonax skulił się, gotów wrzeszczeć o pomoc.

Bardzo powoli Delp opanował się. Już, już kierował się do wyjścia. Zatrzymał się, ściskając pięści, a błony jego skrzydeł nabiegły krwią.

– No więc? – uśmiechnął się Theonax.

Jak zepsuty mechanizm Delp padł na brzuch. – Ponizam się – wymamrotał. – Zjadam twoje odchody. Oświadczam, że moi ojcowie byli niewolnikami twoich. Jak ryba w sieci błagam, dysząc, o przebaczenie.

Theonax rozkoszował się każdym słowem. Dodatkowej przyjemności dostarczała mu świadomość, że Delp tak sprytnie dał się złapać w pułapkę między swą dumę i chęć służenia Flocie.

– Bardzo dobrze, kapitanie – rzekł admirał, gdy ceremonia dokonała się. – Bądź wdzięczny, że nie żądałem poniżenia wobec wszystkich. Teraz chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia. Zdaje się, że mówiłeś coś o zabezpieczeniu tratw.

– Tak... tak, panie. Mówiłem, że... tratwy nie potrzebują obawiać się wroga.

– Naprawdę? Rzeczywiście leżą na szerokim morzu, ale nie tak daleko, by nie można było do nich dolecieć w ciągu paru godzin. Co powstrzyma armię Stada przed zgromadzeniem się w górach, o czym nie będziesz wiedział, i zaatakowaniem tratw nim zdołasz nadejść nam z pomocą?

– Jakże bym tego pragnął, panie – Delp odzyskał nieco entuzjazmu. – Niestety ich dowódcy nie są tacy głupi. Od kiedy... to znaczy, nigdy jeszcze w historii wojen morskich siły

powietrzne nie były, w stanie pokonać floty bez wsparcia z wody. Co najwyżej, przy olbrzymich stratach mogą zająć jedną czy dwie tratwy... na pewien czas, jak w tym nalocie, podczas którego uprowadzili Ziemiaków. Inne okręty podejda i odpędzą ich. Widzisz, panie, lotnicy nie mogą korzystać z machin wojennych, katapult, miotaczy płomieni i tak dalej, które same w sobie potrafią zniszczyć siły morskie. A jednocześnie załogi tratw mogą stać pod osłoną i strzelać do góry rażąc lotników do woli.

– Tak jest – przytaknął Theonax. – Wszystko to jest tak oczywiste, że powtarzanie tego byłoby dla mnie stratą czasu. Rozumiem jednak, że twoim zdaniem niewielka grupa strażników wystarczy, by powstrzymać każdy atak Lannachów.

– I, jeśli będziemy mieli szczęście, zwiążemy wroga walką na morzu dopóki ja nie nadleczę z głównymi siłami. Lecz, jak powiedziałem, panie, na pewno są dość inteligentni, by tego nie próbować.

– Stawiasz zbyt śmiałe założenia, kapitanie – mruknął Theonax. – Zakładasz nie tylko, że puszcze cię w ogóle w góry, ale również, że dam ci dowództwo.

Delp schylił głowę i opuścił skrzydła. – Wybacz, panie.

– Myślę... tak, uważam, że najlepiej będzie, jak zostaniesz tu, w Mannenachu ze swoją flotyllą.

– Jak admirał sobie życzy. Zechcesz, panie, jednak rozważyć mój plan?

– Niech cię Akhan pożre – warknął Theonax. – Dobrze wiesz, że nie mam cię za co kochać, ale twój plan jest dobry, a ty sam go najlepiej przeprowadzisz. Mianuję cię dowódcą sił ekspedycyjnych.

Delp stał jak rażony piorunem.

– Wynoś się – powiedział Theonax. – Oficjalną naradę

odbędziemy potem.

– Dziękuję memu panu, admirałowi...

– Odejdź, powiedziałem!

Gdy Delp odszedł, Theonax zwrócił się do swego faworyta. – Nie bądź taki zatroskany – powiedział. – Wiem, o czym myślisz. Ten żołnierz wygra swą kampanię i stanie się jeszcze popularniejszy, a gdzieś po drodze wpadnie mu do głowy pomysł, by sięgnąć po tron Admirala.

– Zastanawiałem się tylko, jak mój pan chce temu zapobiec – rzekł dworak.

– To proste – uśmiechnął się Theonax. – Znam takie charaktery. Dopóki wojna trwa, nie ma niebezpieczeństwa buntu z jego strony. Niech więc pokona Lannachów, jak tego chce. Uda się w pogoń za niedobitkami, by dokończyć dzieła. W tej pogoni – jakaś zabłąkana strzała – takie rzeczy się niestety zdarzają... Tak.



Gęsta atmosfera Diomedesa unosiła cząstki pyłu – jądra kondensacji wody do warstw wyższych, a tym samym chłodniejszych. Stąd też Diomedes miał więcej chmur i wszelkiego rodzaju opadów niż Ziemia. Gdy niebo było przejrzyste i tak było widać mniej gwiazd; w nocie mgliste nic w ogóle nie było widać.

Mgła pełzła przez kamieniste doliny, a wysokie słońce Pełni Lata przeszło w chłodny półmrok. Gromady Lannachów zalegające wokół Salmenbroku szemrały z głodu i braku nadziei: oto samo słońce odwróciło się od nich.

Nie płonęły żadne ogniska – spalono już całe drewno w okolicy. Całe śródziemnie ogołocoło ze zwierzyny, niedojrzałych zbóż, nawet robaków i owadów, pożartych przez hordy wojowników. Teraz, w tej strasznej ciemności ociekającej wilgocią istniał tylko wiatr i żwawe wody biegnące spod lodowców... oraz góra Oborch głosząca swe ponure przepowiednie z głębi ziemi.

Trolwen i Tolk zostawili za sobą rozpacz przywódców klanów i poszli wąskimi ścieżkami zasnutymi mgłą, skąd wysokie wąskie domy wyglądały jak nierealne, ku młynowi, w którym pracowali

Ziemianie.

Tylko tu, jak się zdawało, życie trwało nadal – ogień płonął, woda ze zbiornika płynęła korytami poruszając kołami porzuconymi przez wiatr; pod migotliwym światłem kaganków widać było ruch – terkot tokarek i uderzenia młotów. W nadludzki sposób Nicholas van Rijn stłumił jakoś gorzkie protesty gromady Angreka i fabryka pracowała dalej. I po co? pomyślał Trolwen, a jego myśli były szare jak mgła.

Van Rijn powitał ich osobiście u drzwi, skrzyżowawszy na piersi potężne ramiona. – Jak się macie, przyjaciele? – zapytał. – Tu wszystko idzie sprawnie, wkrótce artyleria będzie gotowa.

– I na co się ona przyda? – rzekł Trolwen. O tak, mamy dość sprzętu by Salmenbrok uczynić niezdobytym. Co oznacza, że możemy się tu okopać i bronić przed wrogiem póki nie pomrzemy z głodu.

– Nie mów mi o głodzie – van Rijn zanurzył rękę w sakwie, wydobył kawał suchego sera i obejrzał go ze smutkiem. – I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno był to soczysty i smakowity ser szwajcarski. Teraz nie dałbym go nawet szczurom. – Wepchnął ser do ust i zaczął żuć. – Moje problemy z zapchaniem brzucha są poważniejsze niż wasze. Po pierwsze, wysoka temperatura wrzenia wody sprawia, że kuchnia na tej planecie jest podła; kucharze nie mają pojęcia o regulacji temperatury. Po drugie, czy wasi tragarze nieśli mnie tu przez całą wyboistą drogę z Mannenachu, bym miał teraz umrzeć z głodu?

– Nie – powiedział Tolk. – On i jego przyjaciele dokładali wszelkich starań, Dowódco Stada.

– Wybacz mi – rzekł Trolwen. – To tylko... przyszły wieści, że Drakhonowie właśnie zniszczyli Eiseldrae.

– To opuszczone miasto, nie?

– Święte miasto. A oni dookoła niego podpalili lasy. – Trolwen sprężył się. – Tak nie może dalej być! Niedługo, nawet jeśli zwyciężymy, ta kraina będzie tak spustoszona, że nas nie utrzyma.

– Myślę, że wciąż jeszcze parę lasów możecie poświęcić powiedział van Rijn. – Nie jest to zbyt przeludniony kraj.

– Słuchaj no – powiedział Trolwen szorstko – dotąd spokojnie znosiłem twoje postępowanie. Zgadzam się, że w zasadzie masz słuszość: występując całą naszą potęgą w decydującej bitwie ze zmasowanymi siłami wroga ryzykujemy ostateczną klęskę. Ale siedzieć tutaj bezczynnie wyjąwszy kilka partyzanckich wypadów na wysunięte placówki wroga w czasie, gdy on unicestwia cały nasz naród – to pewna droga do zagłady.

– Trzeba było czasu – rzekł van Rijn. – Czasu na zmodyfikowanie dodatkowego sprzętu polowego, aby uzupełnić to, co straciliśmy w Mannenachu.

– Po co? Ten sprzęt nie jest przenośny bez pociągów. A co gorsza, ten sukinsyn Delp zniszczył tory!

– O tak, sprzęt jest przenośny. Mój młody przyjaciel Eryk trochę go przerobił. Wszystko się rozkłada i przy pomocy kobiet i dzieci, gdy wszyscy będą nosić po kawałku lub po dwa, uda się przetransportować solidną baterię broni, *verrek!*

– Wiem o tym. Wyjaśniałeś to już przedtem. Lecz wciąż powtarzam: przeciw komu jej użyjemy? Jeśli ustawimy ją w jakimś określonym miejscu, Drakhonom starczy unikać tego miejsca. A my nie możemy pozostać długo w jednym miejscu, bo nasze gromady objedzą je do gołej ziemi. – Trolwen nabrał oddechu.

– Nie przybyłem tu, aby się spierać, Ziemiannie. Przybyłem z posłaniem Wielkiej Rady Lannachu by ci powiedzieć, że

żywność w Salmenbroku jest na wyczerpaniu, podobnie jak cierpliwość wojska. Musimy stanąć do walki!

– Staniemy – rzekł van Rijn z niezmaconym spokojem. – Chodźcie, porozmawiam z tymi nadętymi członkami Rady.

Wetknął głowę przez drzwi. – Eryku, chłopcze – powiedział – najlepiej będzie, jeśli zaczniesz pakować to, co mamy. Niedługo trzeba będzie to przenosić.

– Zrozumiałem – rzekł młody człowiek.

– Dobrze. Ty tu pracuj, ja zaś zajmę się politykowaniem by wszystko dobrze poszło, nie? – Van Rijn zatarł owłosione dłonie, rozpromienił się i odszedł powłócząc nogami z Trolwenem i Tolkiem.

Wace patrzył za nim, nawet gdy już zniknął w ścianie mgły. – Tak – powiedział. – Tak jest zawsze. My robimy, a on gada. Niech żyje równość!

– Co masz na myśli? – Sandra uniosła głowę znad stołu, przy którym siedziała znacząc pędzelkiem części uzbrojenia. Obok niej pracowało kilkanaście kobiet Lannachów.

– To co mówię. Zastanawiam się czemu jeszcze mu tego w twarz nie powiedziałem. Nie boję się tego tłustego pasożyta i nie potrzebuję już jego zasranej pensji. – Eryk machnął ręką ku młynowi i pracowitej krzątaniu panującej wokół niego. – Zrób to, mówi, zrób tamto i znowu idzie na spacer. Gdy pomyślę, jak obżera się jedzeniem, które tobie, pani, jest potrzebne do przeżycia...

– Nie pojmujesz? – Sandra popatrzyła nań przeciągle. – Nie, sądzę, że byłeś może tu zbyt zajęty przez cały czas, by to przemyśleć na spokojnie. A przedtem powierzano ci drobne zadania i nie poznałeś sztuki rządzenia, prawda?

– Co masz na myśli? – powtórzył po niej jak echo. Spojrzał na

nią wyblakłymi oczami zasnutymi mgłą zmęczenia.

– Może później. Teraz musimy się śpieszyć. Wkrótce wyjdziemy z miasta i wszystko musi być gotowe do drogi.

Tym razem znalazła sobie zajęcie na te dziesięć czy piętnaście dni ziemskich, które minęły od bitwy o Mannenach. Van Rijn żądał by wszystko – dodatkowy sprzęt wojenny, którego szczęśliwie poprzednio do walki nie zabrali z braku miejsca – był przystosowany do transportu powietrznego. Wymagało to pewnych modyfikacji, tak aby większe elementy z drewna można było podzielić na mniejsze i potem składać je, kiedy trzeba. Wace to osiągnął. Jednak w miejscu przeznaczenia powstałby jeden wielki chaos, gdyby nie było, możliwości identyfikacji każdej części. Sandra opracowała oznaczenia i nanosiła je pędzelkiem.

Ani ona, ani Eryk Wace nie mieli czasu na dłuższy sen. Nawet nie byli w stanie zastanowić się głębiej, na co zda się ich trud.

– Stary Nick mówił coś o zaatakowaniu samej Floty – mruknął Eryk. – Czyżby postradał zmysły? Czy mamy lądować na wodzie i tam montować katapuły?

– Być może – odrzekła Sandra. Jej głos był pogodny. – Nie martwię się już tym tak bardzo. Wkrótce wszystko się rozstrzygnie; mamy bowiem żywności na cztery ziemskie tygodnie, lub nawet mniej.

– Możemy przeżyć przynajmniej dwa miesiące w ogóle nic nie jedząc – powiedział.

– Lecz osłabniemy. – Opuściła wzrok. – Eryku...

– Tak? – Odszedł od napędzanej wiatrakiem piły tarczowej z obsydianowymi zębami i pochylił się nad Sandrą. Słabe światło kaganka odbijało się w kroplach rosy zebranych w jej włosach i lśniących teraz jak klejnoty.

– Wkrótce... i tak mój wkład w pracę nie będzie już miał znaczenia... praca będzie ciężka, wymagająca siły i umiejętności, których nie mam... może walka, w której byłabym tylko jeszcze jedną łuczniczką, i to niezbyt sprawną. – Paznokcie jej pobieleły gdy zacisnęła dłoń na pędzlu. – Więc gdy przyjdzie pora, nie będę już więcej jadła. Ty i Nicholas możecie moją żywność podzielić między siebie.

– Nie bądź głupia – rzekł ochryple.

Wyprostowała się i odwróciła, obrzucając go ostrym spojrzeniem. Jej blade policzki poczerwieniały. – To ty nie bądź głupi, Eryku Wace – warknęła. – Jeśli będę mogła zapewnić tobie i jemu dodatkowy tydzień pracy w pełni sił – aby głód nie mącił wam myśli – wtedy uratuję, być może, i siebie. A jeśli nie, to stracę tylko jeden czy dwa tygodnie bez znaczenia. Teraz wracaj do maszyny!

Patrzył na nią przez chwilę, a serce dudniło mu w piersi. Potem skinął głową i powrócił do pracy.

A van Rijn nieprzerwanie przeklinając przedzierał się ścieżkami w dół, ku otwartemu miejscu pokrytemu ostrą trawą, gdzie na brzegu skały zebrała się Rada.

Starszyzna Lannachów zasiadła jak gromada sfinksów na tle szarego nieba bez wyrazu i oczekiwała van Rijna. Trolwen stanął na czele dwuszeregu Lannachów, Tolk zaś pozostał przy Ziemiannie.

– Zebraliśmy się w imię Najmądrzejszego – rzekł ceremonialnie wódz. – Niech słońce i księżyc oświecą nasze umysły. Niech duchy naszych pramatek udzielą nam swoich rad. Obym nie okrył hańbą tych, co żyli przede mną, ani tych, którzy po mnie nadejdą. – Rozluźnił się nieco. – Więc, moi oficerowie, zostało postanowione, że nie możemy tu pozostać.

Przyprowadziłem tu Ziemianina, by nam doradził. Czy zechcecie wyjaśnić mu, jaka jest alternatywa?

Jeden z Lannachów, wychudły starzec o gniewnych oczach wyprężył skrzydła. – Po pierwsze, Dowódco Stada, dlaczego on tu w ogóle jest? – parsknął ze złością.

– Na zaproszenie Dowódcy – gładko wyjaśnił Tolk.

– Miałem na myśli... Heroldzie, nie łap mnie za słowa. Wiesz, co miałem na myśli. Wyprawa na Marjnenach została przedsięwzięta za jego namową. Przyniosła nam największą klęskę w naszych dziejach. Od tego czasu wymaga, aby nasze główne siły pozostawały tu beczynnym podczas gdy wróg pustoszy bezbronny kraj. Nie widzę powodu byśmy mieli słuchać jego rad.

W oczach Trolwena tała się troska. – Czy są jeszcze jakieś sprzeciwy? – zapytał bardzo cicho.

Szmer wzburzenia poniósł się wzdłuż szeregów. – Tak... tak... niech odpowie, jeśli potrafi.

Van Rijn spurpurowiał i zaczął nadymać się jak żaba.

– Ziemianin został wyzwany w obecności Rady – rzekł Trolwen. – Czy zechce odpowiedzieć?

Usiadł w oczekiwaniu, podobnie jak inni.

Van Rijn eksplodował.

– Piekło i szatani! Do czterech milionów robaków smażących się w piekle! Jak długo jeszcze mam znosić wybryki tępych niewdzięczników? O Ty, który jesteś Tam w Górze, iloma biurokratami i przemądrzałymi oficerkami zbecześciłeś ten Wszechświat? – Potrząsnął pięściami ku niebu i ryczał dalej. – Na szatana i ogień piekielny! To jest nie do zniesienia! Jeśli macie zamiar popełnić zbiorowe samobójstwo, po co biedny stary van Rijn ma was przed tym ciągle powstrzymywać? *Honderdduizend*

bommen en granaten, albo przestaniecie mnie obrażać, albo wbiję was sobie samym do gardeł! – Ruszył ku nim jak krocząca góra rycząc przez cały czas. Najbliżsi członkowie Rady odsunęli się pośpiesznie.

– Ziemianinie... oficerze... panie... proszę cię! – szepnął Trolwen.

Kiedy van Rijn dość już dał Radzie do wiwatu, ton jego wypowiedzi złagodniał. – Dobrze. Dobrze, *verroest*. Ja wam daję dobre rady, a wy psujecie wszystko i jeszcze obarczacie mnie za to winą. Lecz ja, biedny i cierpliwy starzec, nie taki, jakim byłem za młodu, nie, ja znoszę to wszystko z chrześcijańską pokorą i dalej daję wam dobre rady.

– Ostrzegałem was – mówił dalej – i ostrzegałem, nie atakujcie najpierw Mannenachu; ostrzegałem, raz jeszcze mówię. Mówiłem, że tam tratwy podejną pod same mury, a tratwy stanowią o mocy Floty. Oto upadłem na te moje biedne kolana, zebrząc o łaskę i błagając was, aby najpierw zdobywać główne miasta na wyżynach, ale nie, wy nie chcieliście mnie słuchać. A mimo to i tak zdobyliśmy Mannenach, ale zwycięstwo zostało zaprzepaszczone. Och, gdybym tak miał anielskie skrzydła, sam bym was poprowadził! Obwieszczałbym teraz zwycięstwo pianiem na maszcie tratwy admirałkiej, klnę się na mitrę świętego Mikołaja! I dlatego odtąd będziecie słuchać moich rad; nie, do cholery, moich rozkazów! Żadnych sprzeciwów z waszej strony, albo umyвам ręce i sam dostanę się do domu. Od tej chwili, jeżeli chcecie pozostać przy życiu, gdy van Rijn powie „żabki!” macie skakać! Zrozumiano?

Zatrzymał się. Słyszał swój astmatyczny oddech... oraz szmer niezadowolenia dochodzący z obozu... plusk wody o skały obcego świata... nic więcej.

W końcu głos zabrał Trolwen. – Jeśli... – rzekł słabym głosem – jeśli uznajemy, że Ziemianin udzielił odpowiedzi na wyzwanie, możemy przejść do rzeczy.

Nikt się nie odezwał.

– Czy Ziemianin zechce zabrać głos? – zapytał w końcu Tolk. On jeden zachował zimną krew z krytycznym zadowoleniem obserwując znakomity popis aktorski.

– Ja. Mówię wam, sam wiem, że nie możemy tu zostać. Pytacie, czemu trzymam wojsko na uwięzi i pozwalam Delpowi robić, co mu się podoba. – Van Rijn począł odliczać na palcach. – Po pierwsze, bezpośredni atak byłby mu na rękę; najprawdopodobniej by nas pokonał, bowiem jego wojska są większe i nie tak wygłodzone oraz zniechęcone. Po drugie, nie podejście pod Salmenbrok póki tu jesteśmy, bo tu moglibyśmy go pobić. Pozostając na miejscu, wojsko dało mi możliwość dokończenia przeróbki artylerii. Po trzecie, mam nadzieję, że przez tę zwłokę, w czasie której pracował młyn, zyskałem szansę zwycięstwa.

– Co?! – okrzyk wyrwał się z gardeł członków Rady, którzy zapomnieli o ceremoniale.

– Aha! – van Rijn dotknął palcem swego imponującego nosa i mrugnął. – Zobaczmy. Może teraz myślicie, że nawet jeśli jestem zgrzybiałym, żalonym, zmęczonym starcem, który winien dogorywać w łóżku ze szklanką gorącego grogu i cygarem w rękę, to i tak kupiec z Ligi – Polezotechnicznej to nie byle co. Tak? Dobrze więc. Proponuję, abyśmy odeszli – stąd i skierowali się na północ.

Podniósł się straszliwy rwetes. Van Rijn czekał cierpliwie, aż ucichnie.

– Spokój! – krzyknął Trolwen. – Cisza! – Uderzył ogonem

o ziemię. – Spokój, oficerowie! Ziemianinie, mówiliśmy już o tym, by zupełnie porzucić Lannach, zresztą coraz częściej, w miarę jak duch w narodzie podupada. Wciąż jeszcze moglibyśmy dotrzeć do Błot Kilnu na czas... by uratować większość naszych kobiet i dzieci w Porze Narodzin. Ale oznacza to porzucenie naszych miast, pól i lasów, wszystkiego co mamy, wszystkiego co nasi przodkowie zdobyli ciężką pracą przez setki lat. Oznacza to również powtórne zdziczenie, życie w ciemnej dżungli nawiedzanej chorobami, bycie niczym... Wolałbym raczej zginąć w bitwie niż wybrać takie życie.

Nabrał powietrza w płuca. – Ale Kilnu jest przynajmniej na południu! – rzucił. – Na północ od Achanu jest lód!

– O to chodzi – powiedział van Rijn.

– Czy mamy umrzeć z głodu lub zimna na lodowcach Dawrnachu? Bliżej niż tam nie możemy wylądować, bo zwiadowcy Floty dostrzegą nas w każdym miejscu Holmenachu. Chyba, że mamy stanąć do naszej ostatniej bitwy w archipelagu?

– Nie – powiedział van Rijn. – Trzeba przekraść się do tego Dawrnachu. Weźmiemy drugie śniadanie... to znaczy żywność gdzieś na dziesięć dni, paliwo i broń.

– No tak... ale nawet... Czy proponujesz byśmy zaatakowali samą Flotę, tratwy, z północy? Byłby to atak z zaskakującego kierunku. Ale równie beznadziejny.

– Zaskoczenie jest potrzebne do mojego planu – rzekł van Rijn. – Ja. Nie można nic powiedzieć żołnierzom. Niech choć jednego schwytają w jakiejś potyczce i zmuszą do powiedzenia wszystkiego. Nawet szkoda, że wam powiedziałem.

– Dosyć! – rzekł Trolwen. – Jaki jest ten plan?

– To się nie uda – oświadczył później. – Może nawet technicznie jest to wykonalne. Ale politycznie to niemożliwe.

– Znowu polityka! – zajęczał van Rijn. – O co chodzi tym razem?

– Wojownicy... tak, i również kobiety, nawet dzieci, ponieważ cały naród musi udać się do Dawrnachu; trzeba im powiedzieć, po co tam lecimy. A wszak cały plan, jak sam mówisz, nie zda się na nic jeśli choć jedna osoba wpadnie w ręce wroga i na torturach powie wszystko co wie.

– Ale nie musi nic wiedzieć – powiedział van Rijn. – Jedyne, co trzeba wyjawić to to, że mają nazbierać trochę żywności i drewna by ze sobą zabrać. I także, że potem przeniesiemy wszystko w jakieś inne miejsce, choć nie powiemy dokąd i dlaczego.

– Nie jesteśmy Drakhonami – rzekł gniewnie Trolwen. – Jesteśmy wolnym ludem. Nie mam prawa podejmować tak, ważnych decyzji bez poddania ich pod głos ludu.

– Hm, może mógłbyś z nimi porozmawiać? – van Rijn targał wąsy. – Przemów do nich. Namów ich, by zrezygnowali ze swego prawa do wiadomości i decyzji. Namów ich, by poszli za tobą nie stawiając pytań.

– Nie – powiedział Tolk. – Ja jestem specjalistą w sztuce perswazji, Ziemianinie, i znam granice tej sztuki. Mamy teraz do czynienia, już nie ze Stadem, ale raczej z tłumem – zziębniętym, głodnym, bez cienia nadziei, bez wiary w dowództwo, gotowym oddać wszystko, lub rzucić się do ślepej walki. Brak im hartu ducha by pójść za kimkolwiek na wyprawę w nieznane.

– Hartu ducha można dodać – rzekł van Rijn. Spróbuję.

– Ty?!

– Nie jestem najgorszy w przemówieniach, kiedy trzeba. Zwrócę się do nich.

– Oni... oni... – Tolk patrzył nań, niedowierzając. Potem zaśmiał

się, a w śmiechu tym zazgrzytała ironia. – Niech i tak będzie, Dowódcu Stada. Posłuchajmy, jakie słowa znajdzie Ziemianin, słowa lepsze, niż nasze. A godzinę później siedział na urwisku widząc przed sobą lud Lannachu jako masę cienia, i słyszał bas van Rijna przebijający się jak grzmot przez mgłę.

– Mówię przeto: zważcie co macie, a co mogą wam zabrać...

*... O! ten tron królów,
ta koronna wyspa,
Ziemi majestat i siedziba Marsa,
Ten wtóry Eden, pół rajy, warownia,
Którą natura sobie samej wzniosła
Przeciw zarazie i wojny napadom
Ten szczęśny naród...*

– Nic z tego nie rozumiem – szepnął Tolk.

– Uspokój się! – odrzekł mu Trolwen. – Daj mi słuchać. – W jego oczach pojawiły się łzy; drżał cały.

Ten błogi ogród, to berło, ten Lannach... * [*Nicholas van Rijn rozpoczął swe przemówienie fragmentem „Ryszarda II” Williama Shakespeare (tu: przekład Stanisława Koźmiana) który odpowiednio zaadaptował (... ten Lannach”) – przyp. tłum.]

Żołnierze załopotali skrzydłami, a z ich piersi wydarł się okrzyk. Van Rijn pociągnął swą orację poprzez odpowiednio zaadaptowane fragmenty mowy pogrzebowej Peryklesa, „Scots Wha Hae”* [*tytuł wiersza Roberta Burnsa.] i przemówienie Lincolna w Gettysburgu. Gdy dobiegł do końca, mógłby zostać naczelnym wodzem Lannachów, gdyby zechciał.



Wyspa zwana Dawrnach leżała daleko poza archipelagiem, kilkaset kilometrów na północ od Lannachu. Mimo szybkości lotu Stada, przeplatanego tylko krótkimi przystankami na skalistych wysepkach, droga do miejsca przeznaczenia zabrała dobrych kilka dni ziemskich i stanowiła koszmar dla ludzi niesionych w sieciach transportowych. Eryk wspominał później podróż jak przez mgłę...

Gdy stanął na brzegu wyspy, która była ich celem, ledwie trzymał się na nogach, a koniec podróży przyniósł mu niewielką ulgę. Pełnia lata nadeszła już i tu, niezbyt daleko na północ; a mimo to powietrze było mroźne, i jak mówił Tolk, nikt nigdy nie próbował się tu osiedlić. Wyspy Holmenach zmieniały kierunek zimnego prądu z Oceanu ku północy, ku morzu Gór Lodowych; owe lodowate wody opływały Dawrnach.

I oto Stado, skrzydła za skrzydłami opadające z nieba skrywającego za nimi swą mętną szarość, dotarło do celu podróży; do omywanych ciężkimi i ciemnymi przypływami czarnych piasków pnących się w górę poprzez wieczne lody ku płonącej gardzieli wulkanu. Cienkie, proste drzewa trafiały się tu i tam na niższej części stoku, między kępami zarośli

wstrząsanymi erupcją kilka ptaków morskich nurkowało poza krami lodu zgromadzonymi przy brzegu; słońce skryte za chmurami rzucało blask koloru zakrzepłej krwi na ziemię poza tym zupełnie jałową.

Sandra zadygotała. Wace uświadomił sobie z przerażeniem, jak bardzo wychudła. A teraz gdy już tu dotarli, w ostatniej fazie wysiłku, a może i życia postanowiła nie jeść nic więcej.

Owinęła się ciasniej cuchnącą kurtką ze sztywnego płótna. Wiatr pochwycił jej potargane włosy i rozrzucił w powietrzu, na tle skał wulkanicznych. Wokół niej dziesięć tysięcy gniewnych smoków przycupnęło na ziemi, chodziło, kręciło się i trzepotało skrzydłami; świst i chrapanie nieludzkiej mowy, grzmot łopotania błoniastymi skrzydłami zagłuszały pusty jęk wiatru. Gdy Sandra potarła oczy wzruszającym gestem małego dziecka, Eryk Wace spostrzegł, że jej ongiś piękne ręce krwawiły w miejscu otarcia o siatkę; zauważył również, że dygotała ze znużenia.

Poczuł jak serce mu zadrżało i ruszył w jej kierunku. Lecz pierwszy znalazł się tam Nicholas van Rijn, tłusty i brudny, wydając okrzyki pocieszenia. – No, verdraaid, dotarliśmy tu i niedługo zabiorę was do domu do wanny z gorącą wodą! Na świętego Dyzmę, już teraz czuć was z wiatrem na trzy kilometry!

Księżna Sandra Tamarin, dziedziczka tronu Wielkiego Księstwa planety Hermes uśmiechnęła się do niego blado. – Chciałabym tylko trochę odpocząć... – wyszeptała.

– Ja, ja, robi się. – Van Rijn wetknął dwa palce do ust i wydał ogłuszający gwizd. Przyciągnął on uwagę Trolwena.

– Hej, ty tam! Znajdź jej jaskinię, czy coś, i umieść ją tam.

– Ja? – Trolwen ledwie powstrzymał gniew. – Ja mam całe stado na głowie!

– Czy nie słyszałeś, co powiedziałem, tumanie? – van Rijn odkuśtykał w stronę Eryka, którego unieruchomił przed sobą. – Teraz ty. Gotów jesteś do pracy? Zbierz załogę, tylu ilu trzeba na początek.

– Ja... – Wace usiłował się odsunąć. – Niech pan posłucha, od ostatniego odpoczynku minęło nie wiem ile czasu i...

Van Rijn wybuchnął. – A ile tygodni minęło od czasu, gdy miałem w ustach cygareto lub choćby małą szklaneczkę dżinu? O innych to się nie troszczysz, co? – Skierował swój haczykowany nos ku niebu. – Czy ja muszę wszystko robić? – zaryczał. – O Ty, Tam w Górze, po co wypełniłeś Galaktykę nierobami i wałkoniami?! To jest nie do zniesienia!

– No... – Eryk ujrzał, jak Trolwen odprowadza Sandrę do miejsca, gdzie będzie mogła się przespać zapomniawszy choć na tych kilka nędznych godzin o zimnie, bólu i samotności. Zaciśnięte dłonie w pięści. – Dobrze! A pan – co pan będzie robił?

– Ja muszę zająć się organizacją, verdorie. Najpierw Trolwen musi wydzielić grupę, która zajmie się ścinaniem drzew i robieniem masztów, rei i wiosł. W międzyczasie płótno, które zabraliśmy ze sobą trzeba jakoś przemienić w żagle; pozostaje jeszcze olinowanie, budowa pomieszczeń do jedzenia i spania... Phi! to tylko szczegóły. Nie powinienem się tym zajmować. Do szczegółów zatrudniam ludzi, takich jak ty.

– Czy w życiu jest coś więcej, niż szczegóły? – rzucił Eryk.

Małe szare oczka van Rijna przyglądały mu się przez chwilę uważnie. – Więc tak – zadudnił kupiec – ty też zaczynasz odszczekiwać? Myślisz może, że skoro jestem stary i słaby i nie tak odporny na trudności jak wtedy, gdy byłem młody... to tylko żeruję na twojej pracy, nie? Teraz jest za mało czasu by wlać ci trochę oleju do głowy. Może sam się nauczysz życia. – Strzelił

palcami. – Jazda do roboty!

Wace odszedł, przeklinając siebie, że nie rąbnął starego wieprza w żołądek. Ale i na to przyjdzie jeszcze czas... Nie teraz; niestety van Rijnowi udało się jakoś wmanewrować w taką pozycję, w której on był autorytetem dla Lannachów, zamiast Eryka, który za niego tyrał. Czyżby mania prześladowcza? Nie!

Weźmy na przykład sprawę okrętów. Van Rijn wykazał, że wyspa taka jak Dawrnach, pełna gór lodowych u wybrzeży i lodowców na powierzchni stanowiła niewyczerpane źródło budulca. Przy pomocy kamiennych dłut można było w ciągu paru godzin uformować okręt lodowy tak wielki jak każda z tratw Drakhonów. Do wygładzenia powierzchni może posłużyć najprymitywniejszy palnik składający się z lampki olejowej z miechem. W otworach do tego celu wykonanych można umieścić prosty maszt i drążek sterowy wykorzystując jako spoiwo zamarzającą wodę. Gdyby do pracy wzięła się większość Stada – mężczyźni, kobiety, starzy, młodzi, w ciągu tygodnia udałoby się stworzyć flotyllę równie liczną jak cała Flota Drakhonów.

O ile jednak inżynier zaprojektuje całą technologię. Jak głęboki ma być otwór do zamocowania masztu? Czy balast jest potrzebny? W jaki sposób wykonać proste cięcie w nieregularnym bloku lodu długości setek metrów? Jak wygładzić spód, by zmniejszyć tarcie? Materiał budowlany był łatwo topliwy; można go było znacznie wzmocnić rozprowadzając na ukończonym kadłubie kilka wiader mieszaniny trocin i morskiej wody, która zamarzając utworzy coś w rodzaju pancerza. Jednak w jakim stosunku zmieszać trociny z wodą?

Nie było czasu na przeprowadzenie właściwych prób. W jakiś

sposób, z pomocą boską i przypadku, mając przeciw sobie wszystkie żywioły Eryk Wace miał dostarczyć oczekiwanych wyników.

A van Rijn? Co wniósł van Rijn? Tylko ogólny pomysł, niedbale rzucony, jak gdyby Wace był dżinem Aladyna, mogącym spełniać wszystkie życzenia. Och, były to na pewno przebłyski intuicji pełnej wyobraźni, nie da się zaprzeczyć. Lecz wyobraźnia wiele nie kosztuje.

Każdy może powiedzieć: „Trzeba nam nowej broni, którą można wykonać z takich to a takich poprzednio nie stosowanych surowców”. Lecz wszystko pozostanie tylko w sferze bezpłodnej wyobraźni, póki nie znajdzie się ktoś, kto potrafi wydedukować, jak wykonać potrzebną broń.

I ujarzmiwszy w ten sposób swego inżyniera van Rijn pomaszerał dalej, część Stada zjednując uprzejmością, innych zmuszając do pracy siłą. A kiedy już zapędził wszystkich do kieratu, sam wyciągnął się na kocu i poszedł spać!



Eryk Wace stał na pokładzie „okrętu” „Rijstaffel”* [*potrawa, rodzaj zapiekanki z ryżu (przyp. tłum.)] i obserwował, jak nieprzyjaciel wyłania się zza, horyzontu.

Sięgnął wolno do sakwy przytroczonej do pasa. Jego dłoń zacisnęła się na kawałku czerstwego chleba i porcji kiełbasy. Była to ostatnia porcja ziemskiej żywności, jaka mu pozostała; już od wielu dni zmniejszał sobie racje jedzenia by móc przystąpić do walki mając coś solidniejszego w żołądku.

Stwierdził, że wcale nie chce mu się jeść.

Lód pod stopami ziębił zaskakująco mało. Ciepłe powietrze nad morzem Achan rozwiewało zimno płynące od lodu. Eryk nie dziwił się zbytnio, że w ciągu tygodnia, przez który płynęli na południe lód stopniał tylko nieznacznie; znał wszak ciepłe właściwości wody.

Z tyłu za nim wydymały się wiatrem prymitywne kwadratowe żagle przywiązane do rei ze świeżego drewna umocowanych na przeciążonych jednoczęściowych masztach. Owe okręty z lodu miały kształty pękate”, lecz w sumie bardziej opływowe niż tratwy Drakhonów. A van Rijn wykorzystał swe niewiarygodne tyrańskie uzdolnienia by zmusić opornych Lannachów do pracy

pod lodowatą wodą w celu wygładzenia spodów. Teraz zaś, przy sprzyjającej bryzie diomedańskiej flota wojenna Lannachów płynęła, kołysząc się na falach Achanu, z szybkością dobrych pięciu węzłów.

Jednak najtrudniejszy moment, wspominał Wace, nastąpił nie wtedy, gdy wszyscy wypruwali z siebie żyły, by wykończyć okręty. Moment ten nadszedł później, gdy byli już prawie gotowi do drogi, a wiatry się odwróciły. Przez czas idący w ziemskie dni tysiące Lannachów kuliło się z rozpaczą w sercach pod marznącym deszczem, szukając ryb i gniazd ptaków by nakarmić dzieci płaczące z głodu. Członkowie Rady i przywódcy klanów dowodzili, że nie sposób prowadzić wojnę z losem; że nie ma innego wyjścia, jak ustąpić i poszukać schronienia w Bagnach Kilnu. Jakimś cudem, wygrażając, jęcząc, błagając, obiecując, a kilkakrotnie przekupując przy pomocy tego, co wygrał w kości, van Rijn zdołał zatrzymać ich na Dawrnachu.

Ale teraz mieli to już za sobą.

Kupiec wyszedł z małej kajuty zbudowanej z kamienia, przeszedł po pokładzie obsypanym żwirem, obok przycupniętych na nim machin wojennych oraz stosów pocisków, aż dotarł do dziobu, gdzie stał Wace.

– Lepiej teraz jedz – powiedział. – Niedługo nie będzie można.

– Nie jestem głodny – powiedział Eryk.

– Ach nie? – van Rijn wyrwał mu jedzenie z ręki. – No więc ja, do cholery, jestem! – Zaczął wpychać do ust chleb i kiełbasę.

Znowu miał na sobie podwójny pancerz, ale tym razem poprzestał tylko na jednym rodzaju broni: potężnym kamiennym toporze osadzonym na metrowej długości stylisku. Eryk Wace miał u boku mniejszy toporek, w ręku zaś trzymał tarczę. Wokół Ziemiań roilo się od uzbrojonych Lannachów.

– Już się, oczywiście, przygotowują na spotkanie z nami – powiedział Wace. Jego wzrok zatrzymał się na wąskich łodziach wroga wiosłujących pod wiatr.

– A co, spodziewałeś się czerwonego chodnika na powitanie? Założę się, że zobaczyli nas z powietrza już wiele godzin temu. Teraz pośpiesznie wysyłają posłańców do armii przebywającej wewnątrz Lannachu. – Van Rijn uniósł do góry ostatni kawałek mięsa, ucałował go ze czcią i zjadł.

Wace spojrzął za siebie. Ich jednostka była okrętem flagowym; postanowiono tak, gdy okazało się, że jest najszybsza. Zajmowała pozycję u szczytu ogromnego klina. Za nią płynęło kilkadziesiąt białoszarych niezdarnych okręcików z postrzępionymi żaglami. Było ich oczywiście mniej i miały gorsze uzbrojenie niż tratwy Drakhonów; pozostawała im tylko nadzieja, że przewaga wroga nie jest zbyt miażdżąca. Znacznie niższa wolna burta miała niewielkie znaczenie dla rasy skrzydlatych; jednak dużo ważniejszy był fakt, że Lannachowie nie byli tak doświadczonymi żeglarzami...

Byli jednak przynajmniej dzielnymi wojownikami. Jak tygrysy ze skrzydłami, pomyślał Wace. Podczas podróży na południe odpoczęli, a sieci ciągnięte za okrętami dostarczyły pożywienia i wola do walki rozpałała się na nowo. A także, choć flota Lannachów była mniejsza, wojowników na jej pokładach było chyba więcej, nawet po doliczeniu do przeciwników nieobecnej armii Delpa.

Mogli także pozwolić sobie na ryzyko. Ich kobiety i dzieci pozostały na Dawrnachu razem z Sandrą, bladą i milczącą... Lannachowie nie wieźli także mienia, o które musieliby się troszczyć. Cały ich bagaż stanowiły broń i nienawiść.

Herold Tolk spłynął w dół z chmary formacji powietrznych.

Zahamował na rozpostartych skrzydłach, podszedł do lądowania i przekrzywił szyję jak łabędź, by przypatrzeć się Ziemiom.

– Czy tu w dole wszystko idzie dobrze? – zapytał.

– O ile to możliwe – odrzekł van Rijn. – Czy nadal kierujemy się na tę zapchlona Flotę?

– Tak. Nie mamy do niej dalej, niż tylko parę buasków. Są niedaleko za waszym horyzontem; wkrótce ich ujrzycie. Starają się przy pomocy żagli i wiosł zejść z naszego szlaku, ale nie uda się im to jeśli wiatr się utrzyma, a łodzie nas zanadto nie opóźnią.

– Armii Delpa nie widać?

– Jeszcze nie. Myślę, że ten, jak mu tam... nowy admirał, o którym słyszeliśmy od jeńców... wysłał już posłańców w góry. Ale tam w górach jest wielki kraj. Zejdzie trochę czasu nim go znajdą. – Tolk parsknął z zawodową pogardą.

– Ja to bym utrzymywał stały kontakt przy pomocy dwutorowej linii Gwizdaczy.

– Mimo wszystko – rzekł van Rijn – trzeba się ich wkrótce spodziewać, a to oznacza, że piekło się rozpęta.

– Czy masz pewność, że możemy...

– Nie mam żadnej pewności. Wracaj teraz do Trolwena i obserwuj.

Tolk skinął głową i ponownie wzbił się w powietrze.

Ciemna, purpurowa woda zwijała się białymi grzywaczami pod wysokim niebem, gdzie chmury igrały jak wesołe pagórki zabarwione przez słońce na różowo. O kilka kilometrów stamtąd widać było wyraźnie małą wysepkę; przez lunetę Wace mógł policzyć kępki żółtych kwiatów chylące się pod wysokimi niebieskawymi drzewami. Nad jego głową nurkowała i ponownie wznosiła się w górę para młodych Gwizdaczy, tańcząc w powietrzu jak rozwinięte sztandary klanowe. Niełatwo

było uświadomić sobie, że płynące tak blisko wąskie łodzie wyrżnięte z lodu niosły na sobie ogień i ostre kamienie.

– No – powiedział van Rijn – oto zaczyna się nasz bal. Dobry święty Dyzmo, miej mnie w swej opiece.

– Chyba święty Jerzy byłby tu bardziej na miejscu, nie uważa pan? – zapytał Wace.

– Tobie może się tak zdaje. Ja jestem za stary i zbyt tchórzliwy by wzywać Michała, Jerzego, Olafa czy innych bardziej wojowniczych świętych. Lepiej się czuję w towarzystwie świętych nie tak cholernie energicznych; na przykład świętego Dyzmy, czy też mego imiennika, tak uczynnego dla podróżnych.

– Jest to również patron rozbójników grasujących na drogach – zauważył Eryk. Żałował, że język mu wysechł i stanął w ustach kołkiem. Czuł się jakby poza tym wszystkim... w zasadzie nie czuł strachu, ale kolana się pod nim ugiwały..

– Ha! – zadudnił van Rijn. – Dobry strzał, mój chłopcze!

Przednia balista na „Rijstaffelu” ze świstem i łoskotem umieściła półtonowy kamień w samym środku najbliższej łodzi. Łódź trzasnęła jak zapalka; załogę wyrzuciło do góry, a stamtąd spadł na nich oddział lotników Trolwena, nastąpiła chwila morderczego zamieszania i Drakhonowie przestali istnieć.

Van Rijn chwycił zdumionego dowódcę balisty i zatańczył z nim po pokładzie śpiewając na całe gardło:

Du bist mein Sonnenschein, mein einzig Sonnenschein, du machst mir frohlich...

Zbliżyła się inna łódź Drakhonów. Wace dojrzał, jak załoga miotacza płomieni schyliła się nad swą bronią i padł pod niską lodową burtę otaczającą pokład.

Strumień ognia dosięgnął burty, odbił się od niej i rozlał się po morzu. Nie mógł nic zdziałać przeciwko zamrożonej wodzie, nawet tak jej stopić, by miało to jakieś znaczenie. Z osłoniętego miejsca w połowie okrętu setka Lannachów wysłała w górę

deszcz strzał, który łukiem przebiegł przez niebo i opadł na łódź wroga.

Wace wyjrzał poza burtę. Pompierz miotacza był, jak się wydawało, martwy, wojownika trzymającego wylot obezwładniła strzała, która przebiła mu skrzydło... sternika też nie było i bom łodzi przelatował bezmyślnie łukiem z jednej strony na drugą, podczas gdy załoga kuliała się pod nim...

– Cała naprzód! – ryknął Eryk.– Taranować!

Okręt Lannachów zmiażdżył łódź swym ciężarem.

Łodzie Drakhonów krążyły niczym wataha wilków wokół stada bawołów, wykorzystując swą szybkość i łatwość manewru. Niektóre przedarły się między lodowe okręty by zaatakować od tyłu; inne odchodziły jeszcze dalej, poza końcami klina. Bitwa nie była całkiem jednostronna: strzały, pociski katapult, ręcznie miotane kamienie, wszystko to dokuczało Lannachom. Podobnie naczynia z płonącym olejem przerzucane ponad wodą eksplodowały na lodowych pokładach; tu i ówdzie płomień ogarnął żagiel.

Lecz skrzydlate istoty z łatwością potrafią stłumić ogień trawiący płótno. Przez cały ten okres potyczki tylko jeden okręt Lannachów stracił maszt całkowicie, a załoga porzuciła go po prostu dzieląc się „między inne jednostki. Poza masztem nic innego nie mogło zapłonąć, z wyjątkiem ciał żołnierzy, które są jednak najtańszym materiałem wojennym.

Kilka łodzi zebrało się przy jednym okręcie próbując abordażu. Ich załogi były jednak w znacznej mniejszości i drogo opłaciły tę próbę. Tymczasem siły Trolwena panując całkowicie w powietrzu nacierały, miotały pociski, zadawały ciosy.

Łodzie Drakhonów powstrzymały atak ledwie na moment. Wkrótce wszystkie zostały staranowane, podpalone, rozbite,

odepchnięte na bok przez niezatapialnego wroga.

Tylko dlatego, że był pierwszy, że prawie od razu przedarł się przez front, „Rijstaffel” napotkał na niewielki opór, rozbitą zresztą przy użyciu balist, katapult, naczyń z płonącym płynem i strzał, czyli artylerii dalekosiężnej. Za nimi płonęło i dymiło samo morze; przed nimi zaś leżały wielkie tratwy Drakhonów.

Gdy ich żagle i bandery znalazły się w polu widzenia, smocza załoga Eryka Wace zaintonowała zwycięską pieśń Stada.

– Trochę za wcześnie, jak mi się zdaje – Eryk starał się przekrzyczeć hałas.

– Ach – rzekł cicho van Rijn – niech się teraz nacieszą. Wielu z nich wkrótce padnie i trafi do rybek, nie?

– Chyba... – zaczął Eryk, lecz pośpiesznie zmienił temat, jak gdyby przestraszył się tego wszystkiego co uczynił tylko po to, by ratować własne życie. – Podoba mi się ta piosenka, a panu? Trochę przypomina stare amerykańskie piosenki ludowe, na przykład „John Harty”.

– Piosenki ludowe są ładne, ale jeżeli ktoś je lubi, to w głębi duszy jest wieśniakiem – parsknął van Rijn. – Co do mnie, wolę Mozarta.

Patrzył na wodę, a w jego głosie zabrzmiała osobliwa tęsknota. – Zawsze miałem nadzieję, że któregoś dnia, jeszcze nim umrę, uda mi się zrozumieć Bacha, starego Jana Sebastiana, który z Panem Bogiem rozmawiał językiem matematyki. Jednak mojej starej głupiej głowie brak oleju. Więc jeśli o coś miałbym prosić, to tylko o to, abym mógł raz jeszcze usłyszeć *Eine kleine Nachtmusik*.

Od strony Floty nadleciały okrzyki. Powoli i ociężale, młócąc wodę wiosłami cienkimi jak nogi pająka, tratwy formowały ugrupowanie bojowe, porzuciwszy próbę ucieczki.

Van Rijn gniewnie machnął na Gwizdacza. – Szybko! Leć do góry i powiedz temu cymbałowi Trolwenowi by nie zwracał sobie głowy ochronieniem nas przed łodziami. Niech zaatakuje tratwy. Niech się nimi zajmie! Nie wolno pozwolić posłańcom nieprzyjaciela na swobodne przeloty od jednego kapitana do drugiego, aby mogli się zorganizować!

Gdy młody Gwizdacz odleciał, kupiec targnął swą kozią bródkę już prawie całkowicie zagubioną w gęstwinie sztywnego od brudu zarostu. – Do jasnej cholery! – warknął. – Jak długo jeszcze ja sam mam myśleć za wszystkich! Dobry święty Mikołaju, patronie mój, ześlij mi z nieba oficera sztabowego, który ma między uszami mózg a nie rozpapraną owsiankę, a ja ci postawię katedrę na Marsie! Słyszysz mnie?

– Trolwen jest w samym środku bitwy tam na górze – zaprotestował Eryk. – Nie może myśleć o wszystkim.

– Może i nie – zgodził się burkliwie van Rijn. – Może ja jestem jedyny w Galaktyce, który nie popełnia błędów.

Gdy Trolwen zastosował się do jego rad, jakby sztorm runął na znajdujące się już przerażająco blisko zgrupowanie tratw. W szkarłatnym chaosie diabły o nietoperzowych skrzydłach czyhały nawzajem na swe życie. Eryk Wace pomyślał, że w tej śmiercionośnej gmatwaninie podejście jego okrętu musiało pozostać prawie niezauważone.

– Nie mogą zewrzeć szyków! – krzyknął, waląc pięściami o burzę. – Jak Boga kocham, nie mogą!

Na pokładzie wylądował Gwizdacz, plując krwią, a w jego boku ziała potężna rana. – Tam... Herold Tolk mówi... puste miejsce... wbić klin we Flotę... – szczupłe ciało wygięło się i opadło bezwładnie na pokład. Wace pochylił się, biorąc młodego Lannacha w ramiona. Usłyszał bulgot krwi w płucach

przebitych strzaskanymi żebrami.

– Matko, matko! – dyszał Gwizdacz. – Uderzył mnie toporem...
Matko, nie daj mi cierpieć!

Po chwili już nie żył.

Van Ryn wspomagając się przekleństwami miotanymi na załogę spowodował zmianę kursu, nie więcej niż o kilka stopni, bo jego okręt do większej zwrotności nie był zdolny; ale gdy nad lodowym pokładem zamajaczyły najbliższe tratwy widać było, że w ich linii ziała szeroka wyrwa. Atak Trolwena jak dotąd nie pozwolił na jej zamknięcie. Czerwona od krwi woda zasłana upuszczonymi włóczniami i łukami jak krwista strzała wskazywała kierunek do pływającego pałacu admirała.

– Do środka! – ryczał van Rijn. – Walić w nich! Zjedzcie ich na śniadanie!

Nad burtą przeleciał z furkotem pocisk wystrzelony z katapulty, rozerwał rękaw kupca i sypnął odłamkami lodu w miejscu, w które uderzył. Trzy strumienie płynnego ognia skupiły się na „Rijstaffelu”.

Ogniste palce popęzły po pokładzie sięgając jednego z Lannachów, który padł wrzeszcząc z ciałem zwęglonym w miejscu zetknięcia się z ogniem. Płomienie dotarły do żagli. Tym razem nie było sensu lać na nie wody; maszt, olinowanie i płótno, wszystko przesycone olejem zapłonęło jak olbrzymia pochodnia.

Van Rijn odwrócił się od sternika, którego obrzucał obelgami, i ruszył w poprzek pokładu, pośliznął się w miejscu, gdzie pokład stopił się częściowo pod ogniem, i jechał na szerokim zadku śląc najgorsze przekleństwa na cały Kosmos. Dokuśtykał do prawej wanty i począł przecinać linę kamiennym toporem. – Tutaj! – zaryczał. – Szybko! Pomóżcie mi, mięczaki! Szybko, czy mózg

wam obrósł sierścią? Szybko, zanim nie przepłyniemy obok!

Eryk Wace, który kierował obsługą balisty obrzucającej pociskami pobliską tratwę, mgliście tylko pojął intencje van Rijna. Inni zrozumieli go lepiej, podbiegli doń i natarli toporami na wantę. Sam kupiec pochwycił ze stosu jedną z bomb olejowych, zapalił ją i rzucił u stóp płonącego masztu.

Otwór, w którym maszt zamocowano, nadtopił się; a gdy przecięto prawe wanty ogromna pochodnia, która dotąd się na nich trzymała, padła na lewą stronę. Uderzyła w znajdującą się tam tratwę; płomienie rozbiegły się od niej we wszystkie strony odpędzając Drakhonów, którzy wściekle starali się zepchnąć płonący maszt z ich tratwy. Zapłonęło olinowanie, zatliły się deski. Nim „Rijstaffel” odpłynął dalej, cały wrogi okręt przemienił się w stos szalejącego ognia.

Lodowy okręt Lannachów utracił prawie zupełnie sterowność; rozpęd i przypadkowe prądy wiodły go w głąb znajdującej się już w nieładzie Floty. Lecz następne jednostki Lannachów przedostawały się już przez wyrwę tak bohatersko poszerzoną przez van Rijna. Między płynącymi monstrami szalały płomienie miotaczy ognia – paliło się jednak tylko drewno, a nie lód.

Poprzez zasłonę dymu, pośród strzał i pocisków padających nadal z góry, po pokładzie zasłanym zabitymi i rannymi, lecz wciąż jeszcze buchającym żądzą odwetu, Eryk Wace skierował się ku najbliższej obsłudze miotacza bomb. Załoga przygotowywała się do zapalenia kolejnej tratwy, jak tylko prąd miał ich do niej przybliżyć.

– Nie – powiedział.

– Co? – kapitan odwrócił ku niemu osmoloną twarz, a grzebień opadł na bok ze zmęczenia. – Ależ panie, wkrótce zaleją nas ogniem! – Wytrzymamy to – rzekł Wace. – Burty chronią nas

dobrze. Nie chcę spalić tej tratwy – chcę ją zdobyć!

Diomedańczyk cicho gwizdnął. Następnie rozpostarł skrzydła i oczy mu zabłyśły. – Czy mogę być pierwszym z atakujących? – zapytał.

Obok przeszedł van Rijn ciągnąc za sobą topór. Nie mógł słyszeć, o czym mówiono przed chwilą, lecz głos jego zadudnił w odpowiedzi. – Ja, miałem właśnie to zarządzić. Przyda się nam jednostka zdolna do manewrowania.

Rozkaz przekazano dalej po pokładzie, który wypełnił się kształtami uzbrojonych Lannachów skulonych w oczekiwaniu. Okręt, który nie był niczym innym tylko obrobioną krą lodową, niósł ich coraz bliżej ku wyższej i potężniejszej od niego tratwie. Ogień, kamienie i strzały padały na Lannachów, którzy wszystko znosili w zawziętym milczeniu. Eryk wysłał Gwizdacza w górę do Trolwena z prośbą o pomoc; powietrzny oddział strzałami uciszył artylerię Drakhonów.

Trolwen w dalszym ciągu posiadał miażdżącą przewagę liczebną. Był w stanie całkowicie nasycić niebo swoimi wojownikami spychając Drakhonów na pokłady, gdzie oczekiwali ataku z powietrza. Jak dotąd, pomyślał Wace, skąpe w łaski bóstwa Diomedesa uśmiechały się do niego. Nie mogło to jednak trwać wiecznie.

Eryk ruszył za pierwszą falą Lannachów, która opadła na tratwę z powietrza, by uchwycić na niej przyczółek. Skoczył w górę z powierzchni kry, gdy uderzyła w tratwę, pochwycił wielką belkę i wspiął się po burcie. Gdy dotarł do szczytu i odwiązał toporek oraz tarczę, okazało się, że stoi w szeregu atakujących wojowników. W oczy gryzł go dym dochodzący ze wszystkich kierunków; tylko bardzo niewyraźnie widział Drakhonów broniących się w szeregach przed nim i na wyższym

pokładzie. Szamotanina i wrzaski dochodzące z góry jakby się wzmogły. Eryk poczuł na ramieniu dotyk grubego palucha. Odwrócił się i ujrzał świńskie oczka van Rijna.

– Uff, cóż za wspinaczka! Szkoda, że nie zostałem, nie? No więc mój chłopcze, zostaliśmy sami. Tolk przesłał właśnie wiadomość, że Siły Ekspedycyjne Drakhonów w całości znajdują się na horyzoncie i co sił w skrzydłach grzeją w naszym kierunku.



Eryk przez chwilę poczuł się słabo. Czyżby wszystko miało się na tym skończyć – odłamkiem krzemienia w jego czaszce gdy armia Delpa pokona Lannachów?

Nagle przypomniał sobie, jak stał na zimnym, czarnym wybrzeżu Dawrnachu wkrótce przed odpłynięciem, i głośno zastanawiał się, czy nie rozmawia oto z Sandrą po raz ostatni. – Mnie będzie łatwiej, gdy zostaniemy pokonani – powiedział wtedy. – Dla mnie wszystko się skończy szybko. Ale ty...

Odpowiedziała mu dumnym spojrzeniem. – Czemu myślisz, że zostaniecie pokonani? – zapytała.

Uniósł broń. Smukłe, skrzydlate ciała wojowników zgromadzonych wokół niego zjeżyły się i z sykiem ruszyły naprzód. Wśród nich większość stanowili piechurzy z bitwy o Mannenach; zresztą na każdym okręcie znajdowało się wielu, których nauczono podstaw walki na lądzie. A podczas całej podróży na południe w poszukiwaniu Floty zarówno van Rijn jak i dowódca Lannachów szkolili ich: „Nie wolno wam dołączać do naszych sił powietrznych. Pozostańcie na pokładzie gdy będziemy zdobywać tratwę. Cały nasz plan zależy od tego, ile tratw uda się nam przechwycić lub zniszczyć. Trolwen i jego

eskadry powietrzne będą was osłaniać z góry.

Umysł diomedański z niechęcią przyjmował te koncepcje. Eryk Wace nie był pewien, czy utrzyma się ona choć przez godzinę i Lannachowie nie pozostawią jego i van Rijna odciętych na nieprzyjacielskim pokładzie, podczas gdy oni sami ruszą do bezsensownej bitwy w powietrzu. Nie było jednak innego wyjścia jak zaufać im teraz.

Rzucił się biegiem naprzód. Nieludzki wrzask, który wydarł się z piersi atakujących, rozdzierał mu w uszach bębunki. Przed nim załopotały skrzydła. Łamały się wiedzione instynktem szeregi nieprzyzwyczajonych do walki na lądzie Drakhonów. Przez całe wieki każdy Diomedańczyk przy zdrowych zmysłach zawsze starał się znaleźć ponad atakującym. Wace rzucił się w kierunku pozycji, które Drakhonowie zajmowali przed wzlotem w górę.

Uniósłszy się z całej tratwy żeglarze wroga rzucili się następnie lotem pikującym na tych dziwacznych nie latających przeciwników. Któryś z Lannachów zapomniał się, wzbił się w powietrze i natychmiast uderzyły go trzy ciała jak meteoryty; cisnęły go w morze, jak zepsutą marionetkę. Drakhonowie lecieli dalej w dół.

A tam napotkali las włóczni, który wyrósł ponad pokładem jak palisada. Niejeden wojownik z dawniejszej piechoty Lannachów zachował podczas ucieczki z Mannenachu swą wiklinową tarczę i ponownie przybrał żółwiowaty wygląd. Reszta odpierała powietrzny atak – a w tym czasie łucznicy gotowali się do akcji.

Eryk Wace usłyszał, jak unosi się złowrogi świst, a w chwilę potem pięćdziesięciu Drakhonów spadło do morza. W następnej chwili wyrósł przed nim jak smok jeden z Drakhonów, zamierzając się ostrym jak nóż trójzębem. Wace zasłonił się przed ciosem tarczą, która zadrżała na jego lewym ramieniu

paraliżując mięśnie. Kopniak wymierzony stopą w ciężkim bucie trafił w twardy brzuch Drakhona i pozbawił go tchu. Eryk uniósł toporek i z tępym odgłosem uderzył. Diomedańczyk umknął na bok chwytając się za złamane skrzydło.

Eryk ruszył dalej. Drakhonowie oszołomieni taktyką grupy abordażowej tłukli się w powietrzu poza zasięgiem strzał. Kobiety warczały złowrogo w drzwiach forkasztelu rozpościerając skrzydła, aby zasłonić dzieci. Nikt nie zwracał na nie uwagi – chodziło o pochwylenie artylerii tratwy.

Któryś z Drakhonów znajdujących się w powietrzu musiał przeczuć zamiary atakujących. Jego jastrzębi okrzyk i szarża w dół zakończyła się śmiercią od strzał Lannachów, lecz po chwili rząd Drakhonów oderwał się od całej masy znajdujących się w powietrzu, opadł na pokład dziobówki i zajął stanowiska przed główną baterią balist i miotaczy płomieni.

– Aha! – huknął van Rijn. – W końcu jednak chcą się trochę pobawić! No, zajmiemy się tym!

Ruszył słoniowatym truchtem wywijając nad głową młyńca olbrzymią maczugą. Pocisk wystrzelony z procy odbił się od jego brzucha chronionego pancerzem ze skóry, strzała musnęła policzek, pociski dmuchawek upstrzyły podwójny kirys. W górę podsadzili go dwaj skrzydlaci strażnicy, po gołej ścianie dziobówki bez żadnej drabiny. Po chwili był już wśród obrońców.

– *Je maintiendrai!* – zawył rozbijając głowę najbliższego Drakhona. – *God send the right!* – wrzasnął przydeptując drzewce trójzębu, którym próbowano go sięgnąć. – *Frant, fram, Kristmenn, Krossmenn, Konigsmenn!* – ryknął wybijając rytm walki na żebrach trzech wojowników, którzy się nawinęli. – Heineken's Bier! – zatrąbił odwracając się, by zająć się

skrzydlatym stworzeniem uczepionym jego pleców; w rezultacie skręcił mu kark.

Wace i Lannachowie podążyli za nim. Nastąpiła chwila przerwy w okrzykach bojowych wypełniona łoskotem uderzeń, pchnięć i łamiących kości ciosów zadawanych skrzydłami i ogonem. Obrona Drakhonów pękła. Van Rijn rzucił się ku miotaczowi i zaczął pompować. – Wycelujcie wylot! – dyszał. – Wymiećcie ich stąd ogniem, wy zakute łby! – Jeden z Lannachów, rozradowany, pochwycił ceramiczny wylot, nacisnął drewnianą dźwignię zapłonu i skierował strumień ognia ku górze.

Na niższym pokładzie rozległ się już łomot balist, śpiew katapult i świst kolejnych miotaczy ognia. Grupa Lannachów z okrętu lodowego zmontowała jeden z drewnianych karabinów maszynowych i obrzuciła gradem pocisków resztki kontrataku Drakhonów.

Z dziobówki wybiegła kobieta. – Zabijają naszych mężów! – krzyknęła. – Zniszczyć ich!

Van Rijn zeskoczył z trzymetrowej wysokości dachu dziobówki. W miejscu, na które opadł, deski załomotały i jęknęły. Ciężko dysząc i wymachując ramionami zastąpił drogę oszalałej istocie. – Wracaj! – ryknął w swym ojczystym języku. – Z powrotem do środka! A sio! Won! Zostawiasz dzieci bez opieki? Ja pożeram małe Drakhoniątka! Na śniadanie ze szczypiorkiem!

Kobieta jęknęła i wycofała się do dziobówki. Erykowi mowę odjęło ze zdumienia. Cały spływał potem. Niebezpieczeństwo nie było może takie poważne... teoretycznie tłum kobiet mógł zostać zmasakrowany na oczach ich dzieci... ale kto by coś takiego popełnił? Na pewno nie Eryk Wace. Lepiej ustąpić i po rycersku przyjąć cios włócznie.

Zdał sobie nagle sprawę, że tratwa jest zdobyta.

Powietrze było wciąż przesiąknięte dymem do tego stopnia, że nie widział dobrze, co się dzieje gdzie indziej. Tu i tam na chwilę pojawiały się jakieś obrazy: porzucona tratwa płonąca ogniem nie do ugaszenia; okręt lodowy, potrzaskany, bez masztu, omiatany strzałami, jednak nadal, choć słabo, odpowiadający ogniem; inny okręt Lannachów u burty tratwy i kolejna grupa abordażowa; bandera jednego z klanów Lannachów zwycięsko powiewająca na obcym „maszcie. Wace nie miał pojęcia, jak się przedstawiała ta bitwa morska jako całość – na ilu okrętach lodowych załogę wybito co do jednego, ile opuścili pokonani wojownicy, ile przejęło kontrnatarcie Drakhonów, a ile jeszcze dryfowało bezużytecznie z dala od wroga.

Wiadomo było od początku, pomyślał – van Rijn mówił o tym otwarciu do Troi wena i Rady – że mniejsza, gorzej wyposażona, prawie zupełnie nie wyszkolona flotylla Lannachów nie ma najmniejszej szansy zadania decydującego ciosu Flocie. Kluczowy moment tej bitwy nie zakładał wymiany ciosów kamieniami czy ognia z miotaczy.

Eryk spojrział w górę. Ponad omasztowaniem i takielunkiem, gdzie dym nie sięgał, niebo było zdumiewająco spokojne. Formacje bojowe kluczące tu i tam były tak wysoko, że z dołu wyglądały jak stada jaskółek.

Dopiero po kilku minutach jego niedoświadczone oko zdołało objąć cały obraz. Mając większość swych sił pomiędzy tratwami, armia Trolwena znalazła się w zdecydowanej mniejszości gdy nadciągnęły siły Delpa. Z drugiej strony żołnierze Delpa lecieli przez wiele godzin by dotrzeć na miejsce bitwy; każdy z osobna nie mógł stawić czoła wypoczętym Lannachom. Zdając sobie z tego sprawę, każdy z dowódców chciał wykorzystać swą szczególną przewagę; i oto Delp zarządził ciągłe masowe ataki,

zaś Trolwen używał niewielkich grup, które rzucały się błyskawicznie na wroga, szarpały go jak wilki i ponownie umykały. Lannachowie wycofywali się przez cały czas, chyba że Delp próbował wysłać większy oddział na pomoc tratwom. Wówczas wszystkie doskonale zintegrowane siły powietrzne Trolwena uderzały w ten oddział. Gdy Delp słał mu posiłki, rozpraszały się, osiągając jednak swój cel – rozbitcie oddziału i powściągnięcie jego natarcia w kierunku morza.

I trwało to tak przez czas, trudny do określenia, w podmuchach wiatru wiejącego pod słońcem Pełni Lata. Wace pogrążył się w kontemplacji straszliwego piękna uskrzydłonej i zdyscyplinowanej śmierci. Głos van Rijna przywrócił go, choć nie bez oporów, do grona nieszczęsnej, bezskrzydłej ludzkości.

– Obudź się! Może marzy ci się, że masz zęby wyszczerzone jak oni, i jak oni, kłapiesz skrzydłami? Piekło i szatani! Jeśli mamy utrzymać tę tratwę, trzeba zrobić z niej jakiś użytek, do cholery! Ty tu komenderuj artylerią, a ja pójdę wydać rozkazy sternikowi. No! – Odtoczył się gniewnie, swą masą, hałasem i okopceniem przypominając starożytną lokomotywę.

Wszystkie próby odbicia tratwy zostały odparte, aż wypędzona załoga gniewnie wzleciała w górę, by dołączyć do legionów Delpa. Zaś grupa van Rijna niezgrabnie mocując się z żaglami lub zapędzona, nie bez protestów, do wiosła, uruchomiła swój nowy okręt.

Tratwa posuwała się przed siebie po wodach zmaconych i zadymionych, aż zamajaczył przed nimi kontur innej jednostki. Wówczas padły salwy burtowe, runął deszcz strzał, zaś obie załogi zwarły się w walce powietrznej w połowie drogi między tratwami.

Wace trwał na swym stanowisku na pokładzie dziobowym,

kierując zmasowanym ogniem swych machin bojowych ciskających kamienie, strzały, bomby, strumienie ognia miotane na odległość kilku metrów, a po uderzeniu rozpryskujące wokół siebie drzazgi i zwęglone drewno. Raz zorganizował grupę strażacką z wiadrami do stłumienia ognia spowodowanego nieprzyjacielskim trafieniem. Innym razem zobaczył, jak dwutonowa skała zmiażdżyła jedną z jego nowych katapult wraz z załogą; tym, którzy pozostali nakazał zepchnąć dźwigniami kamień w morze i ponownie włączyć się do walki. Widział, jak darły się żagle, zwisały bezwładnie reje, stos ciał rósł na obu tratwach po każdej salwie. I cały czas zastanawiał się w jakimś ciemnym kącie umysłu, czemu życie nie ma więcej rozumu, gdziekolwiek w poznanym Wszechświecie, by wiecznie nie niszczyć się samo.

Van Rijn nie dysponował taką załogą, jak jakiś neolityczny admirał Nelson, by wygrać bitwę samą artylerią. Nie chciał również abordażować kolejnej tratwy; jego mały i niedoświadczony oddział ledwie potrafił obsadzić jedną i walczyć na niej. Jednak uparcie kierował się naprzód, nakazując sternikom trzymać kurs na zderzenie; sam jednocześnie zszedł między pokłady, by utrzymać wyczerpanych Lannachów przy ciężkich wiosłach. A tratwa parła przed siebie przez burzę ognia, kamieni, żywych ciał, aż znalazła się prawie u burty tratwy wroga.

Wówczas zabrzmiały trąbki Drakhonów, wiosła zagarnęły wodę i nieprzyjacielska tratwa opuściła swe miejsce w ugrupowaniu Floty, by uniknąć starcia.

Van Rijn pozwolił im uciec, a sam przepadł między masztami i kilometrami olinowania, które rozciągały się wokół niego. Przykuśtykał do najbliższego luku, przeszedł obok kajut

rufowych i znalazł się na głównym pokładzie. Zatarł ręce i zarechotał. – Aha! Przestraszyli się trochę, nie? Nieprędko podejda do naszych łodzi!

– Nie rozumiem, Doradco – rzekł Angrek z najwyższym szacunkiem. – Mieliśmy mniejszą i znacznie mniej doświadczoną załogę. Powinien pozostać na kursie lub nawet nas zaatakować. Mógłby nawet wybić nas co do nogi, gdybyśmy nie chcieli opuścić tratwy.

– Ach! – rzekł van Rijn. Pokiwał serdelkowatym palcem. – Widzisz, mój młody i niewinny przyjacielu, on ma ze sobą kobiety i dzieci, a także wiele cennych narzędzi i inne dobra. Jego całe życie związane jest z tratwą. Nie odważy się zaryzykować jej zniszczenia; łatwo by nam było ją podpalić ogniem nie do ugaszenia, nawet gdyby się nie udało jej zdobyć. Ha! Piekło prędzej pokryje się lodem, nim ktoś rozumem pokona van Rijna, *verrek!*

– Kobiety... – oczy Angreka przemknęły po dziobówce. Zalśnił w nich blask pożądania.

– W końcu – mruknął – to nie tak, jak z naszymi kobietami...

Około dwudziestu innych Lannachów już kierowało się w tym samym kierunku, niby bezwiednie, lecz skrzydła mieli naprężone a ogony im drżały. Ciekawe, że więcej wśród nich było świeżo powołanych żeglarzy niż innych wojowników.

Wace podbiegł do skraju dziobówki, schylił się nad nią i podniósł do ust dłonie zwinięte w trąbkę. – Proszę pana! – zawołał. – Proszę spojrzeć w górę!

– Ach tak – kupiec uniósł swe małe oczka, pod którymi pojawiły się worki ze zmęczenia. Mrugnął, kichnął i wytarł garbaty nos. Jeden za drugim, Lannachowie leżący na pociętych i pokrwawionych deskach unosili wzrok ku niebu. I ogarniało ich

milczeniu.

W górze walka zbliżała się do końca.

Delpowi udało się w końcu zebrać wojsko w jedną gromadę i sprowadzić je w całości na poziom morza. Tutaj ruszały do walki w obronie obleganych tratw – każdej po kolei. I w każdym przypadku grupa abordażowa Lannachów, która tak nagle znalazła się w przytłaczającej mniejszości, nie miała innego wyjścia jak umykać, porzucając nawet własny okręt lodowy i dołączyć do Trolwena w górze.

Drakhonowie dokonali tylko jednej próby odzyskania tratwy całkowicie opanowanej przez Lannachów. Kosztowało ich to drogo. Wciąż obowiązywała klasyczna zasada, że armia składająca się wyłącznie z lotnictwa jest stosunkowo mało groźna dla dobrze broniącej się jednostki floty.

Ustaliwszy w ten sposób ostatecznie, kto opanował które tratwy Delp przegrupował swe siły i znaczną ich część poprowadził ponownie do góry, by związać walką wzmocnione eskadry Trolwena. Gdyby udało się mu ich pozbyć, dysponując pozostałymi Drakhonom tratwami oraz całkowicie dominując w powietrzu mógłby odzyskać utracone jednostki pływające.

Jednak Trolwen nie dał się tak łatwo odeprzeć. I podczas gdy w dole szalała bitwa morska, w chmurach toczyły się pojedynki powietrzne. W obu przypadkach bez widocznej przewagi którejkolwiek ze stron.

Tak wyglądało ogólne tło wydarzeń w relacji Tolka, który złożył ją ludziom około godziny później. Z morza dostrzec można było tylko tyle, że obie powietrzne armie rozdzielały się. Lotnicy krążyli i wirowali oszalamiająco wysoko ponad głowami stojących na tratwach, jako dwie pomieszane masy czarnych punkcików na tle rudawych mas obłoków. Z jednej strony na

drugą padały groźby, przekleństwa oraz przechwałki – lecz już nie strzały.

– Co to jest? – krzyknął Angrek bez tchu. – Co się tam dzieje?

– Oczywiście, zawieszenie broni – rzekł van Rijn. Podłubał palcem w zębach, odchrząknął i błogo poklepał się po brzuchu. – Niczego nie mogli osiągnąć, więc w końcu Tolk wysłał do Delpa kogoś, kto powiedział: „pogadajmy” i Delp się zgodził.

– Ale... ale nie można – nie można układać się z Drakhonami! To nie... to potwory!

Mrożący krew w żyłach szmer nienawistnego poparcia przeleciał po szeregach zmęczonych Lannachów.

– Nie można rozmawiać z tak brudnymi i dzikimi zwierzętami! – dowodził Angrek. – Można je tylko pozabijać. Albo one nas zabijają.

Van Rijn spojrzał z ukosa na Eryka, który stał na pokładzie powyżej niego.

– Myślałem, że może teraz im powiemy – rzekł w ojczyściej mowie – że to zawieszenie broni było jedynym celem całej naszej walki, ale może jeszcze nie teraz, co?

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek odważymy się to przyznać – odrzekł Eryk Wace.

– Będziemy musieli, i to już dzisiaj. Pozostanie nam tylko nadzieja, że za to, co powiemy, nie nafaszerują nas żywcem czerwoną papryką. W końcu Trolwen i Rada się zgodzili. No, ale ci tutaj, to twarde orzechy do zgryzienia. – Van Rijn wzruszył ramionami. – Nadchodzi czas rozmów. Jak dotąd szło nam gładko. Ale oto chwila, która łamie ludzkie charaktery. Ha! Czy masz odwagę tę chwilę przeżyć?

. XIX .

Okolo jednej dziesiątej tratw wydostało się z ogólnego zamieszania i zgromadziło się w odległości kilku kilometrów. Dołączyły do nich te okręty lodowe, które były jeszcze sprawne. Ich pokłady roiły się od oczekujących w napięciu wojowników. Były to jednostki utrzymane przez Lannachów.

Inne tratwy płonęły jeszcze, lub zostały uszkodzone przez grad kamiennych pocisków, aż rozbiły je doszczętnie fale morza Achan. Były to wraki opuszczone przez wojowników obu stron. Między nimi pływało wiele łodzi, roztrzaskanych, przełamanych na pół, zniszczonych ogniem lub z martwą załogą.

Pozostałe jednostki zgromadziły się wokół pałacu admirała. Nie miały pełnej obsady i kompletnego wyposażenia; wszystkie załogi poniosły jakieś straty, a wiele okrętów tak zniszczono, że były prawie bezużyteczne. Gdyby Flocie udało się teraz wystawić do walki połowę jej zwykłych sił, byłoby to dla niej ogromne szczęście.

Tym niemniej byłoby to prawie trzy razy więcej okrętów niż wszystkie jednostki Lannachów. Liczba mężczyzn po obu stronach była mniej więcej równa, ale mając więcej miejsca w ładowniach Drakhonowie mieli również więcej amunicji.

Również każdy z ich okrętów z osobna był silniejszy; lepiej zbudowany niż okręt lodowy, z lepszą załogą niż zdobyta tratwa.

Mówiąc krótko, Drakhonowie nadal mieli przewagę.

Pomagając van Rijnowi wsiąść do zdobytej łodzi Tolk uśmiechnął się złośliwie. – Na twoim miejscu, Ziemianinie, nie zdejmowałbym tego pancerza – powiedział. – Gdy zawieszenie broni się skończy, trzeba cię będzie weń znowu ubierać.

– Ach... – kupiec wyciągnął się przeraźliwie, nadął brzuch i opadł na siedzenie. – Załóżmy jednak, że rozejm nie zostanie złamany. Wtedy wyjdzie na to, że musiałem nosić ten zapaskudzony gorset niepotrzebnie.

– Zauważyłem – dodał Wace – że ani pan, ani Trolwen nie macie zbroi.

Dowódca Lannachów nerwowo pogładził swą mahoniową sierść.

– To dla podkreślenia godności Stada – mruknął. – Te gnojki nie mają prawa pomyśleć, że się ich boję.

Łódź szybko odpłynęła siłą wiosel poruszanych mięśniami zgiętej nad nimi załogi. Szybko pomknęła po pomarszczonych i ciemnych wodach. Nad nimi krążyła i pikowała w dół reszta uzgodnionej z Drakhonami eskorty Lannachów dając najlepszy popis lotu defiladowego, na jaki było ich stać, głównie po to, aby popisać się przed wrogiem. W sumie wszystkich było około setki – żałośnie mało, jak na drogę do wnętrza rozszerzonej Floty.

– Nie sądzę, żeby porozumienie było możliwe – rzekł Trolwen. – Nikomu się to nie uda – oni rozumują zupełnie inaczej.

– Członkowie Floty to takie same istoty, jak wy – powiedział van Rijn. – Trzeba wam więcej braterskich uczuć, do cholery. Można dać im po łbie bez tych wszystkich przesądów rasowych.

– Tacy, jak my? – zjeżył się Trolwen. Oczy zabłyśły mu żółtym

blaskiem – Słuchaj no, Ziemianinie...

– Nieważne – rzekł van Rijn. – No więc oni nie mają okresu rui. No więc dla was to zasadnicza sprawa. No i dobrze. Muszę sam nad czymś się zastanowić. Siadaj i zamknij się.

Wiatr muskał fale i leniwie szarpał olinowanie. Poprzez sunące z wiatrem zwały chmur słońce słało długie miedziane promienie, które tańczyły ognistymi stopami po morzu. Powietrze było chłodne, wilgotne i pachniało solą. Niełatwo w taki czas umierać, pomyślał Eryk Wace. Najtrudniej jednak pozostawić Sandrę, która leżała, słabnąc coraz bardziej, pod lodowymi nawisami Dawrnachu. „Módl się za moją duszę, ukochana, póki czekasz, by podążyć za mną. Módl się za moją duszę”.

– Zostawiając na boku osobiste uczucia – rzekł Tolk – coś jest jednak w uwagach dowódcy. Chodzi o to, że lud, który żyje w sposób tak obcy dla nas, jak Drakhonowie, myśli równie obco. Nie zamierzam udawać, że rozumiem wszystkie twoje intencje, Ziemianinie; uważam ciebie za przyjaciela, ale przyznajmy: mamy niewiele wspólnego. Ufam tobie tylko dlatego, że dobrze rozumiem główny motyw twego postępowania – chęć utrzymania się przy życiu. Nawet jeśli nie całkiem pojmuję tok twego rozumowania, mogę bezpiecznie założyć, że powodowane jest ono dobrymi intencjami.

– Z kolei Drakhonowie – mówił dalej – jak można im ufać? Powiedzmy, że zostanie zawarty układ pokojowy. Skąd wiadomo, że go dotrzymają? Może nie mają w ogóle poczucia honoru, podobnie jak nie znają pojęcia przyzwoitości seksualnej? Lub też nawet jeśli zechcą dotrzymać przyrzeczeń, czy można mieć pewność, że słowa układu będą mieć dla nich to samo znaczenie, co dla nas? Jako Herold, znawca języków, spotkałem wiele

nieporozumień semantycznych między plemionami mówiącymi różnymi językami. A co dopiero tutaj, gdy dwa plemiona mają różne instynkty?

– Zastanawiam się też – kontynuował – czy możemy nawet ufać sobie samym, że dotrzymamy takiego zobowiązania? Nie żyjemy nienawiści do nikogo za to tylko, że z nami walczyli. Jednak nienawidzimy hańby, zboczenia, nieczystości. Jak będziemy mogli żyć ze świadomością, że zawarliśmy pokój z istotami, którymi nawet bogowie pogardzają?

Westchnął i popatrzył markotnie przed siebie, ku zbliżającym się tratwom. Wace wzruszył ramionami. – Czy przyszło ci do głowy, że oni myślą mniej więcej podobnie o was? – odparował.

– Oczywiście, że tak – rzekł Tolk. – To jeszcze jedna kłoda w poprzek drogi negocjacji.

Osobiście, pomyślał Eryk Wace, zadowolilibym się tymczasowym układem. Niech tylko załagodzą różnice zdań i poglądów na czas potrzebny by wiadomość dotarła do bazy. Potem niech sobie popodgryzają gardła, co mnie to obchodzi!

Popatrzył wokół siebie na smukłe skrzydlate kształty i zadumał się nad sensem pracy i wojny, zamętu i triumfu – i także chwilowego pojednania we wspólnym śmiechu i śpiewie. Myślał o dzielnym Trolwenie, mądrym Tolku, pełnym młodzieńczej werwy Angreku; zadumał się nad dzielnym i szlachetnym Delpem i jego żoną Rodonis, która bardziej była damą niż wiele znanych mu ziemskich kobiet. A te małe kosmate dzieci tarzające się w kurzu lub wspinające się na kolana...

Nie mam racji, pomyślał, konieczność ostatecznego zakończenia tej wojny ma dla mnie ogromne znaczenie. Łódź prześliznęła się między wysokimi burtami tratew. Z góry patrzyły na nich kamienne twarze Drakhonów. Tu i tam ktoś

splunął do wody, po której przepłynęli. Trwała niezmacona cisza.

Zamajaczył przed nimi niezgrabny kształt okrętu flagowego. Na maszty wciągnięto bandery, zaś oddział gwardii w jaskrawych admiralskich barwach utworzył pierścień wokół pokładu głównego. Admirał Theonax i jego rada oczekiwali przed wejściem do drewnianego pałacu, rozpierając się na futrach i poduszkach. Z boku stał kapitan Delp z kilkoma członkami swej gwardii przybocznej, wciąż jeszcze w przeupoconym i potarganym rynsztunku bojowym.

Na tratwie zalegała całkowita cisza, gdy łódź zatrzymała się i przycumowała do pachołka. Trolwen, Tolk i wojownicy Lannachu w większości przelecieli bezpośrednio na pokład. Dopiero po paru minutach popychania, zadyszki i przekleństw Ziemianie wgramolili się na olbrzymi kadłub.

Van Rijn potoczył wokół siebie wściekłym wzrokiem. – Cóż za gościnność! – parsknął w języku Drakhonów. – Ani najmniejszej linki nie spuszczo mi w dół – dla mnie, który przedwcześnie wpycha swe stare i zmęczone kości do grobu, a wszystko dla was! Klnę się wobec niebios – to ciężka dola! Ciężka dola! Czasem myślę sobie: zrezygnuję i odejdę na emeryturę. Co stanie się wtedy z galaktyką? Będziecie żałować, ale będzie już za późno.

Theonax rzucił mu ironiczne spojrzenie. – Wśród wielu gości Floty, nie wyróżniłeś się dobrym zachowaniem, Ziemianinie – odrzekł. – Mam wielki dług wobec ciebie. Nie zapomnę go spłacić.

Van Rijn ruszył sapiąc po deskach pokładu ku Delpowi, wyciągając ku niemu rękę. – Więc nasze rozpoznanie miało rację: to wszystko twoja robota – zadudnił. – Mogłem się tego domyślać. Nikt inny w całej Flocie nie ma więcej niż gram mózgu we łbie. Ja, Nicholas van Rijn składam ci wyrazy szacunku.

Theonax zeszywniał, a jego doradcy, wszyscy oblepieni szamerunkiem i szarfami posłusznie przyjęli postawę oburzenia wobec takiego lekceważenia okazanego admirałowi. Delp wahał się przez chwilę. Następnie ujął dłoń van Rijna i całkiem po ziemsku ją uściskał.

– Gwiazda Poranna mi świadkiem, że rad jestem, że znów widzę twe tłuste a sprytne oblicze – powiedział. – Czy wiesz, że twój postępek kosztował mnie... prawie wszystko. Gdyby nie moja żona...

– W interesach nie ma przyjaciół – oświadczył wesoło van Rijn.
– Ach tak, dobra pani Rodonis. Jak się miewa ona i jej dzieci? Czy pamiętają jeszcze wujka Nicka i bajeczki, które im opowiadał na dobranoc, jak na przykład o...

– Jeśli można prosić – rzekł Theonax z wyszukaną uprzejmością – przejdźmy, za pozwoleniem, do rzeczy. Kto będzie tłumaczył? Ach tak, pamiętam ciebie, Heroldzie. – Rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie. – Uważaj więc. Powiedz swojemu dowódcy, że zgodę na te pertraktacje wyraził mój głównodowodzący Delp hyr Orikan nawet nie wysławszy do mnie posłańca, by zapytać mnie o zdanie. Gdybym wiedział wcześniej, nie zgodziłbym się na to. Ani to roztropne, ani konieczne. Rozkażę wyszorować deski w tym miejscu, po którym stąpali barbarzyńcy. Ponieważ jednak Flota związana jest słowem honoru – macie chyba wyraz „honor” w waszym języku? – wysłucham, co ma do powiedzenia wasz przywódca.

Tolk skinął głową i przetłumaczył to na język Lannachów. Trolwen sprężył się, a oczy jego rzucały iskry. Strażnicy Lannachów gniewnie warknęli, a ich ręce zacisnęły się na broni, Delp ze skrzepowaniem przestąpił z nogi na nogę, zaś niektórzy kapitanowie Theonaxa odwrócili wzrok z zażenowaniem.

– Powiedz mu – rzekł po chwili Trolwen z surową dokładnością – że pozwolimy Flocie opuścić morze Achan, jeśli uczyni to natychmiast. Oczywiście, potrzebni będą zakładnicy.

Tolk przetłumaczył. Theonax wyszczerzył zęby i zaśmiał się. – Siedzą tam na paru żalonych tratwach i tak się ośmielają mówić? – Jego faworyci zachichotali jak echo.

Lecz jego doradcy, kapitanowie flotyli, utrzymali powagę. A Delp wystąpił naprzód i przemówił. – Admirał wie, że miałem swój udział w tej wojnie – powiedział. – Tymi rękami, skrzydłami, tym ogonem zabiłem wielu wojowników wroga; tymi zębami utoczyłem krwi nieprzyjaciół. Tym niemniej mówię teraz: przynajmniej ich wysłuchajmy.

– Co? – oczy Theonaxa zaokrągliły się ze zdumienia. – Mam nadzieję, że to tylko żart.

Van Rijn wytoczył się naprzód. – Nie mam czasu na przepychanki! – zahuczał. – Słuchaj mnie, a ja ci to wyłożę w najprostszych słowach, że nawet dwuletnie dziecko zrozumie i może wytłumaczyć ci to. Popatrz tam! – machnął ręką ku morzu. – Mamy tratwy. Może nie tak wiele, ale wystarczy. Albo się z nimi układacie, albo walczymy dalej. Niedługo to wy będziecie mieli za mało tratw. A tak! Wbij to sobie do swego łba i przemyśl!

Wace skinął głową. Dobrze. Bardzo dobrze. Tamta tratwa Drakhonów – czemu umknęła przed jego okrętem z załogą złożoną z samych szczurów lądowych? Drakhonowie mogli wymieniać strzały na dalszą odległość, lub staczać jednoosobowe pojedynki w powietrzu. Lecz woleli nie ryzykować wpuszczenia przeciwnika na pokład, zniszczenia tratwy, lub podpalenia jej przez szalone diabły z Lannachu.

Bowiem tratwa była domem, fortecą i miejscem do życia –

mieszkanie na tratwie było jedynym sposobem życia znanym kulturze Drakhonów. Jeśli wiele tratw ulegnie zniszczeniu, zmniejszy się zdolność łowienia i magazynowania ryb w celu utrzymania Floty przy życiu. To było takie proste.

– Zatopimy was! – wrzeszczał Theonax. Wstał z miejsca łopocząc skrzydłami; jego grzebień przekrzywił się, a ogon stał sztywno jak stalowy pręt. – Utopimy cały wasz pomiot!

– Może i tak – rzekł van Rijn. – Tego mamy się obawiać? Jeśli poddamy się teraz i tak jesteśmy zgubieni. Więc jak mamy iść do piekła, to zabierzemy jak najwięcej waszych, aby czyścili nam buty i podawali chłodne napoje, nie?

Wystąpił Delp, a w jego oczach malowała się troska. – Nie przypłynęliśmy na Achan z chęci zniszczenia; przywiódł nas tu głód. To wy nie daliście nam prawa łowienia ryb, które wam samym nigdy nie były potrzebne. Prawda, zajęliśmy także trochę waszych ziem; musimy jednak mieć dostęp do wody. W tym nie możemy ustąpić.

Van Rijn wzruszył ramionami. – Są inne morza. Może pozwolimy wam parę razy zarzucić sieci, zanim stąd odpłyniecie. Odezwał się jeden z kapitanów Floty. – Mój pan Delp poruszył sedno sprawy – powiedział powoli. – Może to droga do rozwiązania. W końcu morze Achan ma małe znaczenie, lub go w ogóle nie ma – dla was, Lannachów. Oczywiście będziemy musieli obsadzić wybrzeże i zająć pewne wyspy, które będą źródłem drewna, krzemienia i tak dalej. I, oczywiście będzie nam potrzebny własny port w zatoce Sagna, do celów ratunkowych i remontowych. Te zagadnienia dotyczą obrony i samowystarczalności, a nie bezpośrednio problemu przeżycia, jak dostęp do wody. Więc może...

– Nie! – krzyknął Theonax.

Właściwie lepiej byłoby powiedzieć: zawył. Wszyscy zamilkli, jak porażeni. Admirał dyszał przez chwilę skulony, by następnie zwrócić się do Tolka. – Powiedz swemu dowódcy... – wyrzucał z siebie słowa – że ja, jako najwyższa władza... odmawiam. Twierdzą, że potrafimy zgnieść wasze marne siły morskie przy niewielkich stratach własnych. Nie widzę powodu, by wam ustępować. Możemy wam pozwolić zatrzymać wyżyny Lannachu. To największe ustępstwo, na jakie możecie liczyć.

– Niemożliwe! – wybuchnął Herold. Natychmiast pośpiesznie przekazał tłumaczenie Trolwenowi, który wyprężył grzbiet i kłapnął zębami w powietrzu.

– Góry nas nie utrzymają – wyjaśnił Tolk nieco spokojniej. – Objedliśmy je już do gołej ziemi i to żadna tajemnica. Musimy mieć niziny. I na pewno nie zezwolimy wam na zatrzymanie ani piędzi ziemi, z której później moglibyście wyprowadzić na nas natarcie.

– Jeżeli wydaje się wam, że potraficie zmieść nas z powierzchni morza nie ponosząc katastrofalnych strat, możecie spróbować – dodał Eryk Wace.

– Oświadczam, że potrafimy! – wybuchnął Theonax. – I zrobimy to!

– Panie mój – Delp zawahał się. Na chwilę przymknął oczy.

– Admirale, panie mój – mówił całkowicie beznamiętnie – ostateczna bitwa oznaczałaby zapewne koniec naszego narodu. Ta niewielka liczba tratw, która by z niej ocalała, padłaby łupem pierwszej watahy barbarzyńców z wysp, która się trafi.

– A odejście na Ocean zgubi nas na pewno – rzekł Theonax dźgając palcem powietrze. – Chyba, że potrafisz wyprowadzić trzech i słodkie wodorosty z morza Achan na szersze wody.

– To prawda, mój panie – rzekł Delp.

Odwrócił się i spojrzał Trolwenowi w oczy. Obaj popatrzyli na siebie spokojnie i z szacunkiem.

– Heroldzie – rzekł Delp – powiedz tak swemu wodzowi: nie opuścimy morza Achan. – Nie możemy. Jeśli będziecie nadal tego żądać, będziemy walczyć mając nadzieję, że uda się zniszczyć was nie ponosząc nadmiernych strat. Nie mamy tu żadnego wyboru.

– Uważam jednak – mówił dalej – że możemy odstąpić od zamiaru okupacji zarówno Lannachu jak i Holmenachu. Możecie zatrzymać ład stały w całości. Będziemy wymieniać nasze ryby, sól, płody morza, wyroby rękodzieła na wasze mięso, kamień, drewno, sukno i olej. Z czasem zaczną się to obu stronom opłacać.

– A może – powiedział van Rijn – przypadkiem wpadnie wam i taka myśl do głowy: jeśli Drakhonowie nie będą mieli ład stałego, zaś Lannachowie okrętów, to będzie im trochę trudno walczyć ze sobą, *nie*? Po kilku latach takiego handlowania i wzajemnego bogacenia się staniecie się tak od siebie nawzajem zależni, że wojna będzie nie do pomyślenia. Więc jeśli teraz szybko wszystko uzgodnicie, wkrótce będzie po kłopotach – a potem przybędzie Nicholas van Rijn z towarami z Ziemi dla wszystkich. U mnie ceny są tak niskie, że będzie to jak podarek od świętego Mikołaja. Co?

– Uspokój się! – wrzasnął Theonax.

Schwycił za skrzydło dowódcę straży i pokazał na Delpa. – Aresztować tego zdrajcę!

– Panie mój... – Delp odsunął się do tyłu. Straż zawahała się. Wojownicy Delpa otoczyli kapitana przyjmując groźną postawę. Wśród słuchających na dolnym pokładzie rozległ się złowieszczy pomruk.

– Gwiazda Przewodnia mi świadkiem... – jękał się Delp – tylko proponowałem... admirał ma, oczywiście, ostatnie słowo...

– A to słowo brzmi „nie!” – oświadczył Theonax pomijając milczeniem sprawę aresztowania Delpa. – Jako Admirał i Wyrocznia, nie zgadzam się. Nie może być żadnej zgody między Flotą, a tymi... tymi nikczemnymi... brudnymi, plugawymi zwierzętami... – zapienił się ze wściekłości. Ponad głową uniósł ręce zakrzywione jak szpony.

W szeregach Drakhonów rozległ się szmer i pomruk. Kapitanowie nadal leżeli jak uskrzydłone lamparty, nadal zachowując godność, lecz w oczach ich pojawiła się zgroza. Lannachowie, którzy nie rozumieli słów, ale wyczuwali ton wypowiedzi, zbili się w gromadkę i mocniej ścisnęli uchwyty broni.

Tolk tłumaczył szybko, ściszone głosem. Gdy skończył. Trolwen westchnął.

– Z przykrością muszę to przyznać – powiedział – lecz jeśli dobrze zważyć słowa tego sukinsyna, są one prawdziwe. Czy można naprawdę poważnie myśleć, że dwie rasy tak odmienne jak nasze mogą żyć w pokoju obok siebie? Pokusa zerwania zobowiązań byłaby zbyt silna. Oni mogliby spustoszyć nasz kraj w czasie naszego odlotu na południe, ponownie zająć nasze miasta... my zaś moglibyśmy powrócić kiedyś na północ ze sprzymierzeńcami kupionymi wśród barbarzyńców obietnicą łupów zdobytych na Drakhonach. Za pięć lat, tak czy inaczej, znów będziemy skakać sobie do gardeł. Lepiej skończyć już teraz. Niech bogowie zadecydują, kto ma słuszość, a kto nie zasłużył na życie.

Jakby z uczuciem rezygnacji naprężył mięśnie, by rzucić się do walki, gdyby w tym momencie Theonax postanowił zerwać

rozejm.

Van Rijn uniósł ręce i przemówił. Jego głos zabrzmiał jak bicie wielkiego bębna o wymiarach co najmniej takich, jak tratwa-pałac admirała. A strzały już położone na cięciwach z powrotem powędrowały do kołczanów.

– Wstrzymajcie się! Zaczekajcie jedną cholerną chwilę, *verrek!* Jeszcze nie skończyłem mówić.

Skinął w stronę Delpa.

– Ty masz trochę oleju w głowie, o tak. Może znajdzie się jeszcze paru, co mają we łbie mózg, a nie łyżkę fusów ze spleśniałej herbaty, jaką sprzedaje moja konkurencja. Mam coś ważnego do powiedzenia. Będę mówił w języku Drakhonów, a ty tłumacz na bieżąco, Heroldzie. Tego jeszcze na tej planecie nikt nie powiedział. Mówię wam, że Drakhonowie i Lannachowie nie są sobie obcy! Należą do tej samej, identycznej, jednakowo głupiej rasy!

Erykowi zaparło dech w piersiach. – Co? – szepnął we własnym języku. – Ale cykl płodności...

– Zabić tego tłustego robaka! – krzyknął Theonax.

Van Rijn machnął nań niecierpliwie ręką. – Zamknij się, ty tam. Teraz ja mówię! No! Niech oba narody usiądą i posłuchają, co ma do powiedzenia Nicholas van Rijn!



Przebieg ewolucji inteligencji na Diomedesie jest wciąż jeszcze w sferze przypuszczeń; nie było, jak dotąd, czasu na poszukiwanie skamienielin. Jednak na podstawie aktualnie występującej sytuacji biologicznej oraz ogólnie obowiązujących praw można wydedukować przebieg wydarzeń w ciągu minionych tysięcy lat.

Dawno, dawno temu w strefie tropikalnej planety był sobie mały kontynent lub też duża wyspa, gęsto pokryta lasem. Obszary leżące w pobliżu równika nie znają długich dni i nocy spotykanych na dalszych szerokościach geograficznych; w czasie zrównania słońce biegnie po niebie przez sześć godzin i zachodzi na drugie sześć; w czasie przesilenia zapada zmrok, a słońce znajduje się ledwie ponad lub pod horyzontem. W przypadku Diomedesa są to idealne warunki do obfitego rozwoju życia. Wśród gatunków żyjących w tej minionej epoce znajdował się jeden: nadrzewny mięsożerca o małych i bystrych oczkach. Jak ziemski polatucha wykształcił sobie błony, na których przelatował z gałęzi na gałąź.

Jednak planeta o niskiej gęstości ma niestałą budowę. Kontynenty unoszą się z morza i zapadają z nieprzyzwoitą

szybkością w ciągu zaledwie setek lub tysięcy lat. Prądy oceaniczne i powietrzne ulegają odpowiednim przemieszczeniom; a ze względu na duże nachylenie osi planety i wielkie masy wody biorące w tym udział, prądy diomedańskie niosą znacznie więcej ciepła lub zimna niż prądy ziemskie. Stąd też nawet w okolicach równika zdarzały się gwałtowne zmiany klimatyczne.

Okres suszy przemienił dawne puszcze w mniejsze lasy rozrzucone tu i tam, i przedzielone wielkimi i suchymi stepami. Latająca pseudowiewiórka wykształciła sobie prawdziwe skrzydła by przelatywać z jednej kępy drzew do innej.

Będąc jednak stworzeniem łatwo adaptującym się, zaczęła również żerować na nowych trawożernych zwierzętach, które pojawiły się na równinach. Urosła, by poradzić sobie z wielkimi zwierzętami kopytnymi. Jednakże potrzebując więcej pożywienia dla większego ciała, została zmuszona do bytowania w wielu różnych środowiskach: na wybrzeżach, w górach, na błotach. Dzięki swej ruchliwości zachowała wszakże jednolitość rasy nie dzieląc się na kilka gatunków. Tym samym pojedynczy osobnik mógł stawiać czoła różnym typom środowiska, w czasie swego życia, co sprzyjało rozwojowi inteligencji.

Na tym etapie, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu gatunek ów, lub raczej jego część, ta część, która miała stać się znacząca, została zmuszona do opuszczenia ziemi, z której pochodziła. Prawdopodobnie w wyniku diastrofizmu pierwotny kontynent został rozbity na szereg małych wysepek, które nie były w stanie wyżywić tak wielkiej liczby zwierząt; a może to ziemia dalej wysychała. Jak by nie było, poszczególne rody i stada przesuwały się powoli, w ciągu setek pokoleń, na północ i południe.

Tam znalazły nowe ziemie, doskonałe warunki dla łowiectwa

– lecz także zimę, której nie potrafiły stawić czoła. Gdy nadchodziła długa noc, zmuszone były powracać do tropików, by tam czekać na wiosnę. Nie był to odruch wrodzony i automatyczny, jak u ziemskich ptaków przelotnych. Zwierzę to było już zbyt inteligentne, by powodować się wyłącznie instynktami; jego nawyki zostały wyuczone. Brutalny dobór naturalny dorocznych przelotów jeszcze bardziej sprzyjał rozwojowi inteligencji.

Oto jednak ceną inteligencji jest znaczne przedłużenie okresu dzieciństwa w stosunku do całej długości życia. Ponieważ wzór postępowania nie jest wbudowany w geny istoty myślącej, każde pokolenie musi uczyć się wszystkiego na nowo, co zabiera czas. Stąd też żaden gatunek nie zdobędzie inteligencji nim on sam, lub środowisko, w którym przebywa, nie wytworzy jakiegoś mechanizmu sprzyjającego wspólnemu przebywaniu obojga rodziców by mogli chronić młode w przedłużonym okresie niemowlęctwa i nieświadomego dzieciństwa. Miłość matczyna nie wystarczy: matka ma i tak za dużo zajęcia z pilnowaniem małych by nadmierną ciekawością nie wyrządziły sobie krzywdy, aby jeszcze zajmować się szukaniem pożywienia i ochroną. Musi pomagać ojciec. Lecz cóż zatrzyma ojca w rodzinie, gdy zaspokoi już swe potrzeby seksualne?

Może to być instynkt. Na przykład u niektórych ptaków oboje rodziców wychowują małe. Jednak złożony nakaz oparty na instynkcie jest nie do pogodzenia z inteligencją. Ojciec musi mieć odpowiedni egoistyczny powód do pozostania, skoro ma już tyle rozumu, że jest zdolny do egoizmu.

W przypadku człowieka sprawa jest prosta: nieprzerwany okres popędu płciowego. Nie ustaje on w żadnej porze roku. Stąd pochodzi rodzina, a zatem możliwość przedłużenia okresu

niedojrzałości, a zatem nasza kora mózgowa.

W przypadku Diomedańczyków była to migracja. Każde stado miało co roku do przebycia długą i niebezpieczną drogę. Najlepiej było podróżować w grupie, w jakiś sposób zorganizowanej. U końca podróży do tropików grupa rozpadała się na okres spółkowania, lecz wkrótce czekał ich nieunikniony powrót do domu, bowiem wyspy równikowe nie wyżywią wielu przybyszów przez dłuższy czas.

Z tego prymitywnego dorocznego gromadzenia się – bowiem nie było ono powodowane ślepym instynktem, lecz stanowiło owoc doświadczenia zdolnego zwierzęcia – wyrosły luźne stałe związki. Grupy obronne stały się grupami współpracującymi. Już teraz wymogi podróży sprawiły, że samiec i samica wyspecjalizowali swe ciała – jedno do walki, drugie zaś do noszenia ciężarów. Stąd też korzyść w utrzymaniu partnerstwa obu płci przez cały rok.

Zwierzę należące do stałej rodziny – a na Diomedesie najczęściej była to wielka rodzina, cały klan wywodzący się od jednej matki – w warunkach długotrwałej ciąży, długiego dzieciństwa, stałych zmian i gróźb ze strony środowiska, walki o partnerów seksualnych każdej zimy z obcymi grupami o obcych zwyczajach, to zwierzę miało wszelkie ewolucyjne powody ku temu, by zacząć myśleć. Według tej matrycy ukształtował się język, narzędzia, ujarzmiono ogień, powstały narody i te wszystkie nieokreślone i nieosiągalne dążenia, które nazywamy „kulturą”.

Chociaż Diomedańczyk nie miał żadnego nieodwracalnego wzoru wrodzonego postępowania, starał się wszędzie postępować według określonych sposobów życia. Były one najłatwiejsze. Podobnie rodzaj ludzki nie jest zmuszony

instynktem do legalizacji pożycia seksualnego przez małżeństwo, jednak prawie wszystkie narody to czynią. Jest to wygodniejsze dla wszystkich zainteresowanych. I tak samo Diomedańczyk odlatywał na południe, by się rozmnażać.

Co nie znaczy, że musiał!

Gdy gdzieś występuje cykl rozrodczy, zawsze jest regulowany przez jakiś prosty, niezawodny mechanizm. I tak, dla wielu ziemskich ptaków okres aktywności seksualnej spowodowany jest wydłużaniem się dnia na wiosnę; bodziec optyczny uruchamia procesy hormonalne, które uaktywniają uśpione gruczoły płciowe. Na Diomedesie byłoby to niemożliwe; zbyt wielkie są różnice w cyklu świetlnym zależnie od szerokości geograficznej. Gdy jednak pierwotny Diomedańczyk wdrożył się do migracji – a tym samym mógł rozmnażać się tylko w określonej porze roku, o ile małe miały utrzymać się przy życiu – proces ewolucji przyjął oczywistą drogę ku podporządkowaniu całego życia tej migracji.

Zwykle łowca, czasem tylko żywiący się orzechami, owocami lub dziko rosnącym ziarnem, Diomedańczyk pracował zrywami. Migracja wymagała wysiłku trwającego przez dłuższy czas; co najmniej setki lub tysiące pokoleń trwało wykształcenie się samych mięśni skrzydeł, nie mówiąc o czasie potrzebnym do dalszego przystosowania. Taki wysiłek stymulował niektóre gruczoły, które działając poprzez złożony system hormonalny budziły ostatecznie gruczoły płciowe. Wyjątek stanowiły matki karmiące, których gruczoły mleczne wydzielają czynnik osłabiający popęd płciowy. W czasie wielkiego przelotu stężenie hormonu płciowego narastało, lecz nie było czasu ani siły, które można było poświęcić na jego rozładowanie. Już w tropiku, wypoczęty i odżywiony Diomedańczyk nadrabiał wszystkie

stracone okazji. Nadrabiał tak dokładnie, że podróż powrotna nie miała widocznego wpływu na jego wyczerpane gruczoły.

Czasem jednak, przelotnie, po jakimś niezwykłym wysiłku ktoś odczuwał skłonność do płci przeciwnej również w kraju rodzinnym. Ów ktoś tłumiał to uczucie, równie surowo, jak człowiek tłumia popęd kazirodczy, a powód ku temu był jeszcze bardziej zasadniczy: dziecko urodzone poza sezonem oznaczało śmierć podczas przelotu nie tylko dla niego, ale i dla matki. Nie to, żeby przeciętny Diomedańczyk rozumiał to świadomie; po prostu akceptował zakaz, z którego powstała religia czy też system etyczny. Jednakże niewątpliwie słaby, występujący przez cały rok pociąg do płci przeciwnej był na początku nieświadomym powodem do powstania klanów i stad.

Gdy wędrowny Diomedańczyk napotykał na plemię, które nie przestrzegało jego najgłówniejszej zasady moralnej, odczuwał fizyczny strach.

Flota Drakhonów jest jedną z wielu jej podobnych, które kupcy odkryli do chwili obecnej. Wszystkie zapewne powstały jako grupa istot zamieszkujących okolice równika i tym samym nie obciążone potrzebą migrowania; lecz to wszystko leży jeszcze w sferze przypuszczeń. Jedno jest jasne: z czasem zaczęły one szukać źródeł żywności bardziej w morzu niż na lądzie. Przez wiele wieków udoskonalowały swe wyposażenie w postaci okrętów i żagli, aż znalazły na nich miejsce do życia.

Stało się tak bardziej dla bezpieczeństwa, niż by ułatwić zdobycie pożywienia. Dawało dom, w którym można było mieszkać stale. Dawało możliwość budowania i używania złożonych urządzeń gromadzenia obszernych księgozbiorów, zasiadania i rozmyślania lub dyskusowania o różnych problemach; krótko mówiąc dawało swobodę obarczenia się

cywilizacją, której żadna z ras wędrownych nie posiadała, chyba że w bardzo ograniczonym stopniu. Jeśli chodzi o złe strony, oznaczało to ciężką pracę pod dominacją arystokracji.

Praca sprzyjała podnieceniu płciowemu u żeglarzy; a ciepłe schronienie i zapasy pożywienia, którego dostarczało morze sprawiały, że czas narodzin nie zależał od pory roku. Tym samym żeglarze wykształcili system małżeństwa i wychowania dzieci podobny do ludzkiego; nieobce im było nawet pojęcie romantycznej miłości.

Żeglarze uważali przedstawicieli ras wędrownych za bezwstydnymi, a ci rewanżowali im się tym samym. Mało tego, żadna z tych kultur nie była w stanie sobie wyobrazić, że ta druga należy do tego samego gatunku.

A jak można ufać przedstawicielom zupełnie obcej rasy?

– To z powodu głupich różnic w przekonaniach wybuchają największe wojny – rzekł van Rijn. – Ale teraz mamy to już za sobą i możemy rozsądnie i pokojowo przejść do wzajemnego naciągania się, nie!

Oczywiście hipotezy swej nie wyjaśniał z taką dokładnością. Filozofowie Lannachów mieli pewne pojęcie o ewolucji, lecz słabo znali astronomię; zaś nauka Drakhonów – wręcz odwrotnie. Van Rijn ograniczył się do najprostszych, wielokrotnie powtarzanych sformułowań, kreśląc jedyne, jego zdaniem, rozsądne wytłumaczenie dobrze znanych różnic w zasadach rozmnażania się.

Zatarł ręce i zarechotał w napiętej ciszy. – No tak! Nie jest to sama słodycz, przyznaję. Nawet ja nie potrafię dokonać tego na poczekaniu. Jeszcze przez dłuższy czas jedni będą uważać, że ci drudzy w tych sprawach zachowują się nieprzyzwoicie. Będziecie o sobie nawzajem opowiadać sprośne żarty... Znam parę takich, które łatwo można zaadaptować. Wicie jednak przynajmniej, że należycie do jednej rasy. Każdy z was mógłby być uczciwym obywatelem drugiego narodu, nie? Może kiedyś, gdy czasy się zmienią, zaczniecie przekształcać swe obyczaje.

Czemu nie poeksperymentować trochę, co? Nie, nie, widzę, że ten pomysł nie przypadł wam jeszcze do gustu, więc nit już więcej nie powiem.

Skrzyżował na piersiach ramiona i czekał, opasły, zarośnięty, obdarty, pokryty zaskorupiałym brudem wielu tygodni. Na skrzypiących deskach pokładu, pod czerwonym słońcem i tchnieniem słabej bryzy dziesiątki skrzydlatych wojowników i kapitanów drżało w obliczu rzeczy niewyobrażalnych.

W końcu Delp przemówił, tak powoli i tak głębokim głosem, że właściwie jakby nie przerwał owej nabrzmiałej ciszy. – Tak. To ma sens. Ja w to wierzę.

Po następnej chwili milczenia skłonił głowę w kierunku nieruchomego jak skała Theonaxa. – Panie mój – powiedział – to zmienia sytuację. Uważam... nie będzie to tak, jak mieliśmy nadzieję, ale więcej niż to, czego się obawialiśmy... Możemy się ułożyć – oni zatrzymają całą ziemię, a my będziemy mieli morze Achan. Teraz, kiedy wiemy, że to nie... diabły, nie zwierzęta... Zwykle gwarancje, jak przysięga i wymiana zakładników zapewnią trwałość układowi.

Tolk mówił szeptem do ucha Trolwenowi. Dowódca Lannachów skinął głową. – Uważam tak samo – powiedział.

– Czy uda się nam przekonać Radę i klany, dowódco? – mruknął Tolk.

– Heroldzie, jeśli przyniesiemy honorowy pokój, Rada obwoła nas bóstwami po śmierci.

Wzrok Tolka przesunął się na Theonaxa, który leżał bez ruchu pośród dworzan. Posiwiata sierść zjeżyła się na grzbiecie Herolda.

– Najpierw musimy cało wrócić do Rady, dowódco – powiedział.

Theonax uniósł się z legowiska. Jego skrzydła zatrzepotały w powietrzu wydając trzask jak kości miażdżone toporem. Na jego pysku pojawił się lwi grymas, wyszczerzone zęby zaśniły wilgotnym blaskiem.

– Dość tego! – ryknął. – Koniec tej farsy!

Trolwen i eskorta Lannachów tłumaczenia nie potrzebowali. Chwycili za rękojeści broni i utworzyli krąg obronny. Ich szczęki automatycznie się zatrzasnęły, jakby chcieli ugryźć powietrze.

– Panie mój! – Delp skoczył na równe nogi.

– Spokój! – zaskrzeczał Theonax. – Już za dużo powiedziałaś. – Potoczył wzrokiem na prawo i lewo. – Kapitanowie Floty, słyszeliście wszyscy, jak Delp hyr Orikan proponuje zawarcie pokoju ze stworzeniami podlejszymi, niż dzikie bestie. Zapamiętajcie to!

– Ależ panie... – jeden ze starszych oficerów uniósł się z miejsca unosząc ręce w górę na znak protestu. – Admirale, panie mój, przecież dopiero co udowodniono tu, że nie są to zwierzęta... tylko inna...

– Zakładając nawet, że Ziemianin mówił prawdę, co wcale nie jest pewne, co z tego? – Theonax z drwiną spojrział na van Rijna. – Tym gorzej! Wiadomo, że bestie nie potrafią opanować swych instynktów, zaś owi Lannachowie zachowują się nieprzyzwoicie z własnej wolnej woli. A wy im pozwolicie żyć? Moglibyście... moglibyście z nimi handlować... wstąpić do ich miast... może oddać im wasze córki na pohańbienie... Nie!

Kapitanowie spojrzeli po sobie. Był to jakby niemy jęk. Tylko Delp miał odwagę przemówić ponownie.

– Pokornie błagam, by admirał raczył wspomnieć, że właściwie nie mamy wyboru. Jeśli walczyć będziemy z nimi do końca, może to być również nasz koniec.

– Bzdura! – parsknął Theonax. – Albo się ich boisz, albo cię przekupili.

Tolk szeptem wszystko tłumaczył Trolwenowi. Eryk Wace z przygnębieniem usłyszał, co dowódca odpowiedział Heroldowi.

– Jeśli on zajmie takie stanowisko, o porozumieniu mowy nie ma – mówił Trolwen. – Gdyby zrazu nawet poszedł na ugodę, potem poświęci swoich zakładników, nie mówiąc nawet o losie naszych zakładników u niego, by wznowić wojnę, gdy będzie się czuł na siłach. Odlećmy stąd, zanim sam pogwałcę rozejm!

I tak to, myślał Eryk Wace, kończy się świat. Zginę pod zwałem miotanych kamieni, a Sandra umrze w Krainie Lodowców. W każdym razie... próbowaliśmy. Sprężył się cały. Możliwe, że admirał nie zezwoli na powrót posłów. Delp rozglądał się wokół, wodząc oczami od jednej twarzy do drugiej.

– Kapitanowie Floty! – zawołał – proszę o wasze zdanie... Błagam was, wytłumaczcie admirałowi, że...

– Ktokolwiek wypowie następne zdradzieckie słowo, postrada skrzydła! – krzyknął Theonax. – Może ktoś odmawia mi mojej władzy?

Było to śmiałe posunięcie, pomyślał Wace gdzieś na dnie huczącego mózgu; postawienie wszystkiego na jedną kartę, jedno wyzwanie. Lecz oczywiście Theonaxowi uda się to: w tym kastowym społeczeństwie nikt nie zakwestionuje jego absolutnej władzy, nawet odważny Delp. Kapitanowie mogą się wahać, lecz w końcu posłuchają.

Cisza była przejmująca.

Przerwał ją Nicholas van Rijn długą i soczystą wiązką ziemskich przekleństw. Wszyscy wzdrygnęli się. Theonax przysiadł na tylnych kończynach przez chwilę przypominając kota ze skrzydłami nietoperza.

– Co to takiego? – wybuchnął.

– Czy jesteś głuchy? – odpowiedział łagodnie van Rijn. – Powiedziałem, że... – powtórzył całą kwestię z odpowiednim akcentem.

– Co to znaczy?

– To ziemskie wyrażenie – rzekł van Rijn – Nie wiem czy potrafię je wiernie oddać w waszym języku; oznacza mniej więcej, że jesteś... – Eryk Wace nie spodziewał się tak dogłębnej znajomości języka Drakhonów u van Rijna; był to najwymyślniejszy stek obelg, jaki słyszał.

Kapitanom odebrało mowę. Niektórzy chwycili za broń. Straż Drakhonów na górnym pokładzie schwyciła łuki i włócznie.

– Zabić go! – wrzasnął Theonax.

– Nie! – bas van Rijna eksplodował im w uszach. Samo natężenie dźwięku sparaliżowało Drakhonów. – Jestem posłem, do diabła! Niech posłowi spadnie choć włos z głowy, a Gwiazda Przewodnia utopi was w kipiących morzach piekła!

To ich powstrzymało. Theonax nie powtórzył rozkazu; strażnicy cofnęli się i zamarli na miejscu, zaś oficerowie pozostali spięci, rozwścieczeni, nie mogąc wydobyć ani słowa.

– Chcę wam coś powiedzieć – mówił dalej van Rijn, zaledwie dwa razy głośniejszy niż syrena okrętowa dużej mocy. – Mówię do całej Floty, a wy sami także siebie zapytajcie, czemu ten mały gówniarz jest taki głupi. Zmusza was do wojny, którą obie strony mogą tylko przegrać; każe wam ryzykować życie wasze, waszych żon i dzieci, może nawet istnienie całej Floty – po co? Ponieważ się boi. Wie, że po paru latach bliskiego kontaktu z Lannachami, a co więcej, po paru latach handlu z moją spółką po moich śmiesznie niskich cenach, wszystko zacznie się zmieniać. Zaczniecie więcej sami myśleć. Posmakujecie swobody.

Stopniowo władza wyśliznie mu się z rąk. A on jest zbyt wielkim tchórzem, by potrafił żyć samodzielnie. Nie, on musi mieć strażę i niewolników i was wszystkich, którymi może rządzić, by móc sobie samemu udowodnić, że nie wypadł sroce spod ogona, ale jest prawdziwym Przywódcą. Raczej pośle Flotę na zatracenie i sam zginie, niż zgodzi się to utracić!

– Wynoś się z mojej tratwy – powiedział Theonax trzęsąc się cały – bo zapomnę, że obowiązuje rozejm.

– Dobrze, pójdę, pójdę – powiedział van Rijn. Przysunął się do admirała. Jego kroki zadudniły po pokładzie. – Odejdę i będę dalej walczył, jeśli chcesz tego. Jednak najpierw zadam jedno małe pytanie. – Stał naprzeciw jego admiralskiej mości i trącił włóchatym palcem królewski nos. – Czemu tyle zamieszania o obyczaje Lannachów? Może skrycie sam wzdychasz do tego, by spróbować takich rozrywek?

Następnie odwrócił się od Theonaxa i wypiął się na niego.

Wace nie dojrzał, co się wtedy stało. Na drodze stali mu oficerowie i strażnicy. Usłyszał pisk, wrzask van Rijna i rozpętał się przed nim huragan skrzydeł.

Coś... Rzucił się w masę ściśniętych ciał. Dostał cios ogonem w żebra. Ledwie go poczuł; zdzielił kogoś pięścią, po to tylko, by go usunąć z drogi i zobaczyć... i Nicholas van Rijn stał z obiema rękami uniesionymi ku niebu, niepomny zagrażających mu ostrzy kilkudziesięciu włóczni.

– Admirał mnie ugryzł! – lamentował. – Jestem tu jako poseł, a ta świnią mnie ugryzła! Gdzie jest napisane w zasadach stosunków międzynarodowych, aby głowa państwa gryzła zagranicznych ambasadorów, co? Czy ziemski prezydent gryzie dyplomatów? To barbarzyństwo!

Theonax odsunął się wstecz spluwając i ocierając krew

z twarzy. – Wynoście się – powiedział zduszonym głosem. – Odejdźcie natychmiast.

Van Rijn skinął głową. – Chodźcie przyjaciele – po wiedział. – Znajdziemy sobie takie miejsce, gdzie są bardziej cywilizowane obyczaje.

– Proszę pana... gdzie on pana... – Eryk Wace przysunął się bliżej.

– Nieważne gdzie – rzekł van Rijn z irytacją w głosie.

Trolwen i Tolk dołączyli do nich. Za nimi eskorta Lannachów zebrała się w marszu. Przeszli odmierzoną krokiem przez pokład, oddalając się od zamieszania wśród Drakhonów pod ścianą pałacu

– Powinien pan to przewidzieć – rzekł Wace. Nie miał już sił na żadne emocje z wyjątkiem słabego uczucia gniewu z powodu niewiarygodnej głupoty szefa. – To rasa mięsożerna. Czy nigdy pan nie widział jak kłapią szczękami, gdy się rozzłoszczą? To odruch... trzeba było przewidzieć!

– No więc – rzekł van Rijn najniewinniejszym tonem, na jaki było go stać – nie musiał mnie gryźć. Nie jestem odpowiedzialny za jego brak pohamowania i konsekwencje tegoż. Wszyscy święci pańscy i adwokaci mi świadkami, że nie jestem.

– Ale ten harmider – mogli nas wszystkich pozabijać!

Van Rijn nie raczył nawet na to odpowiedzieć.

Delp spotkał ich przy nadburciu. Jego grzebień żałośnie zwiślał na bok. – Przykro mi, że tak się zakończyło – powiedział. – Mogliśmy żyć w przyjaźni.

– Może się jeszcze nie zakończyło – rzekł van Rijn.

– Co masz na myśli? – zmęczone oczy Delpa przyglądały mu się bez cienia nadziei.

– Może już się niedługo dowiesz. Delp – van Rijn położył

ojcowską dłoń na ramieniu Drakhona – jesteś fajny facet. Mógłbym znaleźć dla ciebie zajęcie: mógłbyś zostać moim agentem handlowym w tym kraju. Za odpowiednim wynagrodzeniem, to się rozumie. Na razie jednak pamiętaj, że jesteś jedynym, którego wszyscy lubią i szanują. Gdyby coś się stało admirałowi, ogarnie ich panika i niepewność... wtedy do ciebie zwrócą się o pomoc. Jeśli w takiej chwili zadziałasz szybko, sam zostaniesz admirałem. Wtedy ubijemy interes, co?

Odwróciwszy się od Delpa, który stał jak wryty, z małpią zwinnością skoczył w dół do łodzi. – A teraz, chłopcy – powiedział – wiosłujcie jak szatany.

Byli już prawie przy własnej flocie gdy Eryk Wace ujrzał, jak chmary skrzydeł uniosły się z królewskiej tratwy. Przełknął ślinę. – Czy atak... już się zaczął? – Przeklinał siebie w myśli za to, że głos jego zabrzmiał piskliwie w takiej chwili.

– No, cieszę się, że mnie teraz tam nie ma. – Van Rijn, który stał przez całą powrotną drogę, skinął głową z zadowoleniem. – Myślę jednak, że to nie wojna. Myślę, że to tylko zamieszanie. Wkrótce Delp obejmie dowództwo i uspokoi ich.

– Ale – Delp?

Van Rijn wzruszył ramionami. – Jeśli diomedańskie biało jest dla nas trucizną – powiedział – nasze też nie będzie dla nich za dobre. A nasz nieodżałowany Theonax całkiem solidnie mnie nadgryzł. Wszystko to dowodzi, że paskudny charakter przynosi kłopoty. Najlepiej iść za moim przykładem: gdy mnie ktoś atakuje, nadstawiam drugi policzek.



Baza handlowa Ligi Polezotechnicznej nie miała zbyt dobrej obsługi medycznej: autodiagnostyk, parę robochirurgów i roboterapeutów, podstawowe leki i miejscowy ksenobiolog, który również zajmuje się leczeniem. Jednak sześciotygodniowy post nie powoduje poważnych konsekwencji, jeśli przedtem człowiek był silny, a potem służyły mu ręce, nogi, skrzydła i ogony dwóch narodów zamieszkujących planetę, której choroby są dla niego nieszkodliwe. Przy pomocy bioakceleryny leczenie posuwało się szybko naprzód, a dieta rozpoczęła się od dożylnie podawanej glukozy, by w końcu dojść do grubych, krwistych befsztyków. Szóstego dnia diomedańskiego Eryk Wace nabrał już trochę ciała i jeszcze niepewnie, lecz już z rozdrażnieniem przechadzał się po pokoju.

– Zapali pan? – zapytał młody człowiek nazwiskiem Benegal. Gdy wyprawa ratunkowa powróciła, nie było go w stacji, bowiem objeżdżał siedziby krajowców, z którymi stacja handlowała. Dopiero teraz otrzymywał pełną relację. Podał papierosy z najwyższym szacunkiem.

Eryk zatrzymał się, a szlafrok owinął mu się wokół kolan. Sięgnął, zawahał się, potem uśmiechnął. – Zdaje się, że przez ten

czas, gdy nie było tytoniu, straciłem swój nałóg. Powstaje pytanie, czy warto go odnawiać?

– No, proszę pana, chyba nie...

– Zaraz, zaraz! Daj tego papierosa! – Eryk usiadł na łóżku i ostrożnie się zaciągnął. – Z pewnością odnowię wszystkie moje złe przyzwyczajenia i dodam parę nowych.

– Więc miał mi pan powiedzieć, jak powiadomiono stację.

– Ach tak. Było to dziecinnie proste. Wymyśliłem to w dziesięć minut, gdy miałem pierwszą spokojną chwilę. Trzeba było wysłać dość liczną grupę Diomedańczyków z wiadomością na piśmie, oraz oczywiście jednego z zawodowych tłumaczy Tolka, by mógł rozpyłać się o drogę po tej stronie Oceanu. Trzeba też było zaprojektować dużą tratwę, składającą się tylko z ramy z lekkich tyczek, które można było łączyć na jaskółczy ogon. Każdy Diomedańczyk niósł jeden element, a gdy trzeba było, łączyli je w powietrzu i odpoczywali na tak powstałej tratwie. Łowili z niej również ryby; grupa obejmowała także kilku specjalistów z Floty, którzy zajęli się tą sprawą. Deszcz padał dość często, tak że mogli go łapać w małe wiaderka i używać do picia. Byłem pewien, że deszczu wystarczy, skoro Drakhonowie przebywają na morzu przez długie okresy czasu. A w ogóle to jest deszczowa planeta.

– Nawiasem mówiąc – Eryk mówił dalej – w grupie musiało być kilka kobiet z rasy Lannachów z powodów, które są dla ciebie teraz oczywiste. Oznacza to, że członkowie grupy posłańców z obu narodów musieli się wyzbyć niektórych odwiecznych przesądów. W perspektywie, ten fakt zmieni ich życie bardziej, niż wszelkie wrażenie, jakie mogli wywrzeć na nich Ziemianie przy pomocy takich sztuczek, jak odtransportowanie ich do domu w ciągu jednego dnia. Od tej

chwili, chcąc nie chcąc ci, którzy wyruszyli w tę podróż, będą zacytnem nowego w obu kulturach, będą gruntem pod ziarno diomedańskiego internacjonalizmu. Ale z tego niech się Liga cieszy, ja nie będę.

Wace wzruszył ramionami. – Po odlocie posłańców – zakończył – mogliśmy tylko wleźć do łózek i czekać. Po pierwszych kilku dniach nie było już tak źle. Apetyt z czasem niknie. Zdusił papierosa z grymasem na twarzy. Po tak długiej abstynencji zakręciło mu się w głowie.

– Kiedy zobaczę innych? – zażądał informacji. – Jestem już tak silny, że się nudzę. Chcę towarzysztwa, do cholery.

– Właściwie, proszę pana – rzekł Benegal – zdaje się, że pan van Rijn mówił coś... – w korytarzu zadudniło grzmiące: „Piekło i szatani!” – ...że pana dziś odwiedzi.

– Więc uciekaj stąd – rzekł ironicznie Eryk. – Jesteś za młody, żeby tego słuchać. My, bracia krwi, którzyśmy razem stawiali czoła śmierci, zaprzysięgli towarzysze i tak dalej, i tak dalej, spotykamy się oto ponownie.

Uniósł się z łóżka, gdy chłopiec wymknął się tylnymi drzwiami. Van Rijn wtoczył się przez drzwi frontowe. Jego jowiszowa sylwetka nieco oklapła, miał tylko jeden podbródek i wspierał się na lasce ze złotą główką. Lecz włosy miał ponownie utrefione w lśniące, czarne loki, wąsy i bródkę ponownie wywoskowane w szpice, koronkowa koszulka i kamizelka ze złotogłowiupaprawe już były tabaką, a nogi przypominające włochate pnie drzew, sterczały spod batikowego sarongu. Na każdej dłoni nosił całą kopalnię brylantów, a z szyi zwieszał mu się srebrny naszyjnik o rozmiarach łańcucha kotwicznego. Zamachał ręką, w której trzymał wonne cygaro i czterowarstwową kanapkę, i ryknął przyjaźnie.

– No, jesteś już na nogach! Równy chłop! Wyzdrowieć można tylko wtedy, gdy przestanie się sączyć tę pomyjowatą zupkę i zgadzać się na to z pokorą, jak każe ten zwariowany weterynarz. – Spurpurowiał z oburzenia. – Czy choć jedna myśl precyzyjnie się przebiegła przez ten piach, jaki zebrał się w jego szarych komórkach, ile kosztuje mnie każda godzina, którą muszę tu spędzać? Jaki łup wpadnie mi w ręce, jeśli dostanę się do domu nim te zdradzieckie szakale z konkurencji zważają, że Nicholas van Rijn jest mimo wszystko żywy i zdrowy? Dopiero co kładłem inżynierowi stacji w ten spróchniały grzyb, który nosi zamiast głowy, że jeśli mój statek nie będzie gotów do startu jutro w południe, to uwieszę go na zewnątrz pancerza i dam rozkaz do odlotu. Ty sam też wracasz z nami na Ziemię, nie?

Eryk Wace nie odpowiedział od razu. Za kupcem w pokoju pojawiła się Sandra. Jechała jeszcze w wózku inwalidzkim, taka blada i wychudzona, że serce mu pękało. Włosy jej rozkładały się na poduszce jak blada mroźna chmurka i wydawało się, że w dotyku też będą zimne. Lecz oczy jej były żywe, olbrzymie, jak nieskończona zielona głębia najłagodniejszych mórz na Ziemi.

Uśmiechnęła się do niego.

– Pani... – szepnął.

– Och, ona też leci – rzekł van Rijn wybierając jabłko z koszyka owoców stojącego obok łóżka Eryka. – Kontynuujemy naszą przerwana wycieczkę; może na pokładzie nie będzie tylu zabaw i rozrywek... – spojrzał na nią pożądliwie jednym oczkiem.

– Te zostawimy sobie na później, na Ziemię, gdy wydobrzejesz, co?

– Jeśli pani moja ma siły do podróży... – jąkał się Wace. Przysiadł na łóżku, bowiem kolana się pod nim ugięły.

– O, tak – odrzekła cicho. – Muszę tylko przestrzegać

przepisanej diety i dużo odpoczywać.

– To najgorsze, co możesz zrobić – mruknął van Rijn, kończąc jabłko i sięgając po pomarańczę.

– Nie ma warunków – zaprotestował Eryk. – Straciliśmy tylu służących w katastrofie planetolotu. Miałyby tylko...

– Jedną pokojówkę? – Śmiech Sandry zabrzmiał blado, lecz brzmiało w nim szczere rozbawienie. – Mam teraz zapomnieć o tym, co zrobiliśmy i przez co przeszliśmy razem, i mam znowu traktować ciebie, Eryku z poprawnością i dystansem? Byłoby to głupie, szczególnie po tym, jak razem wspinaliśmy się na ten szczyt koło Salmenbroku, prawda?

Serce Eryka zabiło mocniej. Nicholas van Rijn obierał pomarańczę rzucając skórki na ziemię. – Nawet z wielkiego nieszczęścia – zauważył – dobry Pan Bóg może zesłać nam duży zysk, jeśli taka jest Jego wola. Nie mogę znać osobiście wszystkich ludzi dla mnie pracujących, więc obiecujący młodzi pracownicy jak ty, czasami marnują się na mało ważnych placówkach jak ta tutaj. Zabiorę ciebie na Ziemię i znajdę ci pracę płatną odpowiednio do twoich zdolności.

Skoro ona zapamiętała pewien chłodny ranek pod górą Oborch, pomyślał Eryk Wace, ja sam, gwoli własnego męstwa, mogę pamiętać inne, mniej przyjemne rzeczy i głośno o nich powiedzieć. Odpowiedni czas już nadszedł. Wciąż był zbyt słaby, aby powstać – dygotał trochę – lecz pochwycił spojrzenie van Rijna i przemówił z gniewem.

– To oczywiście dla pana najłatwiejszy sposób, by odzyskać poczucie swej godności. Kupić je! Przekupić mnie ciepłą posadką, abym zapomniał, jak Sandra siedziała z pędzlem w ciasnej komórcie, aż padała z wyczerpania; i jak oddała nam swą ostatnią żywność... jak ja sam wypruwałem z siebie żyły i nerwy by

uwolnić nas uwięzionych w tym kraju i wygrać wojnę... Niech pan nie przerywa. Wiem, że pan też miał w tym pewien udział. Walczył pan podczas bitwy morskiej, ale nie miał pan wyboru, nie było gdzie się ukryć. Znalazł pan użyteczny fortel, by pozbyć się niewygodnego partnera w negocjacjach. Ma pan talent do takich rzeczy. No, i dał pan kilka pożytecznych propozycji.

– Ale do czego się to wszystko sprowadzało? – mówił dalej.

– W sumie to nic więcej tylko pańskie polecenia dla mnie: „Zrób to! Zbuduj tamto!” A ja musiałem to zrobić, mając nawet nie ludzi za pomocników, oraz naczynia z epoki kamiennej. Musiałem nawet wszystko zaprojektować! Każdy dureń może powiedzieć: „Zabierz mnie na księżyc!” Lecz trzeba rozumu, by wymyśleć, jak to zrobić!

– Pańska rola, pańskie przywództwo – kontynuował – ograniczało się do spacerków, gry w kości, rozmów, taniego politykierstwa, obżerania się jak hipopotam, podczas gdy Sandra leżała bez jedzenia na Dawrnachu; a wszystkie zasługi przypisał pan sobie! A teraz ja mam polecieć na Ziemię, zasiąść w wyzłoconym chlewie, który otrzymam jako biuro, spędzić resztę życia zbijając bąki... i trzymać język za zębami, gdy pan będzie się przechwalał. Prawda? Weź pan sobie swoją posadkę i...

Eryk poczuł na sobie wzrok Sandry, poważny, dziwnie pełen współczucia, i gwałtownie się zatrzymał.

– Odchodzę ze Spółki – powiedział na koniec.

W ciągu całego przemówienia Eryka van Rijn połknął pomarańczę i powrócił do kanapki. Czknął głośno, oblizał palce, i zaciągnął się cygarem.

– Jeśli uważasz, że ja rozdaję ciepłe posadki – zadudnił niespodziewanie łagodnie – jesteś wielkim optymistą. Oferuję ci

poważne stanowisko tylko dlatego, ponieważ uważam, że lepiej sobie na nim poradzisz, niż jakaś barania głowa na Ziemi. Będę ci płacił tyle, na ile zasługuje twoja praca. I dam słowo, że ręce urobisz w tej pracy.

Erykowi zaparło dech w piersiach.

– Wolna droga, obrażaj mnie nawet publicznie, jeśli chcesz – powiedział van Rijn. – Byle nie w godzinach pracy. A teraz pójdę dowiedzieć się, kto to podłożył bombę w planetolocie, i zajmę się nim. Może też kucharz zrobi mi niewielką kanapeczkę z pół bochenka chleba. Do jasnej cholery, chcą mnie tu zagłodzić!

Pomachał owłosioną łapą i oddalił się jak dobrotliwe trzęsienie ziemi. Sandra podjechała bliżej na wózku i położyła dłoń na ręce Eryka. Dotknięcie jej było chłodne, lekkie jak opadający październikowy liść, ale paliło go ogniem. Jak przez mgłę słyszał jej głos.

– Oczekiwałam tego, Eryku. Najlepiej będzie, jeśli teraz to zrozumiesz. Ja, która zostałam stworzona do rządzenia... moje całe życie było poświęcone rządzeniu, nieprawdaż?... ja więc wiem, co mówię. Są fałszywi przywódcy, nadęci durnie, mający talent tylko do zawadzania innym. Owszem. Ale on do nich nie należy. Bez niego, ty i ja leżelibyśmy teraz na dnie morza Achan.

– Ale...

– Masz żal, że zmuszał cię do wykonywania rzeczy, które wymagały od ciebie, a nie od niego używania swych umiejętności, prawda? Ależ oczywiście, że zmuszał. Do przywódcy nie należy robienie wszystkiego samemu. Do niego należy rozkazywanie, przekonywanie, schlebianie, zmuszanie siłą, przekupywanie... to właśnie, aby inni zrobili co trzeba zrobić, nieważne, czy uważają to za możliwe.

– Mówisz, że jego praca polegała tylko na obijaniu się,

rozmowach, żartach i stwarzaniu pozorów, by wyrzeć wrażenie na krajowcach? Ależ oczywiście że tak! Ktoś musiał to robić. Byliśmy wszak dla nich potworami, obcymi i nędzarzami. Czy ty, albo ja moglibyśmy sami zacząć jako żałośni nędzarze, a skończyć prawie jako królowie?

– Mówisz, że przekupywał przy pomocy rzeczy, które wygrał w fałszywe kości, a poza tym odgrażał się, kłamał, oszukiwał, intrygował, zadawał śmierć zarówno otwarcie, jak i skrycie? To prawda, nie mówię, że to dobrze. Ale nie mówię też, że jemu było z tym przyjemnie. Czy możesz jednak wymienić choć jeden inny sposób, który ocaliłby nam życie? Lub też choćby przynieść pokój tym biednym zwaśnionym narodom?

– No... – mężczyzna odwrócił wzrok i spojrzał przez okno na nagi krajobraz. Pomyślał, że dobrze będzie trochę pomieszkać wewnątrz mniej rozległego horyzontu ziemskiego.

– No, może – powiedział w końcu, niechętnie cedząc każde słowo. – Myślę... myślę, że zbyt pośpiesznie go osądziłem. Jednak – my też coś zrobiliśmy, sama wiesz, pani. Bez nas on...

– Uważam – przerwała mu – że bez nas on znalazłby inny sposób, aby dotrzeć do domu. Lecz my bez niego – nigdy.

Gwałtownie odrzucił głowę do tyłu. Jej twarz płonęła czerwienią głębszą, niż mógł to spowodować padający z zewnątrz blask słońca.

Jest w końcu kobietą, Eryk Wace myślał ze znużeniem, które nagle go opadło, zaś kobiety żyją bardziej dla następnego pokolenia niż to mężczyźni potrafią. Ona zaś w szczególności, bowiem istnienie całej planety może zależeć od jej dziecka, a ona jest arystokratką w najstarszym i najczystszych znaczeniu tego słowa. Ojciec przyszłego Wielkiego Księcia Hermesa może być stary, tłusty i niechlujny, gruboskórny i pozbawiony sumienia;

może widzieć w – niej tylko przelotny epizod w życiu. Nie ma to dla niej znaczenia, jeśli jako kobieta i arystokratką widzi w nim mężczyznę.

I niestety, ja mam im obojgu wiele do zawdzięczenia.

– Ja... – Sandra wyglądała na zmieszaną, jakby złapano ją na gorącym uczynku. W jej spojrzeniu tało się niewypowiedziane błaganie. – Myślę, że lepiej pójdę i dam ci odpocząć. – A po chwili milczenia dodała – On nie jest jeszcze tak silny, jak twierdzi. Może mnie potrzebować.

– Nie, księżno – rzekł Eryk z niespodziewaną czułością. – To ty jego potrzebujesz. Żegnaj, pani.

K O N I E C